



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

SYRENA

(White Eagle — l'Aigle Blanc)

LIPIEC

1965

Nr 12/1159

Cena 3/6, \$0.50, 2.50 F.



MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



SZCZĘŚCIE...

ISTNIEJE TYLKO WTEDY GDY JE DZIELISZ Z KIMŚ INNYM...

(Odpowiedź rysunkowa Danuty Laskowskiej na ankietę: Czym jest szczęście?)

FOP 2156

W SPRAWIE „KONFLIKTU POKOLEN”

(Art. p. Romualda Kubisza)

Przeczytałam ten artykuł i odpowiadam na niego mimo całej mojej niechęci do polemik i dyskusji, które do niczego nie prowadzą, zwłaszcza z ludźmi, mającymi wysokie wyobrażenie o sobie, a nieszczerze o innych. Za dawnych czasów, które nie były pod względem moralnym ani lepsze, ani gorsze od naszych, istniało przysłowie: „Dobre wyobrażenie o sobie to połowa szczęścia na ziemi”. Gdyby sądzić podług tego przysłowia, to p. Kubisz musi być bardzo szczęśliwy. Czego mu zresztą z całego serca życzę.

Epizod z p. Bręczalską byłby śmieszny, gdyby nie był smutny, jak mawiano i mawia się jeszcze w Rosji. Ma ona rację, gdy nie chce, żeby Polacy między sobą małpowali Anglików. Każdy naród ma swój język i swój sposób wyrażania się. Powie mi p. Kubisz, że zaślepia mnie patriotyzm emigracyjny. Więc muszę zaznaczyć, że z pochodzenia jestem pół-Francuzką i do Paryża przyjechałam nie mając skończonych lat szesnastu i potem już nigdy na stałe w Polsce nie mieszkałam. Że od urodzenia mówiłam dwoma językami, dzięki czemu nie wymawiam poprawnie polskiego r. Że od piątego roku życia zaczęłam sama dla zabawki uczyć się czytać po rosyjsku. Że nigdy nie byłam w żadnej szkole polskiej, mieszkając na głuchej prowincji, w lasach, uczyłam się wszystkich przedmiotów po rosyjsku (ale nie w szkole), a w Paryżu o głodzie i chłodzie skończyłam uniwersytet i zrobiłam na Sorbonie doktorat łacińsko-francuski. No i nie przeszkadza mi to kochać i podziwiać literatury polskiej na równi z francuską i pisać o niej w obu językach. Czemuż zatem młodzież polska w Anglii w ogólności, a p. Kubisz w szczególności (prawdopodobnie mniej biedując niż ja, a nieraz ciężko pracując) nie może się zdobyć na tyle polskości, co młoda dziewczyna, rzucana samotnie na bruk paryski? Tym

bardziej, że p. Kubisz jeździ po Londynie autem przyjaciela, a może i własnym, podczas gdy ja i nieraz moje koleżanki dreptałyśmy po błocie i słoicie paryskiej w dziurawych często bucikach, z kawalkami kartonu zamiast podeszwy.

Co do literatury emigracyjnej jest różna, zapewne. Nie zawsze mi się podoba. Są tzw. „kapliczki” wzajemnej adoracji i, jak powiada Molière w swych „Femmes Savantes”, „nikt nie będzie miał talentu oprócz nas i naszych przyjaciół”. Ale to nie jest wcale wyłączny przywilej emigracji. Zdarzało się i zdarza w krajach wolnych. Oczywiście jeżeli ktoś, jak kot Kiplinga lub ja sama, chce chodzić własnymi drogami, to nie może liczyć na względy „kapliczek”, ale niech nie ma o to do nikogo pretensji. A właśnie czytanie autorów polskich XVI-go, XVII-go, XIX-go i XX-go wieku, pozwoliłoby młodzieży emigracyjnej na wyrobienie sobie sądu o wartościowej i chwilowo modnej literaturze.

W kraju są też pisarze wartościowi i modni, lub jeszcze gorzej „tańczący na dwóch łapkach”. Jest nawet jeden, który mi zawsze przypomina bajkę o litewskiej boginie, co płodziła dzieci wszystkimi palcami rąk i nóg. Lecz, jak powiada stare przysłowie: „przemiele się, mąka będzie”.

Wcale nie wątpię, że i z p. Kubiszem tak się stanie. Nie jestem staruszką, ale na upartego, skoro ma pan 27 lat, mogłabym być pańską matką. Więc proszę się nie oburzać, że mogę panu powiedzieć szczerze, co myślę. Niech pan pomyśli, że kiedyś będzie w wieku p. Bręczalskiej i że wtedy jakiś nowy młody p. Kubisz będzie sobie z pana pokpiwał, jak dzisiaj pan z niej. Bo każdy człowiek ma swoje ułomności i słabości. I nie ma przyszłości bez przeszłości. Ma pan przykład na dwóch bardzo starych narodach: Żydach i Ormianach. Znam ich dobrze i patrzę co dzieje na ich odradzanie się stopniowe, jako narody wolne. A gdyby nie szanowali tak prawie bałwochwalczo tradycji i przeszłości, odródnienie się byłoby niemożliwe. Vitae lampadae traditae. Zamiast

ironizować na temat starego pokolenia, czy nie lepiej by było wziąć z niego to, co miało i ma najlepszego? Zamiast starać się naśladować we wszystkim Anglików, czy nie lepiej by było zachować swoją własną wartość narodową i wzbudzać w nich szacunek dla niej? Zdaje mi się, że pańskie towarzyszyki podróży autem, są pod tym względem bardziej polskie i dumne ze swej polskości od pana.

Co do Don Kiszota, to każdy uczciwy i mający poczucie swej godności człowiek, jest po trochu Don Kiszotem. Mniej lub więcej. Pański sławny imiennik Romuald Traugutt, był nim również. Kto wie? Starożytni twierdzili, że „nomen-omen”, a pańskie imię kłóci się mocno z pańskimi niby trzeźwymi poglądami. Życie to wielki nauczyciel, ale za lekcje każe sobie bardzo drogo płacić latami i cierpieniem. Pewnie, że są i tacy, którzy się nigdy niczego nie uczą. Życzę polskiej młodzieży w Anglii, żeby wśród niej było ich jak najmniej.

Dr Marya Kastorska

Paryż.

★

Panie Redaktorze,

Trudno w liście dyskutować z tezami p. Kubisza. Pod słowem „dyskutować” nie rozumiem tylko krytyki... Zdaje mi się, że nieporozumienie między „starym i młodym” pokoleniem Polaków na emigracji sięga głębiej. Pokolenie „stare” w swych pretensjach do młodych bierze „for granted”, że powinno się ono interesować tym samym co „starzy”. Młodzi zaś biorą „for granted”, że świat „starych” jest tak już nieaktualny i dziwaczny, iż nie warto się starać go zrozumieć. Mam nadzieję, że dyskusja zaczęta przez p. Kubisza potoczy się nieco żywiej niż dotychczas w postaci artykułów, bo dotychczas z całej dyskusji znalazłem tylko pogodną wzmiankę w „Plotkach”.

E. K.

(Nazwisko i adres znane redakcji. Czytniwy wyjątek od zasady i godzimy się na ogłoszenie listu podpisanego tylko inicjałami).

★

Panie Redaktorze,

Czy wybaczy Pan, że po kilku nieudanych próbach piszę ten list po francusku? Ze skruchą przyznaję, że nie mogę sobie dać rady z polską ortografią, a często i ze słownictwem. Zupełnie co innego jest czytać a co innego pisać. Czytać mnie nauczono, a także w rozmowie nie mam trudności. Ale o pisaniu nie pomyślano... Oczywiście nie jest za późno, kończę dwadzieścia cztery lata w październiku i chociaż dom, dzieci i praca zawodowa bardzo zbiorują, przecie mam nadzieję po wakacjach wygospodarować trochę czasu na pogłębienie wiadomości z języka polskiego.

Zachęcił mnie do tego artykuł p. Kubisza. W jakże szczęśliwym położeniu jest czy była młodzież polska w Anglii w porównaniu ze mną, i na pewno z wieloma do mnie podobnymi. Nie tylko szkoła ale i polskie towarzystwo w moim wypadku nie istniało... „Orla” otrzymałam przy-

(Dalszy ciąg listów na przedostatniej stronie okładki)

fraszki

Jedna niepewność mniej

*Gdyby to w życiu jak w filmie, gdy się z miejsca wie,
Kto w którym skończy dobrze, a kto skończy źle.*

Gomułkowskie wybory

*Trudno, żeby wyprawka była lepsza od skórki:
Wybrani w tych „wyborach”, to same wybiórki.*

Względność szczęścia

*Jak to pewnym osobom los szczęścia nie skąpi!
Innym na głowę leje, jemu — tylko siąpi.*

RAWICZ

W NUMERZE:

- Paweł Zaremba — Apatia myślowa w Polsce?, str. 1.
- Zdzisław Stahl — Rewolucja pałacowa poprzedza „drugi Bandung” w Algierze, str. 2.
- J. P. H. — Między plotką i anegdotą, str. 4.
- Marian Czarnecki — „Budowniczo-wie katedr”, str. 5.
- Władysław Opolski — „Prawdopodobieństwo winy” i teoria represji, str. 7.
- Kuzma Wołk — O prasie i o „generalicji”, str. 8.
- Stanisław Paczyński — Teza, Antyteza, Synteza?, str. 11.
- Tadeusz Podgórski — Ludzie emigracji, str. 13.
- Zygmunt Stermiński — „Cuda gospodarze”, str. 15.
- A. Stypulkowski — Życie po raz wtóry, str. 17.
- Klara Evans — Szpital zapomnianych, str. 18.
- Zbigniew Grabowski — Grecja, s. 20.
- Temat: Czym jest szczęście? Ankieta czterech pisarzy (Z. Grabowski, T. Bornholtz, S. Wóycicki, M. Cybulski, str. 20).
- Jan Claude — Ah! To Beaujolais czyli: rzecz o winie, str. 28.
- Czesław Jeśman — Filipiny to 7.000 wysp, str. 30.
- Mieczysław Paszkiewicz — Zaczarowany las i inne dziwy, str. 32.
- Kazimierz Głabisz — Siły zbrojne państw niezaangażowanych, str. 35.
- Jan Ostrowski — Przegląd życia literackiego w polskim Londynie, str. 37.
- Czesław Dobek — „Kawałek nieba” Janiny David, str. 39.
- Stefan Wóycicki — „Asteroidy” — „Nike i Skarabeusz”, str. 41.
- Stefan Legeżyński — Wystawa Gigant, str. 41.
- Jan Gniazdowski — Polski Instytut Historyczny w Rzymie, str. 43.
- Paweł Hęciak — Triumfy polskich szybowników, str. 44.
- Tadeusz Krychowski — XI Zjazd SPK w Kanadzie, str. 46.
- Sowietica, str. 47.
- Krzyżówka — Listy do redakcji.

PRZECIWKO „planowi Brzezińskiego” wystąpił publicysta warszawskiej „Kultury”, Wilhelm. Krytyka była gwałtowna. Szła po linii wynajdywania sprzeczności „dialektycznych”, przypisywała Brzezińskiemu nieczne zamiary podważania spójności i bloku kierowanego przez Sowiety. Przede wszystkim wyrażała niezadowolenie z powodu rzekomego braku trzeźwej oceny rzeczywistości politycznej.

Wilhelmiego trudno zaliczyć do publicystów wysokiej klasy. Trudno go nawet zaliczyć do publicystów błyskotliwych. Uchodzi jednak w opinii, a to co pisze zdanie to potwierdza, za „najwierniejszego z wiernych” i za „absolutnie pewnego”. Stąd jego wypowiedzi awansują do rangi „stanowiska oficjalnego”.

Jemu też tylko jednemu, jak dotychczas, pozwolono pisać o „planie Brzezińskiego”. Miało to oznaczać, że komuniści w Polsce odmawiają „dialogu” i że uważają „amerykańską odtrutkę” na plan de Gaulle’a za mrzonkę.

„Plan Brzezińskiego” nie jest planem „amerykańskim” w tym sensie jak starają się to wykazać komuniści, nie tylko w artykule Wilhelmiego, lecz także i przede wszystkim w różnych wypowiedziach nie drukowanych. Koncepcje Brzezińskiego nie są głosem Departamentu Stanu, nie wydzaje się też by były inspirowane przez jakiegokolwiek oficjalne kółka polityczne w Stanach Zjednoczonych. Podkreślił to zresztą w sposób bardzo przekonujący sam Brzeziński na odczyt publicznym z okazji swego niedawnego pobytu w Londynie. Jeśli komuniści myślą inaczej, dowodzi to albo ich braku orientacji w stosunkach panujących w Ameryce, albo też chęci „wydmuchania” planu do dużych rozmiarów w tym celu by móc przed nim „przestrzegać” i bić na alarm.

Najpewniej w grę wchodzi obydwie możliwości. Druga z nich jest bardzo interesująca. Jest bowiem potwierdzeniem obawy przed wrzeniem intelektualnym w społeczeństwie polskim, zwłaszcza wśród młodzieży partyjnej związanej z komunizmem w sposób formalny, lecz nie zastępującej na patent „przwnych i godnych zaufania”.

Wrzenie to, po „aferze 34” stało się podskórne. Tak dalece, że zarówno w Polsce jak i na Zachodzie zaczęto narzekać na rzekomą apatię myślową tzw. elity intelektualnej. Apatia ta miała być odbiciem i echem zniechęcenia i apatii całego społeczeństwa.

Wiele przemawia za tym, że jest to zdanie niestuszne. Wzmrożona czujność reżimu, wyrażająca się między innymi także utrudnieniami wyjazdów za granicę właśnie dla intelektualistów, zdaje się wskazywać na wręcz coś przeciwnego. Istnieje ciągła chęć szukania okazji do „dialogu”, choćby prowadzonego ukryciem.

Na tym tle zrozumiałym się staje atak na koncepcje Brzezińskiego. Uzna-no je widocznie za niebezpieczny czyn myślowy.

APATIA MYŚLOWA W POLSCE?

W „Polityce” ukazał się za to artykuł Osmańczyka. Jego treść raczej ironicznie określono jako „plan Osmańczyka”. Artykuł jest ostrożną pochwałą tzw. planu de Gaulle’a urzędzenia Europy i świata. Nie mówi tego wprost. Na tego rodzaju odwagę nie stać reżimu. Wprowadza inne niż de Gaulle kryteria „regionalnych powiązań”. Mówi o „północnej Azji” w przeciwstawieniu do południowej, co można nazwać inaczej, używając słów Rosja i Chiny. Mówi o współpracy tejże Azji północnej, w sposób zresztą pośredni, z Ameryką i Europą zachodnią. Przypisuje duże znaczenie roli jaką odegrać może Europa wschodnia i przestrzega przed destrukcyjną rolę Niemiec Zachodnich w tych misternych planach współpracy. Czy artykuł Osmańczyka jest tylko mydleniem oczu? Sądźmy, że nie. W Warszawie mówi się, że w niedługim czasie „Polityka” ogłosi szereg artykułów rozwijających jego tezy. Ma się im rzekomo nadać ton jak najbardziej „oficjalny”, prowadzący do wypowiedzi „autorytatywnej” zapewne z podpisem Rakowskiego. Dotychczas w tonie kpiącym artykuł Osmańczyka skomentował w „Polityce” Dominik Horodyński.

Oczywiście, nawet najbardziej „autorytawne” koncepcje tego rodzaju zaliczyć trzeba do rozgrywek taktycznych, uzgodnionych lub wprost zasugerowanych przez Kreml. Nie należy ich jednak lekceważyć. Nie należy lekceważyć nawet samych zapowiedzi, gdyby na zapowiedziach się skończyło. Z jednej strony dlatego, że i one wzmacniają wrzenie intelektualne, co w każdym wypadku jest zjawiskiem pozytywnym w kraju, pozbawionym wolności słowa i działania. Z drugiej zaś strony może to wskazywać na chęć wyzyskania wizji przyszłościowej prezydenta Francji dla własnych pieczęci komunistycznych. Jedną z nich jest nadzieja przeciwdziałania polskiej myśli politycznej wśród emigracji, która może znaleźć się w sytuacji niewygodnej w atmosferze kulturalnej współpracy Paryża i Warszawy. Drugą, chęć wbijania szeregów małych klinów między Francję i Stany Zjednoczone, wykorzystując „antyamerykanizm” oficjalnych czynników Francji, który to „antyamerykanizm” przyjmuje się w świecie komunistycznym za pewnik.

Na szczęście wiele wskazuje na to, że popełniają tutaj pomyłkę. Po prostu przeceniają jego znaczenie nie rozumiejąc, że od wzajemnych krytyk, niechęci, przetargów a nawet incydentów politycznych, daleko jest bardzo do „odwrócenia przymierzy”.

Paweł Zaremba

GORĄCA wojna w Wietnamie i krwawa rewolucja na Dominikanie, które obie przeszły w stan chroniczny i do których trwania opinia światowa zdołała się przyzwyczaić, zostały niespodziewanie przesłonięte pałacową rewolucją w Algierze. Prezydent Algierii Ben Bella został w sobotę 19 czerwca nad ranem aresztowany i usunięty z urzędu przez wojskową „Narodową Radę Rewolucyjną“ pod przewodnictwem płk. Huari Bumiedienne’a, poprzednio wicepremiera i ministra obrony w rządzie Ben Belli. Rewolucja była początkowo bezkrwawa, ale Ben Belli — którego miejsce pobytu po aresztowaniu nie zostało, jak dotychczas, ujawnione — zamachowcy przez usta płk. Bumiedienne’a postawili zarzuty zdrady stanu, co zapowiadało wyraźnie karę śmierci.

Ben Bella i Bumiedienne stanowili parę przyjaciół, między którymi ostatnio zaczęły się rzekomo rysować nieporozumienia, o czym zresztą szersza opinia dowiedziała się po zamachu. Dopiero teraz podkreśla się też różnice, zachodzące między obu indywidualnościami, poprzednio uważane raczej za gwarancję pomyślnego współdziałania. Milczący i skupiony wyłącznie na sprawach wojskowych, Bumiedienne — zdawało się — idealnie uzupełniał mówcę i zręcznego polityka Ben Bellę. Ideologicznych, programowych różnic nie odkryto między obu przywódcami algerskimi nawet po zamachu. Nacjonalizm algerski uzupełniony panarabizmem w stylu Nassera, którego obaj poróżnieni przywódcy algerscy byli przyjaciółmi, dalej komunizujący socjalizm ustrojowy wewnętrzny i polityka „nieangażowania się“ w stosunkach międzynarodowych, oto znany serwis haseł, wspólnych zarówno obalonemu Ben Belli, jak triumfującemu tymczasem Bumiedienne’owi.

CZY I KTO INSPIROWAŁ BUMEDIENNE’A?

Także w przydługim komunikacie, ogłoszonym tuż po zamachu a zawierającym listę rzekomych przewinień Ben Belli, trudno się dopatrzeć nowej i odmiennej linii politycznej jego poprzedników. Obalonemu prezydentowi zarzucała „Narodowa Rada Rewolucyjna“ despotyzm i kult jednostki, zamiłowanie do luksusu i improwizację w polityce, wreszcie „diabolizm i makiawelizm“, czyli wszystko zarzuty natury moralnej i osobistej, a nie politycznej, zarzuty, które zresztą łatwo pokonanemu postawić, ale trudniej obiektywnie udowodnić. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, zamachowcy gorliwie podkreślali od pierwszej chwili, że pozostała ona bez żadnej zmiany.

Tylko jeden akcent komunikatu, obywatelano po zamachu przez płk. Bu-

ZDZISŁAW STAHL

REWOLUCJA PAŁACOWA POPRZEDZA

medienne’go nasuwa podejrzenie, jakie były istotne powody obalenia Ben Belli i otwiera sprawę ewentualnego wpływu zewnętrznego na algerską rewolucję pałacową. Charakterystyczny ten ustęp stwierdza wprawdzie, że „Algieria stoi w przedzie dniu najważniejszej konferencji międzynarodowej, jaka może się odbyć w kraju świata niezaangażowanego“ i podkreśla następnie, iż „nie można było pozwolić, aby jeden człowiek (czyli Ben Bella) ją eksploatował... Szczera przyjaźń — czytamy dalej — i braterski szacunek, który się od nas należy tym narodom (rozumie się zaproszonym na konferencję) oraz ich przywódcom nakłada na nas obowiązek napiętnowania wobec nich makiawelskich manewrów diabolicznego dyktatora, który spodziewał się zyskać korzyści z tego wydarzenia“.

W ten sposób nie tylko fakt, że obalenie Ben Belli poprzedziło bezpośrednio konferencję narodów afro-azjatyckich w Algierze, ale przytoczone zdania zamachowców, dowodzą że ta konferencja, czyli ważny akt polityki międzynarodowej, co najmniej przyspieszyła, jeśli nie w ogóle pośrednio spowodowała zamach. Stosując zasadę „fecit, cui prodest“ wypada się zastanowić komu ze strony zagranicznej mogło do tego stopnia zależeć na storpedowaniu lub odroczeniu czy skomplikowaniu algerskiej konferencji, że zagraniczny ten czynnik przyczynił się do wywołania przewrotu.

Ponieważ znana była rywalizacja Moskwy i Pekinu w stosunku do narodów afro-azjatyckich, znane starania Rosji o uzyskanie zaproszenia i sprzeciw Chińskiej Republiki Ludowej, w stronę jednego z tych czerwonych imperiów skierowano podejrzenia o inspirację zamachu. Rosja przy tym, której przypisywano gorsze szanse na konferencji, stała się też głównym podejrzanym. Oczywiście, mocarstwa zachodnie nie mają powodu żałować, że algerska konferencja natrafiła na niespodziane przeszkody, ale w ich stronę tymczasem — prócz sporadycznego i z małą poważną stroną wskazywania Stanów Zjednoczonych — posadzeń o ciche porozumienie z zamachowcami nie wysunięto.

Ale ktokolwiek miał na myśli, że warto by — wyzyskując rywalizację przywódców arabskich — ten „drugi Bandung“ storpedować lub przynajmniej podważyć, trzeba stwierdzić, że cel swój osiągnął, bo konferencja algerska otrzymała w każdym razie cios poważny. Cokolwiek bowiem stanie się dalej, jakiegokolwiek rezultaty główni organizatorzy konferencji z Czu-En-lai’em i Nasse-

rem na czele zdołają jeszcze osiągnąć po odroczeniu „drugiego Bandungu“ na 5 listopada, trzecia siła światowa narodów afro-azjatyckich ujawniła istnienie czynników, groźnych dla jej przyszłości. Wewnętrzne sprzeczności w łonie tych narodów i rywalizacja wpływów obcych, wszystko to może się okazać fatalne.

Sama wewnętrzna sytuacja w Algierii nie jest zresztą także opanowana, zamachowcy mają w ręku — jak wydaje się — jedynie wojsko i nowy reżym nie wygląda na ustabilizowany.

POKOJOWA INICJATYWA PREMIERA WILSONA

Równoległe do rewolucyjnej sensacji algerskiej opinia światowa otrzymała sensację dyplomatyczną ze strony brytyjskiego premiera H. Wilsona, który wystąpił z nią na dorocznej konferencji premierów Commonwealth’u czyli Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Oparty niemal wyłącznie na tradycji związek tych państw, które wchodziły kiedyś do imperium korony angielskiej, corocznie wywołuje dyskusję w prasie londyńskiej, raczej sceptyczną i nawet ironiczną na temat swojej żywotności.

Tego „klubu premierów“ państw, mających więcej sprzecznych niż zgodnych interesów i dającego okazję do towarzyskiej raczej imprezy, nikt już od dawna nie traktuje zbyt poważnie i premier Wilson chciał prawdopodobnie swoją „pokojową inicjatywą“ ożywić międzynarodowe zainteresowanie jego istnieniem. Ponadto, inicjatywa ta miała z pewnością na celu podreperowanie opinii brytyjskiego premiera socjalistycznego na lewym skrzydle jego partii, burzącej się na poparcie udzielane przez Londyn polityce prez. Johnsona. Poparcie to wypływa wprawdzie z brytyjskiego interesu państwowego, ale stoi w oczywistej sprzeczności z pacyfistyczną frazeologią lewicy Labour Party.

Inicjatywa dotyczyła, jak wiadomo, wojny wietnamskiej i miała polegać na tym, że wybrany zespół państw Wspólnoty z premierem Wilsonem na czele zwróci się do państw, objętych konfliktem wietnamskim, czyli do Stanów Zjednoczonych i pld. Wietnamu z jednej strony oraz do rządów Hanoi, Pekinu i Moskwy — z drugiej z ofertą pośrednictwa pokojowego. Instytucji międzynarodowych, powołanych do takiej akcji pośredniczącej jest wprawdzie aż nadto, bo oprócz Organizacji Narodów Zjednoczonych są także dwa komitety, pozostawione w tym celu przez Konferencję Genewską specjalnie dla pld. wschod-

„DRUGI BANDUNG“ W ALGERZE

niej Azji, ale uznano, że od przybytku w tak popularnej sprawie głowa nie boli.

Konkretne rezultaty nie stanęły, co można było przewidywać, na wysokości hałasu, który dokoła tej inicjatywy zrobiono. Waszyngton, zaznaczywszy swój sceptycyzm, co do reakcji drugiej czyli komunistycznej strony, odniósł się do inicjatywy londyńskiej przychylnie i oświadczył gotowość przyjęcia misji Wilsona; to samo powtórzono w Sajgonie. Stolicy komunistyczne natomiast, Hanoi, Pekin i Moskwa udzieliły odpowiedzi odmownej, wszystkie w tonie równie stanowczym. Na marginesie odmowy sowieckiej przedstawiciele Commonwealth'u zaczęli robić optymistyczne komentarze, że nie jest jakoby tak negatywna, jak brzmi, ale był to zaledwie znany „wishful — thinking“ zachodnich koegzystencjalistów z Rosją, który wszystkie jej kroki zabarwia na różowo. Czy Wilson uspokoił tą pokojową inicjatywą, chociaż poronioną, swoją lewicę partyjną, to się dopiero okaże.

„TEACH — IN“ W ANGLI I AUSTRALII — SUKCES STEWARTA

Tymczasem kampania pacyfistyczno-komunizujących kół, mobilizująca przeciw stanowczej walce Johnsona z komunizmem na terenie pld. wschodniej Azji sfery uniwersyteckie pod hasłem „teach — in“ (nauczaj), rozchodzi się ze Stanów Zjednoczonych na inne kraje. Mocno reklamowane, nadawane przez telewizję i tłumne zebranie tego typu odbyło się w połowie czerwca w angielskim Oksfordzie i dalej — według depeszy londyńskiego „The Times“ z 23 tegoż miesiąca rozpoczyna się ten sam ruch w Australii. Na razie 240 profesorów i docentów uniwersyteckich wystosowało do premiera Menzies'a protest przeciwko amerykańsko-australijskiej polityce w Wietnamie, domagający się zarazem pokojowego rozwiązania.

Oksfordzka debata pod hasłem „teach — in“ stała się okazją do niespodziewanego zabyśnięcia mało dotąd znanego, brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych, M. Stewarta. Przybyły specjalnie w tym celu z Waszyngtonu dawny ambasador amerykański w Sajgonie, Cabot Lodge nie spotkał się z dobrym przyjęciem oksfordzkiego audytorium, ale nie umiał do niego przemówić skutecznie także według obiektywnych obserwatorów. Dużym sukcesem okazało się natomiast wystąpienie M. Stewarta.

Pełniąc niewdzięczną rolę „namiestnika“ Gordon Walkera, którego odsunęły z Foreign Office'u jedynie porażki wy-

borcze, Stewart miał go zaledwie czasowo zastąpić. Tymczasem oksfordzką jego mowę prasa jednomyślnie uznała za doskonałą i niektóre pisma dopatrzyły się w nim nawet, może na złość Wilsonowi, możliwego kandydata na premiera. Stewart, w przeciwieństwie do innych przywódców Labour Party, nie rzucał demagogicznych frazesów, nie starał się przypodobać słuchaczom, operował faktami i logicznym, politycznym rozumowaniem, co rozbroiło nawet część złe dla niego usposobionego audytorium, a zachwyciło brytyjską prasę oraz widzów telewizyjnych.

Incydent ze Stewartem, który dał okazję prasie do postawienia kwestii następstwa po Wilsonie na tle fiaska jego wietnamskiej inicjatywy pokojowej, to tylko jedna strona osłabionej pozycji socjalistycznego gabinetu brytyjskiego. Coraz gorsze położenie gospodarcze Anglii na skutek utrzymującego się deficytu bilansu płatniczego, wzrostu cen oraz płac i zagrożenia w rezultacie funta, to inny jeszcze ważniejszy czynnik tego osłabienia. Kiedy szersza opinia zaczyna tracić zaufanie do pewności siebie, ujawnianej aż zbyt przez Harolda Wilsona, minimalna większość trzech głosów w Izbie gmin przestanie wystarczać do utrzymania się przy władzy bez nowych wyborów, których prawdopodobieństwo na jesieni zaczyna rosnąć. Skłoniło to Wilsona do wyraźnego zaprzeczenia rozpowszechnianym na ten temat pogłoskom.

20-LECIE BANKRUTUJĄCEJ ONZ

Pod koniec czerwca przypada dwudziestolecie Organizacji Narodów Zjednoczonych, która w roku 1945 zakładana była w imię najwznioślejszych zasad wolności człowieka i niepodległości narodów, zasad gwałconych wtedy brutalnie przez Sowiety, których totalizm zajmował miejsce hitlerowskiego na ziemiach Polski i innych krajów środkowo-wschodniej Europy bez skutecznego protestu ze strony mocarstw zachodnich.

Obecnie to dwudziestolecie ma być święcone w San Francisco, gdzie fundamenty pod tę świątynię obłudnych frazesów i oportunistycznej praktyki zakładano, ale trudno się dziwić, że prez. Johnson postanowił w zapowiedzianej mowie nie robić z tego sposobności do ważnej inicjatywy międzynarodowej. ONZ jest w stanie dosłownego, finansowego bankructwa, a jej autorytet moralno-polityczny nigdy chyba nie stał tak nisko. Tegoroczne Ogólne Zebranie nie mogło się z powodu sporu o wpłaty finansowe w ogóle odbyć, a konferencje

rozbrojeniowe, które pod egidą ONZ od lat prowadzą swoje syzyfowe prace w Genewie musiały ulec także zawieszeniu.

W rezultacie, ONZ — która otrzymała łaskawy zastrzyk na najpilniejszą potrzeby (zapewne na pensje, hojnie płatnych swoich urzędników) w wysokości 10 milionów dolarów od rządu brytyjskiego, a teraz spodziewa się odpowiednio wyższego daru od Stanów Zjednoczonych — staje się instytucją martwiejącą i niezdolną nawet dłużej pozorować swoich wzniosłych akcji „pokojowych“. Na Dominikanie wyręczyła je ostatnio Organizacja Państw Amerykańskich, a z gestem inicjatywy pokojowej w sprawie Wietnamu wystąpił też, jak przedstawiono to wyżej, Wilson imieniem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, z równie zresztą negatywnym skutkiem, jakie spowodowały przeważnie analogiczne inicjatywy ONZ.

Prez. Johnson, jak donosił waszyngtoński korespondent londyńskiego „The Times“ w dniu 24 czerwca, nie uważa zresztą obecnie w ogóle żadnej inicjatywy pokojowej za aktualną. Komunistów Wietnamu oraz ich moskiewsko-pekińskich protektorów inicjatywa taka umocniła by jedynie w nadziei zwycięstwa, ponieważ sezon deszczowy daje im czasową przewagę. Po wtóre, Biały Dom zdaje sobie sprawę, że — po urwaniu kontaktów z Kremlem — brak atmosfery do podejmowania jakiegokolwiek tzw. ofensywy pokojowej, w której wątpliwą skuteczność, sam Johnson i tak, wyrażając się, nie wierzy. Dąży więc przede wszystkim do osiągnięcia wojskowej przewagi w Wietnamie, słusznie oceniając, że dopiero sukcesy na polu wyścigu siły mogą skłonić komunistycznych przywódców do dyplomatycznych rokowań.

Czy jednak sukcesy na terenie samego Wietnamu i pld. wschodniej Azji do tego wystarczą? Konflikt świata wolnego z komunistycznym blokiem jest globalny, czyli również przewaga musi być okazana globalnie, na wszystkich kontynentach. **Zdzisław Stahl**

NOWE WŁADZE W KRAJOWYCH SPK BELGIA

Zjazd delegatów kół SPK wybrał nowy zarząd krajowy w składzie: W. Drodzowski — prezes, J. Czarkowski i K. Wójcik — wiceprezisi, S. Merlo — sekretarz, S. Lebelt — skarbnik, W. Pietrzak i C. Pisera — członkowie zarządu.

NOWA ZELANDIA

Zjazd krajowy w Wellingtonie powołał do zarządu krajowego w N. Zelandii następujących kolegów: K. Jabłoński — prezes, S. De Kopff i B. De Larzac — wiceprezisi, M. Chaber — sekretarz, H. Bajko — skarbnik, H. Bajko i B. Prorok — gospodarze, L. Kowalczyk oraz E. Mroczek — członkowie zarządu.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Księżyc jest dziś bliższy ludziom niż przed pięciuset laty była Ameryka, o której nie wiadomo zresztą czy w ogóle istnieje. Kolumb jechał przeciw do „Indii” i był pewien, że do Indii dojechał. Inną drogą, niż dojeżdżano dotychczas.

Szukał tej drogi na podstawie bardzo niepewnego przekonania, że ziemia jest „okrągła”. Nie ryzykowano wtedy twierdzenia, że jest kulista; mówiono „rotunda”. Kolumb wierzył, że jest okrągła, większość współczesnych nie wierzyła. Dziś każdy wie gdzie jest księżyc, i wie jak do niego dojechać. Nie będzie niespodzianek, przynajmniej nie będzie takich jakie czekały na Kolumba.

Szybko czas się toczy. Pamiętam własny uśmiech powątpiewania, gdy robiłem korekty artykułu śp. Tadeusza Felsztyna, chyba jakie dziesięć lat temu. Felsztyn pisał, że najdalej przy końcu siódmego dziesiątka naszego stulecia ludzie wyładują na księżycu.

ZBLAZOWANE CZASY I GRUSZKA KOLUMBA

Na dobrą sprawę niewiele do szczególnie nie podnieca. Przyjeżdżamy do wiadomości, że za parę lat Amerykanie czy Rosjanie wyładują na księżycu. Uważamy to za pewnik i coraz mniej to nas obchodzi.

W kilku czy kilkunastu rozmowach na temat ostatniego lotu dwóch kosmonautów amerykańskich zachwycano się doskonałymi zdjęciami, które każdy oglądał w telewizji, na filmie czy w magazynach ilustrowanych. Zdjęcia rzeczywiście dobre. Lecz nie wydaje mi się sprawiedliwe, by wyczyn White'a i McDivitta oceniać wyłącznie od strony osiągnięć sztuki fotograficznej. Tak jednak jest i nic na to nie poradzimy. W sensie technologicznym jesteśmy już pokoleniem zblazowanym.

Zwłaszcza młodzież. Mało co ją dziwi w ogóle a w technice nie dziwi zgoła nic. Jeszcze taki siaki pięćdziesięciolatek może skrzesać w sobie odrobinę entuzjazmu, słysząc o księżycu i innych cudach przyszłości. Może dlatego, że ma z czym porównać. Pamięta jak jechał furką zaprzęgniętą w jednego konia (przy jednym dyszlu) na jarmark do Mławy. I patrzył państwo — jedziemy na księżyc! Ale dla piętnastoletniego chłopca czas, gdy nie było telewizji, helikopterów i radaru są równie odległe jak podróże Kolumba.

A propos Kolumb i kształt ziemi. Udo wodniejszy, że kształt ten przypomina jabłko, miał ogromne wątpliwości czy się nie pomylił. W swej czwartej podróży odkrywecej, która go zaprowadziła do brzoższej dzisiejszej Wenezueli z przyczyn dość niejasnych doszedł do wniosku, że w tym miejscu ziemia posiada wyrostek. Coś w rodzaju brodawki, której szczyt ma się znajdować u źródeł rzeki Orinoco. Ziemia ma kształt gruski powiedział wówczas i zapewne byli tacy co mu uwierzyli.

„TO SIĘ WIE”

Ludziska mówią „to się wie” albo wtedy gdy coś ich bardzo nudzi i nie chcą więcej o tym słyszeć, albo gdy absolutnie czegoś nie wiedzą, lecz nie chcą się do niewiedzy przyznać.

Jest jeszcze jeden gatunek ludzki. Tacy co wiedzą coś naprawdę, lecz nie mogą zrozumieć, że inni nie wiedzą. Do nich z reguły należą naukowcy (w sensie „science” tylko, bo humaniści na odmianę uważają, że nikt o niczym nie ma pojęcia i jak najchętniej wszystko wszystkim tłumaczy). Technolog, przyrodnik, „elektrownowiec” czy kto tam jeszcze popada w krańcowe zdumienie, gdy mu się powie „nie rozumiem”.

Wyzyskują to spryciarze specjalizujący się w tak zawnej popularyzacji. Facet ma odrobinę zdolności ustawiania słów koło siebie w jakim takim porządku syntaktycznym. Więc kupuje sobie encyklopedię, czyta kilka artykułów z fachowego pisma i płodzi popularną książkę naukową. Ludzie nauki wrzuszają ramionami w naiwnym przekonaniu, że się nikt nie da na to nabrać. Każdy się nabiera.

LUKA W DZIENNIKARSTWIE EMIGRACYJNYM

Zdobyliśmy sobie zasłużoną pewno sławę wśród obcych, dzięki zdolnościom i pracowitości naszych techników i naukowców. Ileż wysokich stanowisk w przemyśle i w biurach studiów, ileż katedr uniwersyteckich zajmują młodzi Polacy. Wszędzie jakiś siedzi.

Lecz niestety, żaden z nich nie chce się wysilić na popularyzację swojej specjalności. W tym wypadku używam słowa „popularyzacja” w dobrym tego słowa znaczeniu, bez cienia kpiny. Wspomniany śp. Tadeusz Felsztyn był unikatem. Gdy jego zabrakło skończyły się artykuły popularno-naukowe w całej, jakże licznej i rozbudowanej, prasie polskiej na emigracji. Nie ma komu napisać. Na każdy temat polityczny hurma dziennikarzy gotowa jest wypisywać szpalte za szpalte. Na reportaże można znaleźć kandydata. Niekiedy można nawet znaleźć felietonistę. Za to artykuł o technice pojawia się jak mały rodzynek w ogromnym cieście, samotny, zapomniany i często bardzo suchy. Suchy rodzynek nie należy do przysmaków.

STARY MŁODEGO CZYLI RZECZ O KRAWACIE

Nie, nie chodzi znowu o artykuł Kubisza o „Konflikcie pokoleń”. Chodzi o krawat.

Przedmiot ten cieszy się szczególnym szacunkiem w naszym kręgu cywilizacyjnym. Jego przeznaczenie praktyczne jest nieznanne. Kiedyś, gdy był jeszcze potężnym „halsztuchem” czy „żabotem”, chronił zapewne przed zimnem naczynia krążeniowe ulokowane między szyją a, przepraszam za wyrażenie, pępkiem. Dziś trudno chyba sądzić, że ludzie wkładają krawaty po to, by im było ciepło. Owszem, krawat jest ozdobną częścią męskiej garderoby. Jedyny weselszy kawałek materiału na tle beznadziejnie monotonnej „marynarki”. Lecz nie jest chyba aż tak piękny i estetyczny, by warto było z tego powodu staczać o krawat boje.

Walka o krawaty ma raczej znaczenie głęboko symboliczne. W nim zawiera się mistycyzm snobistyczny starszego pokolenia. W krawacie możesz wejść do klubu (na przykład do londyńskiego „Ogniska

Polskiego”). Nikt cię nie zapyta ktoś zac. Wszystkie twoje — nazwijmy to felery życiowe — rozgrzesza posiadanie kolorowego kawałka jedwabiu lub nylonu, związanego pod szyją.

Oczywiście potrzebna jest koszula — krawat zawiązany pod szyją bez koszuli nie ma tych magicznych właściwości.

Jest coś bohaterskiego w tym przywiązaniu do krawatu. Coś na miarę konania z rozwiniętym sztandarem na barykadzie, przez którą przelewają się hurmy lekceważących krawaty bezecznych rewolucjonistów. Trzymamy się krawatu jak tonący brzytwy w przekonaniu, że jeśli z wszystkiego tylko krawat ci pozostał, to jednak nie wszystko jeszcze przepadło.

Lecz brzytwa nie uratowała nikogo przed utonięciem. I mają chyba rację ci z pośród młodzieży, którzy odmawiają krawatowi magicznego znaczenia.

Bo wiąże się to z pytaniem, co należy rozumieć pod określeniem:

„STRÓJ ODPOWIEDNI”

Dla kogo i w jakich okolicznościach? Nie tak jeszcze dawno, bo lat temu niespełna trzydzieści pięć, nie wpuszczono mnie z bratem do opery paryskiej na miejsce parterowe, bo przyszliśmy na galowe przedstawienie „Fidelia” (okropnie nudna opera) w smokingach. Należało przyjąć we fraku...

Dziś, sądzę, nie wpuszczono by nas bez krawatu, choć nikt by się specjalnie nie troszczył o to czy mamy „stroje wizytowe” co o ile wiem, oznacza ciemne ubranie.

Konserwatyzm czy brak imaginacji wśród mężczyzn zakuł kilka pokoleń w standartowe ciemne ubrania. Z nieodzwonnym krawatem. Dopiero od niedawna ubrania te trochę się ożywiły. Pojawilo się coś zasługującego na nazwę mody. Zmieniają się kroje, nowe materiały syntetyczne pozwoliły fabrykować ubrania lżejsze. Co ciekawsze namnożyło się różnych „casuals” — przepraszam za angielski termin — które odbiegają od monotonii. Swetry awansowały do roli części stroju z poprzedniej wyłącznie ochronnej przed zimnem. Turystyka, upowszechnienie samochodu (myślę o Europie), kultura plaży, także wywarły wpływ na wprowadzenie odrobiny barwy i odmienności kształtu. Modę lansuje młodzież. Jest w tym nieco buntu przeciwko konwencji wymyślonej przez starszych, jest w tym także dużo logiki. Zmienione ramy życia wymagają zmiany stroju.

Dla kilkunastoletków „strój wizytowy” traci myśkłą, jest dziwaczny, niepraktyczny i nudny. Jest bardziej archaiczny niż dla mnie frak lub tzw. „żakiet” czyli „jaskółka”.

Czy wynika z tego, że młodzież zatraciła pojęcie „odpowiedniego stroju”? Na pewno nie. Po prostu ma inne kryteria elegancji. Zdaje się, że są bardziej elastyczne od dotychczasowych.

KRYTERIA NIEZMIENNE

Są i takie. Należy do nich osobista czystość. Zaniedbania w tym względzie są objawem dekadencji. Znaczna część młodzieży na nie cierpi. I to chyba powinno budzić zastrzeżenia a nie bunt przeciwko krawatowi i „strojowi wizytowemu”.

„Beatnictwo” w stroju jest zwykłym niechlujstwem. Młody chłopiec z włosami spadającymi na ramiona, ufryzowanymi lub nie, denerwuje i wywołuje stare jak świat westchnienia „co z nich wyrośnie”. Lecz długie włosy nosili mężczyźni z licznymi nawrotami w historii. Więc może

żnówu przyszła na nie kolejka. Co dziś razi, za dziesięć lat razić przestanie. Jedyny warunek: żeby włosy nie były zmierzwióne i żeby swoboda stroju nie wiązała się ze spadkiem zapotrzebowania na mydło.

LATO TURYSTYCZNE

W ubiegłym roku 100 milionów mieszkańców Europy zachodniej spędziło urlop poza granicami własnego kraju. Hiszpania, teren dla turystyki masowej względnie nowy, miała 13 milionów turystów. W tym roku liczy na znacznie więcej. Także z Anglii, pomimo „zimnej wojny“ na przejściu granicznym w Gibraltarze. Wybiera się Anglików do Hiszpanii podobno 4 miliony.

Francuzi także wyjeżdżają poza Francję, co było nie do pomyślenia „en masse“ jeszcze przed dziesięciu laty. Podobno osiem milionów wyjechało w roku 1964. Tradycyjne kraje turystyczne — Włochy, Szwajcaria i właśnie Francja — utraciły swój monopol. Dziś terenem turystycznym jest również odległa Grecja, jest Portugalia i kraje skandynawskie. Jest także Anglia, choć Anglia to teren specjalny: należy do tzw. musu dla Amerykanów i obywateli państw Wspólnoty, do niedawna zwanej brytyjską. W sensie kulturalnym jest to ciągle „stary kraj“, nawet dla ludzi pochodzenia nie anglosaskiego, który należy zobaczyć w przejeździe do Europy.

Przyczyny i powody wzmożonej turystyki wakacyjnej są dobrze znane. Łatwo jest jechać zagranicę i kto może korzysta. Ciekawsze są skutki. Najważniejszym chyba będzie wytworzenie powszechnego przekonania, że pojęcie „granicy“ jest archaizmem z którym należy skończyć. Nie tylko w marzeniach idealistów i w rozmyślniach polityków i socjologów lecz w przekonaniu zwykłych zjadaczy chleba. Stanie się równie nieznosna i bezsensowna jak płacenie myta na moście lub rogatkowego przy wjeździe do Miechowa.

„Wspólny Rynek Turystyczny“ przyczyni się bardziej do konsolidacji europejskiej, niż Wspólny Rynek Gospodarczy.

MYŚLI POGODNE

Oczywiście źle się dzieje na świecie. Oczywiście sytuacja międzynarodowa i podział świata na ziemię „ludzką“, „nie ludzką“ (parafrazując tytuł książki Czapskiego) i „niezaangażowaną“, jest kalectwem ludzkości, które tylko albo czas (bardzo długi) albo operacja (zapewne śmiertelna dla pacjentów) może naprawić. Oczywiście podatki, oczywiście inflacja, oczywiście „rozwydrzenie“ młodych i „glupota“ starych. Wołowej skóry na wylczenie wszystkich „oczywiście“!

Ale „Słońce świeci tak samo“, żeby się posłużyć jeszcze jedną pożyczką literacką z tytułu książki tym razem Stefana Wóycickiego. O słońcu pięknie pisał Makuszyński, jak to mu ono wpadając przez okno na stół, przebudowało w ciągu paru minut cały świat psychiczny.

Potępiam polskie powiedzonko „jakoś to będzie“ bo rozgrzesza nieróbstwo. Przyklaskuję za to powiedzeniu „musi być lepiej“ bo syci się nadzieją a nakazuje pracę.

Co powiedziawszy — przeznaczam resztę dnia na błogie nieróbstwo. Może wyciągnę się na trawie, może pójdę się przejść popatrzeć na dzieci, na dziewczętą i na starych emerytów w parku. Im więcej zobaczę uśmiechów tym będę mocniej stał przy swoim zdaniu: że nigdy nie jest tak źle by lepiej być nie mogło.

J. P. H.

MARIAN CZARNECKI

„BUDOWNICZOWIE KATEDR“

GENERAL de Gaulle posiada sztukę, właściwą tylko wojskowym, przechodzenia z koszar do salonu — pisze jeden z paryskich dzienników. Chodzi tu o język, jakiego używa prezydent Francji, w swych wypowiedziach na ten sam temat. Raz soczysty, koszarowy, drugi literacki, na poziomie członka akademii. Ostatnio dał tego jaskrawy przykład.

Przyjmując 10 czerwca br. członków parlamentu w pałacu Elizejskim, gen. de Gaulle wdał się z jedną z grup w rozmowę na temat zjednoczenia Europy. Jak wiadomo, jest przeciwnikiem wszelkiej fuzji i Europy „ponadnarodowej“, a zwolennikiem koncepcji konfederalnej. Powiedział: „To nie trudno wygłaszać przemówienia na temat Europy „ponadnarodowej“... Łatwo być „Jean-foutre“. Słownik encyklopedyczny Larousse określa ten termin jako obraźliwy i ordynarny, a inne słowniki nawet jako wulgarny; nasz „głupi Jasio“ jest przy nim oczywiście wyrażeniem salonowym. Na to jeden z deputowanych zwrócił uwagę, że przecież Stany Zjednoczone są przykładem takiej ponadnarodowej fuzji. „To jest bez związku. Stany rozpoczęły od niczego. Ameryka była terenem dziewiczym, gdzie pionierzy znaleźli tylko kości czarwonoskich, którzy wyróżnili...“ Tu generał użył słowa „zigouiller“ — wyróżnić, które też należy raczej do słownika koszarowego, choć nie w tym stopniu, co poprzednie.

W dwa dni później Prezydent Francji wylądował wraz ze swym premierem i czterema ministrami w Bonn, na okresowe spotkanie z kanclerzem N.R.F. przewidziane traktatem o przyjaźni i współpracy z 1963 roku. Tam, przemawiając na oficjalnym bankiecie na ten sam europejski temat, w te słowa zwrócił się do kanclerza: „My Europejczycy jesteśmy budowniczymi katedr... — robiąc aluzję do Kolonii i Chartres — i teraz przedsiębiorzymy budowę Euro-

py zachodniej, wy i my. Ah! Co za katedra! Jednak mamy wszystkie powody, by myśleć że nie będzie to trwało tak długo, bo tamte mierzyło się wiekami... Ta katedra, jaką budujemy, mówię o Europie zachodniej, ma już fundament i tym niezbędnym fundamentem jest pojednanie Niemiec z Francją. Ma filary, albo będzie miała filary, a tymi filarami jest Europejska Wspólnota Ekonomiczna... A później pozostanie umieszczenie łuków i dachu, tzn. współpracy politycznej. Mamy pełną nadzieję i wszystkie powody do myślenia, że nam się to uda. Gdy tego dokonamy — ciągnął dalej generał — nie będzie to tylko dla nas, ale i dla innych, jeżeli zechcą razem z Sześcioma (Wspólnego Rynku) przyjść i korzystać z tego miejsca zebrań. A gdy nasz cel osiągniemy, to kto wie, może zasmakujemy w budowaniu takich pomników. Wówczas, być może, zechcemy i będziemy w stanie wybudować katedrę jeszcze większą, jeszcze piękniejszą, mam na myśli związek całej Europy...“ „Gruby Ludwik“ był podobno wzruszony tą piękną alegorią, bo jakąś budowlą może być dla Niemca piękniejsza od kolońskiej katedry, a de Gaulle w swym przemówieniu ją wymienił.

Ale sądząc po wynikach bońskiego spotkania do powstania takiej katedry, nawet tej mniejszej, gdzie będzie się gromadzić na europejskie modły Szóstka Wspólnego Rynku z Siódmką Obszaru Wolnego Handlu, jeszcze daleko. Okres miodowych miesięcy z epoki adnauerowskiej we francusko-niemieckim małżeństwie przeminął — w oczy mówi się o pięknych katedrach, a poza oczyma przgaduje się od „durnych Jasiów“.

Spotkanie w Bonn zostało przyśpieszone i to na żądanie kanclerza Erharda, który został zaniepokojony pewnymi pociągnięciami Paryża. Ostatnio, pięć miesięcy wcześniej, kanclerz NRF był we Francji i rozumiał, że gen. de Gaulle wyraził zasadniczą zgodę na ruszenie z miejsca zagadnienia Europy politycznej i wobec tego wystąpił z inicjatywą spotkania ministrów spraw zagranicznych. Paryż sucho odpowiedział „non“. Okazało się, że Erhard w Rambouillet niczego nie rozumiał, a na tym ruszeniu zagadnienia europejskiego bardzo mu zależy, może nie tyle ze względu na samo zagadnienie, ile w związku ze zbliżającymi się wyborami,

Czesław Halski: PADEREWSKI — Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka. Stron 100, ilustracji 8. Cena 10/6. Wydano staraniem S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni S. P. K. (20, Queens Gate Terrace, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Rd., S.W.11) oraz w innych polskich księgarniach.

do których chce pójść z pewnym sukcesem. Zagadnienie europejskie należy dziś do istotnych i jak to dobrze by było, gdyby mogli powiedzieć wyborcom: „Oto jestem w trakcie rozwiązywania z gen. de Gaullem sprawy politycznego zjednoczenia Europy, nie pora więc zmieniać teraz moją rządzącą ekipę“.

Ale de Gaulle ma też przed sobą wybory i to bardzo ważne, bo wybory prezydenta Francji w grudniu. Nikt jeszcze nie wie, czy do nich stanie osobiście. Jeżeli stanie, to dziś istotnym jego celem jest uzyskanie w nich zdecydowanej większości, bo de Gaulle nie może się zadowolić taką mizerną większością, jak np. Wilson w W. Brytanii — to nie byłoby na miarę ani jego osoby ani polityki. Jeżeli natomiast zdecyduje się nie kandydować, lecz przedstawić swego następcę, to sytuacja może być jeszcze trudniejsza. De Gaulle i jego rząd potrzebują więc również sukcesów. A na jaki sukces może Paryż liczyć w takim spotkaniu w Bonn? Na bardzo ważny. Niemcy w grudniu ub. roku w Brukseli poszły na dalekie ustępstwa wobec Francji w sprawie finansowania Wspólnego Rynku rolniczego. Powstał wspólny fundusz rolnictwa, który Francja zasilą ze swego budżetu w wysokości jednej czwartej, a inkasuje dla swoich rolników trzy czwarte jego wysokości (to też stanowi jedno ze źródeł nadwyżki dewiz Paryża). Ten brukselski układ trzeba przedłużyć, bo był ustalony do końca czerwca tego roku i było jasne, że de Gaulle postawi w Bonn sprawę jasno: „Jeżeli te postanowienia finansowania rolnictwa zostaną przedłużone, to ja zgodzę się na zwołanie jeszcze przed końcem tego roku konferencji 'szczytowej' europejskiej szóstki“. Czyli stara zasada „do ut des“ — dają żeby dostać, nic za darmo, jak to określa słownik Arcta. W ten sposób każdy będzie miał swój sukces, Erhard Europę polityczną, a de Gaulle zadowolenie wsi, czyli rezerwę paru milionów głosów, z którymi ma poważne kłopoty. Złośliwi czytelnik może sobie pomyśleć, że w tej pięknej europejskiej i gotyckiej katedrze jest więcej zimnych przekupniów niż gorących apostołów nowej Europy... Ja nie jestem złośliwy.

Im piękniejsze są alegorie, tym trudniej je zrozumieć. Wygląda, że Erhard znowu nie zrozumiał, co de Gaulle mu powiedział. Jego rzecznik oświadczył z zadowoleniem, że prezydent Francji zgodził się na zwołanie tej „szczytowej“ konferencji przed końcem roku, ale jeszcze obecni dziennikarze nie zdążyli tego w całości przetelefonować, gdy ze strony francuskiej nastąpiło pewne sprostowanie — „Paryż nie wyklucza takiej konferencji“. Między „nie wyklucza“ a „zgodził się“ jest poważna

różnica. A Paryż nie zgodził się definitywnie dlatego, że z tym finansowaniem rolniczym sprawa nie jest taka prosta, bo jest tu inny partner, który chce mieć coś do powiedzenia. Jeżeli Niemcy zdołają go przekonać, by przyjąć żądania Paryża, to wszystko będzie w porządku, a jeżeli nie — to nie wiadomo...

Tym partnerem jest Holandia, która w zdecydowany sposób dąży do powstania „ponadnarodowej“ Europy, przed którą de Gaulle się wzdryga. Za Holandią stoi Belgia, tylko ta ze względu na kryzys rządowy nie zabiera głosu w zasadniczych sprawach. Dalej Luksemburg, a nawet do pewnego stopnia Włochy. Francja od 1962 r. bardzo energicznie napiera na przyspieszenie powstania Wspólnego Rynku rolniczego i w grudniu ub. roku postawiła niemal w tej sprawie ultimatum. Wreszcie zdecydowano, że ten zielony Wspólny Rynek ostatecznie powstanie już 1 lipca 1967 r., a nie w — jak przewiduje Traktat rzymski. W grudniu również zdecydowano ustalenie wspólnych cen na zboże, mięso wieprzowe, drób i jaja. Reszta wspólnych cen miała być uregulowana do 1 lipca 1967. Obok tego Wspólny Rynek bierze na swoje konto nadwyżki płodów i finansuje ze wspólnego funduszu ich eksport (płaci różnicę między ceną eksportu i ceną Wspólnego Rynku). Nadwyżki ma głównie Francja, więc odniosła ona wielki sukces. Ale ten wspólny fundusz jest obecnie zasilany przez sumy, wpłacane przez poszczególnych partnerów według ustalonego „klucza“, a w przyszłości ma powstać z opłat celnych za importowane płody rolnicze przez poszczególne państwa Wspólnego Rynku (głównym importerem są Niemcy). Komisja tego Rynku postawiła nawet wniosek, by opłaty celne za wszystkie importowane towary, a więc nawet za przemysłowe, szły do kasy Wspólnego Rynku. Wobec tego Holandia wystąpiła z dalszym logicznym wnioskiem, że tak wielki fundusz nie może być administrowany bez kontroli i tę kontrolę ma wykonywać Parlament europejski, a więc trzeba rozszerzyć jego kompetencje i przyznać mu prerogatywy „ponadnarodowe“.

Bilansowy sukces Francji (zabiera trzy czwarte funduszu) okazał się niebezpieczny pod względem dyplomatycznym. Wobec tego obecnie w Brukseli Couve de Murville, minister spraw zagranicznych Francji, wystąpił ze zręcznym wnioskiem, który podważył Holendrom grunt pod nogami. Francja nagle nie napiera, by przyspieszyć definitywne powstanie w r. 1967 zielonego Rynku, zadowolony się pierwotną datą — 1970. „Le Monde“ pisze, że Paryż zdał sobie sprawę, iż zablokowano mu dro-

DWA lata temu omówiliśmy na łamach „O.B.“ sprawę zamierzonego wprowadzenia w Polsce nowego kodeksu karnego, który miał zastąpić obowiązującą ustawę karną z 1932 roku, oraz dekret z czerwca 1946: „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa“, nazwany popularnie małym kodeksem karnym. Przypomnieliśmy wtedy gwałtowną reakcję kół prawniczych, socjologów, psychologów i wychowawców przeciw projektowi. Ostatecznie związek prawników polskich projekt odrzucił i odesłał go ministrowi sprawiedliwości Rybickiemu, głównemu autorowi projektu, do gruntownego przerobienia.

Jeszcze przed dyskusją, Rybicki, uzasadniając konieczność wydania nowego kodeksu karnego tłumaczył, że projekt został oparty na ustawach karnych, wydanych w okresie ostatnich lat w Związku Sowieckim i innych krajach demokracji ludowej. W porównaniu ze starym kodeksem karnym, który zawierał 295 artykułów, w nowym kodeksie podniesiono ich liczbę do 433.

Przeciw projektowi, świat prawniczy podniósł głównie dwa zarzuty: kazuistykę i surowość, a objaśnił je najwyraźniej Jan Olszewski w organie ZPP, *Prawo i Życie* z 3 lutego 1963 r. Jeśli chodzi o zarzut pierwszy, to nie ulega

gę i tej przeszkody nie da się obejść bez zgody na „ponadnarodowość“. A na to de Gaulle zgodzić się nie chce.

Wśród rolników francuskich powstało wielkie zaniepokojenie, czemu dają wyraz. Pozostały jeszcze nieustalone ceny na wołowinę, mleko, masło, tłuszcz, cukier, jarzyny i owoce oraz cały szereg innych spraw. Finansowanie nadwyżek rolnictwa będzie w dalszym ciągu opierać się na sumach, wpłacanych do wspólnego funduszu przez poszczególne państwa, co nie jest wystarczające, a resztę będzie musiał pokrywać podatek francuski.

Rada ministrów Wspólnego Rynku zbiera się ponownie w końcu czerwca — zobaczymy co uradzi. Trzeba mieć ciągle na uwadze, że w obecnym stadium w Radzie tej obowiązuje zasada jednomyślności i tak jak w styczniu 1963 r. de Gaulle zamknął przez swoje veto przed Wielką Brytanią drzwi do Wspólnego Rynku, tak Holandia swoim jednym głosem może storpedować korzyści, jakie Francja ciągnie ze wspólnego funduszu rolniczego.

O Europie wciąż wygłasza się wiele pięknych słów, a w praktyce nawet fundament tej katedry nie jest taki mocny, jak by to można sądzić.

Marian Czarnecki

„Prawdopodobieństwo winy“ i teoria represji

wątpliwości, że kodyfikatorzy, którzy, jak oświadczył Rybicki, pracowali nad projektem całych sześć lat, ujawnili tu rażąco brak praktycznego doświadczenia sędziowskiego. Obciąża on nie tylko studia kandydatów do zawodu sędziego karnego, ale ogranicza swobodę zaklasyfikowania przestępstwa i wydania sprawiedliwego wyroku.

Jednak najcięższy zarzut, jaki podniósł i Olszewski, a następnie również ZPP była surowość nowej ustawy karnej. Kodyfikatorom zarzucono, że projekt oparli na teorii represji b. prokuratora generalnego ZSSR, Andrzeja Wyszyńskiego. Gdyby, jak twierdzili prawnicy, projekt został przyjęty w przedłożonym brzmieniu, to podobnie jak za czasów Stalina, prokurator użyłby z powrotem stanowisko nie tylko wychowawcy obywateli, ale również i nadzorca małżeńskiego stołu i nawet łoża.

Olszewski zakończył swoją rzeczową krytykę uwagą, „iż nie można twierdzić, aby twórcy projektu nowej ustawy karnej osiągnęli granice absurdu. Te granice zostały bowiem daleko przekroczone“.

KARIERA

ANDRZEJA WYSZYŃSKIEGO

Andrzej Wyszyński, Polak z pochodzenia, urodził się w 1883 r. Po rewolucji październikowej rodzina jego powróciła do wolnej Polski, on sam pozostał w Rosji i przystąpił do partii komunistycznej. Podobnie jak inni satrapi był tchórzem, stale prześladowany strachem, że pewnego dnia Stalin może go ulokować w lochach Łubianki. Stąd jego ślepe posłuszeństwo dla rozkazów Stalina i Berii. To on przygotował proces Tuchaczewskiego, którego w czasie rozprawy nazwał „brudnym psem“. Podobnie jak w innych procesach pokazowych, on oskarżał i przygotował wyrok. To właśnie on zlikwidował przywódców polskiej partii komunistycznej, o czym dzisiejsi przywódcy partii tak mało mówią, a główny historyk partii Daniszewski, prawie wcale nie pisze.

W związku z masowymi egzekucjami i deportacją do obozów pracy przymusowej, Wyszyński stał się postrachem całego sowieckiego społeczeństwa. Strach był wówczas jedynym motorem ludzkiego działania. W tym okresie krążyła w Polsce opinia, nie pozbawiona zresztą słuszności, iż gdyby jego matka, która podnajmowała małą oficynę u Zamoyskich przy ulicy Brackiej w Krakowie i jego brat, znany architekt krakow-

ski, byli pozostali w Rosji, to oboje byliby zginęli z rąk syna względnie brata.

Po zamianowaniu go przez Stalina wiceministrem spraw zagranicznych i delegatem ZSSR do ONZ, wszystkie jego przemówienia, czy to na posiedzeniach plenarnych i komisji bezpieczeństwa przypominały w słowach i treści jego oskarżenia, wygłoszone na procesach pokazowych.

Stale poddenerwowany i podszyty strachem Wyszyński, przeżył swego mistrza Stalina o półtora roku. Zmarł śmiercią naturalną w listopadzie 1954 r.

KRYTYKA JEGO TEORII REPRESJI

O teorii represji Wyszyńskiego napisano po śmierci Stalina oraz twórcy samej teorii wcale pokazną ilość rozpraw. Ostatnia, napisana przez N. W. Żogina, zastępcę prokuratora generalnego ZSSR, a ogłoszona w marcowym wydaniu *Sowietskojo Gosudarstwo i Prawo* i przedrukowana częściowo w organie ZPP *Prawo i Życie* z 9 maja br. rzuca światło na sowiecki wymiar sprawiedliwości, kierowany przez Wyszyńskiego.

Żogin zajmuje się, jak to sam określa, pseudo-naukową teorią sądowego materiału dowodowego, wprowadzoną przez Wyszyńskiego. Wychodzi on z założenia, że jeśli jakaś ustawa jest przestarzała, to należy ją znowelizować. Ale Wyszyński nigdy nie domagał się nowelizacji, przeciwnie nawoływał wręcz do ignorowania obowiązujących ustaw i wyraźnego działania wbrew ustawom. Represje, zdaniem Wyszyńskiego można było stosować z pominięciem ustaw. Prokuratorom wydał on np. instrukcje własne, sprzeczne z wewnętrznym sensem ustawy i sam, samowolnie rozszerzył interpretację ustaw. Ponadto polecał on przeprowadzanie rewizji spraw kryminalnych, celem nadania im charakteru politycznego. W roku 1936 polecił zbadanie w ciągu jednego miesiąca wszystkich bez wyjątku procesów karnych, wytoczonych w związku z pożarami, szkodami i brakami produkcyjnymi w celu wykrycia kontrrewolucyjnego i dywersyjnego ich podłoża.

Kontrrewolucyjnej działalności należało doszukiwać się we wszystkich sprawach związanych z kampanią żniwną, a jakiegokolwiek niedociągnięcia należało zakwalifikować jako dywersję. Gdy w roku 1937 roztocze zaatakowało zboża, Wyszyński oznajmił, że była to akcja dywersantów, a chociaż był to pomysł

zupełnie bezpodstawny, polecił prokuratorom wytoczyć przeciw chłopom procesy o dywersje i ukarać każdego surowo.

Wyszyński, pisze Żogin, wiedział, że w organach NKWD fałszuje się dowody i fabrykuje się oskarżenia, że brutalnie łamie się praworządność socjalistyczną. Mimo to świadomie określił metody, stosowane przez urzędników śledczych NKWD jako najzupełniej prawdziwe, a ich metody przesłuchiwania ludzi, uważał jako najdoskonalszy środek pedagogiczny. Zażalenia obywateli do władz centralnych polecał załatwiać „odpowiedzialnie“ tzn. nie należało rozpatrywać ich wcale.

Był okres, gdy strony prosiły o zapisanie ich zeznań do protokołu, na co wielu prokuratorów się zgodziło. Gdy jednak sprawa doszła do wiadomości Berii, ten zwrócił się do Wyszyńskiego, aby zamknął prokuratorom usta. W liście do Berii, Wyszyński w służalczym tonie zakomunikował, że to uczynił.

Był również okres, pisze Żogin, gdy Stalin uważał za konieczne wykrycie i unieszkodliwienie szpiegów i dywersantów we wszystkich ogniach aparatu państwowego. Roli tej podjął się Wyszyński, który przeprowadził masową czystkę w prokuraturze i zarządził aresztowania wśród prokuratorów, którzy usiłowali, w czasie masowych rozpraw, złagodzić represje. W 90 procentach obwodów i krajów złożono prokuratorów z urzędu, a bezpodstawnie aresztowanych zlikwidowano.

W latach 1934 i 1937 wprowadzono w ZSSR postępowanie uproszczone czyli doraźne, dla określonych przestępstw kontrrewolucyjnych, które wykluczyło jawność rozprawy sądowej i możliwość zaskarżenia wyroków. Stworzono specjalne kolegia dla tych spraw i ukartowano z góry okrutne wyroki, bowiem Wyszyński twierdził, że wrogów należy likwidować również i bez sądu.

Wyszyński był ponadto autorem tzw. prawdopodobieństwa winy, a prokuratorów pouczał, jak rozpoznać szkodników. Zdaniem Wyszyńskiego, dla ustalenia winy wystarczył „węch polityczny“. Przyznanie się do winy oskarżonego, oobjętnie w jaki sposób przyznanie uzyskano, było według Wyszyńskiego decydującym dowodem do orzeczenia kary. Autor wreszcie ujawnia, że tzw. specjalne kolegia zlikwidowano dopiero w 1955 roku, czyli dwa lata po śmierci Stalina.

DUCH WYSZYŃSKIEGO W USTAWODAWSTWIE KARNYM DEMOKRACJI LUDOWYCH

(Dokończenie ze str. 7)

Wynurzenia Żogina potwierdzają zarzuty, podniesione przez prawników polskich w związku z zamierzonym wprowadzeniem nowej ustawy karnej. Wystarczy tu przypomnieć, że stary kodeks karny przewiduje karę śmierci tylko w czterech wypadkach, komunistyczny mały kodeks karny z 1946 w 13 wypadkach, zaś projekt Rybickiego przewidywał 23 wypadki. Naśladując Wyszyńskiego wprowadzono w 1945 roku postępowanie doraźne i specjalne kolegia, rozprawy niejawnie bez obrońców i bez możliwości zaskarżenia wyroku. Oskarżonych na podstawie sfabrykowanego oskarżenia, skazywano na śmierć a wyroki wykonano. Rybicki przyznał, że 19 wyższych dowódców wojskowych skazano na śmierć ale że rozstrzelanych zrehabilitowano. Pełnej liczby nigdy nie ujawniono. Teoria Wyszyńskiego o prawdopodobieństwie winy i przyznaniu się oskarżonego, była przez wiele lat teorią panującą w polskiej judykaturze.

Ale Żogin poświęcił swoją rozprawę tylko teorii Wyszyńskiego o dowodzie sądowym. Nie poruszył natomiast sprawy samej kary, stosowanej na podstawie sowieckiego kodeksu karnego z 1960 roku i hojnego szafowania karą śmierci za przestępstwa gospodarcze, za które wymierzono i wykonano w ostatnich latach setki wyroków śmierci. Dekret o postępowaniu doraźnym obowiązujący w Polsce od 1945 roku stanowi również dla polskich sądów instrument do stosowania podobnie surowych kar. Areszt jest tu obowiązkowy, a artykuł 2 dekretu uprawnia sąd do wymierzenia kary bez względu na to, jakie kary przewidziane są w ustawie karnej za dane przestępstwo. Tam, gdzie przewidziana jest kara więzienia, może być wymierzona kara śmierci, w wyroki wydane w postępowaniu doraźnym nie podlegają zaskarżeniu. Na tej właśnie podstawie zasądzono jednego z głównych sprawców afery mięsnej, Wawrzeckiego, na karę śmierci i wyrok wykonano, mimo, że kwota, jaką ze swych transakcji uzbierał nie przekroczyła równowartości 20 tysięcy funtów angielskich, którą zresztą w całości skonfiskowano.

Istniejący stan potwierdza zatem w całości drugi zarzut podniesiony przez prawników polskich przeciw nowej ustawie karnej. Reformy w ZSSR objęły procedurę nie zaś prawo materialne; pozostawała surowość kar, dowód, że duch Wyszyńskiego nie przesłał być inspiracją dla judykatury państw tzw. obozu socjalistycznego.

W. Opolski

Wilka ciągnie do lasu a mnie — uwaga, wieloznacznik — do czytania prasy krajowej. Trochę w tym jest niezdrowego podniecania się: coś tak jak z oglądaniem pajaków czy trujących węży w ogrodzie zoologicznym. Że to niby jednak jest przyjemnie zobaczyć coś obmierzłego co nie potrafi bezpośrednio zaszkodzić; ani tarantula ani Wilhelmi (czy Wiljami? Jak on się nazywa w gruncie rzeczy?) ani trująca, podzwrotnikowa stonoga ani Putrament.

Tygodniki „kulturalne“ z Polski nie są do strawienia. I co to kogo obchodzi poza autorami tasiemców, bo im płacą, oraz metrapażami i korektorami, bo też wiążą ich z tym typem produkcji głodowe pensje. Tym bardziej odnosi się to do prasy „katolickiej“, łże, na pół i tak sobie.

Arskiego można sobie darować (...bardzo przepraszam: jego pseudonim naprawdę tak brzmi; nie ja wymyśliłem powodowany złośliwością i typiąc okiem na czytelnika polskiego osłuchanego z językiem angielskim...) ale fotografie w „Świecie“ są często dobre, a dobór ich jest charakterystyczny ze względu na to, co i jak podaje; niekoniernie z uwagi na głębsze ich walory.

Wielojęzyczny miesięcznik „Polska“, jest doskonałym osiągnięciem technicznym; pojawia się w nim wiele mało znanych i zapomnianych przekazów kultury narodowej i nie pojawiają się na ogół twarze Gomułki i Kociołka. Bardzo bym chciał od czasu do czasu zobaczyć co prawda fotografię mojego faworyta na polsko-ludowych szczytach ob. ministra Mitręgę, dobrze odżywnego włodarza górnictwa śląskiego, no, ale nie ma róż bez kołców.

Natomiast bez zastrzeżeń bardzo ciekawa jest prasa wojskowa. Ciekawa rzecz — w II Rzeczypospolitej „Polska Zbrojna“ też była interesującym dziennikiem mimo wszystkich fumisterii różnych kosmologów od siedmiu boleści.

Czołowi publicyści „Wojska Ludowego — Miesięcznika Oficerskiego“ płk. Załuski i Przymanowski doskonale piszą, mają wiele do powiedzenia i — co najważniejsze — mają styl. Inna sprawa, iż za szerzenie zamętu w głowach czytelników nie mających możliwości konfrontacji odmiennego punktu widzenia obydwa zasłużyli sobie na piękne wyroki, tak z dziesięć lat każdy, ale co innego jest zawiśnięcie na szubienicy za ukradzenie stadniny, a co innego za wygarnięcie skarbonki w kościele albo pobicie kulawego żebraka w czym — przenośnie — celują publikacje Sto-

KUŻMA WOŁK

O PRASIE

warzyśnienia Chrześcijańsko(?)-Społecznego(!!!?) PAX.

Podobnie „Żołnierz Polski — Magazyn Ilustrowany“, przeznaczony dla szeregowych i podoficerów w pierwszym rzędzie, redagowany jest inteligentnie i ciekawie. Tym bardziej jest szkodliwy. I odzwierciedla prawdziwe życie, prawdziwe konflikty i interesy, a nie krainę lustrzanych iluzji, operujących nie-faktami i obok-zdarzeniami.

W PRL, jak w każdej sowieckiej satrapii, wojsko jest zjawiskiem bardzo złożonym. Z jednej strony są to, oczywiście, w istocie Oddziały Wartownicze „Priwiślenskiej Riepubliki Ludowej“ i w strategicznym i w taktycznym znaczeniu tego słowa. W oczach społeczeństwa „twarzy“ ono nie ma. Oficerowie zachowują się potulnie i partia stale wietrzy wśród nich i wywachuje „bonapartyzm“. Ale poza tym jest to kilkadziesiąt tysięcy zorganizowanych i umundurowanych mężczyzn przebywających ze sobą przez dłuższy okres czasu, w warunkach dających maksimum ciągłości instytucjonalnej. Po dwudziestu latach okazało się iż tradycyjnych, i podświadomych, instynktów wykorzystać się z niego nie da. I wobec tego wszystko jest robione na zrolowanie i ugniecenie tradycji na sowiecko.

I tu ostatnio wyszło bardzo niezwykle szydło z worka. Oto bowiem w nrze 22(887) „Żołnierza Polskiego“ z 30 maja br. pojawiło się kilka portretów i życiorysów ludowej generalicji, kandydującej na posłów do sejmu z ramienia tzw. „Frontu Jedności Narodu“.

Są one tak znamienne iż zasługują na przedruk bez skrótów. A więc:

„Marszałek Polski(?) Marian Spychalski. Urodził się w 1906 r. w Łodzi, tu skończył gimnazjum w 1926 r., po czym studiował na Politechnice Warszawskiej, którą ukończył z wyróżnieniem w 1931 r. uzyskując dyplom magistra inżyniera architekta.

Jest długoletnim działaczem polskiego rewolucyjnego ruchu robotniczego. Pierwsze kroki na tej drodze stawiał jeszcze w okresie studiów na Politechnice Warszawskiej, pracując od r. 1929 w nielegalnym Związku Młodzieży Socjalistycznej „Życie“ — lewicowej organizacji studenckiej, związanej z Komunistyczną Partią Polski. Od roku 1931 należał do Komunistycznej Partii Polski. Z jej ramienia prowadził nielegalną pracę w Klasowych Związkach Zawodowych.

W okresie okupacji Marian Spychalski rozpoczął działalność konspiracyjną

I O „GENERALICJI“

w antyfaszystowskiej grupie „Biuletynu Radiowego“, później w Związku Walki Wyzwoleńczej, a potem już w szeregach Polskiej Partii Robotniczej od momentu jej powstania.

Z ramienia Komitetu Centralnego PPR, pod pseudonimem „Marek“, organizował Gwardię Ludową i był jej pierwszym Szefem Sztabu. Wchodził w skład Komitetu Organizacyjnego, przygotowującego pierwsze historyczne posiedzenie Krajowej Rady Narodowej w nocy z 31 grudnia 1943 na 1 stycznia 1944 r., i w tych obradach brał udział jako poseł z ramienia Gwardii Ludowej. Po utworzeniu Armii Ludowej przez KRN był członkiem jej Naczelnego Dowództwa.

W maju 1944 r. Marian Spychalski wchodzi z ramienia Komitetu Centralnego PPR w skład delegacji KRN, która udaje się przez linię frontu do ZSRR, w celu nawiązania kontaktu z władzami ZSRR i innymi uczestnikami koalicji antyhitlerowskiej.

W lipcu 1944 r. po wyzwoleniu pierwszych rejonów Polski zostaje Szefem Sztabu Generalnego WP. We wrześniu 1944 po wyzwoleniu Pragi zostaje skierowany na stanowisko pierwszego prezidenta Warszawy.

W styczniu 1945 r. Marian Spychalski wchodzi w skład Biura Politycznego KC Polskiej Partii Robotniczej. W marcu tegoż roku obejmuje stanowisko zastępcy Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego i I wiceministra Obrony Narodowej.

W pierwszych wyborach powszechnych przeprowadzonych w Polsce Ludowej, w styczniu 1947 r., zostaje wybrany posłem na Sejm Ustawodawczy. W grudniu 1948 r. jest delegatem na Kongres Zjednoczeniowy Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. Zostaje wybrany na członka Komitetu Centralnego i Biura Politycznego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W październiku 1956 r. KC PZPR kieruje go ponownie do służby czynnej w wojsku, początkowo na stanowisko wiceministra Obrony Narodowej i Szefa Głównego Zarządu Politycznego WP, a 19 listopada — na stanowisko ministra Obrony Narodowej. Uchwałą Rady Państwa z dnia 7 października 1963 r. Marian Spychalski został mianowany Marszałkiem Polski.

Z wojskowego punktu widzenia tow. Marszałek jest postacią operetkową. O Frunzem, jednym z czerwonych „komandarmów“ bolszewickich mawiano nie bez słuszności, iż stał się strategiem po ograbieniu prowincjonalnego banku i zastrzeleniu żandarma. Ale, jakby nie było, Frunze zgniótł turkiestańskich

„Basmaczy“ i baszkirskich powstańców i kilkudziesięciu tysiącami wojska na froncie dowodził; czym marszał Spychalski dowodził perfidnie — acz zgodnie z prawdą — przemilcza jego urzędowa biografia.

Jedziemy dalej:

„Generał dywizji *Józef Urbanowicz*, szef Głównego Zarządu Politycznego WP, członek Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej przy Komitecie Centralnym PZPR.

Urodził się w r. 1916 w rodzinie robotniczej w mieście Orzeł (ZSRR). Po ukończeniu Szkoły Morskiej pracuje jako mechanik okrętowy w marynarce handlowej. Od 19 roku życia aktywnie uczestniczy w ruchu robotniczym — jest działaczem polonijnym na Łotwie.

Po wybuchu II wojny światowej wstępuje do KPZR, a z chwilą napaści Hitlera na Kraj Rad zgłasza się ochotniczo do Armii Radzieckiej. Walczy w jej szeregach w bitwie pod Moskwą i na froncie północno-zachodnim. Bierze udział w organizowaniu I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, a następnie pełni kolejno funkcje dowódcy batalionu, zastępcy dowódcy pułku do spraw politycznych, a potem zastępcy dowódcy 4 Dyw. Piechoty im. Jana Kilińskiego.

W szeregach „Kilińszczaków“ uczestniczy w walkach o wyzwolenie Warszawy, w przelamaniu Wału Pomorskiego, w szturmie Kołobrzegu, w forsowaniu Odry. Trzykrotnie ranny, dwukrotnie kontuzjowany, kończy swój szlak bojowy w operacji berlińskiej.

W latach powojennych pracuje na kolejnych odpowiedzialnych stanowiskach w wojsku, m.in.: zastępcy dowódcy do spraw politycznych Marynarki Wojennej, Pomorskiego Okręgu Wojskowego, Wojsk Lotniczych, komendanta Wojskowej Akademii Politycznej i I zastępcy szefa GZP WP. Przez wiele lat przewodniczył Komisji Kontroli Partyjnej WP.

Na IV Zjeździe Partii wybrany zostaje członkiem Centralnej Komisji Partyjnej przy KC PZPR. W lutym 1965 r. mianowany zostaje Szefem Głównego Zarządu Politycznego WP.

Renegat, politruk i wypróbowany agent sowieckiej Bezpieki. Wojskowo kompletne zero.

„Generał dywizji *Wojciech Jaruzelski*, członek Komitetu Centralnego PZPR, wiceminister Obrony Narodowej, Szef Sztabu Generalnego WP.

Urodził się w 1923 r. w Kurowie, powiat Puławy. Do r. 1939 uczęszczał do gimnazjum, w czasie wojny w latach

1940—1943 przebywał na terenie Związku Radzieckiego.

W lipcu 1943 r. wstąpił do szeregów organizowanego w ZSRR Wojska Polskiego, po czym skierowany został do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu. W grudniu 1943 r. otrzymał stopień oficerski i przydział służbowy do 5 pułku piechoty 2 DP im. Henryka Dąbrowskiego. W szeregach tego pułku, jako dowódca plutonu zwiadu, a następnie szef zwiadu pułku przeszedł cały szlak bojowy I Armii Wojska Polskiego. Brał udział w walkach pod Puławami i Warką, na Pradze i pod Jabłonką, w walce o wyzwolenie Warszawy, przelamaniu Wału Pomorskiego oraz w forsowaniu Odry, aż po Łabę. Po zakończeniu działań wojennych w latach 1945—1947 brał udział w walkach z bandami zbrojnego podziemia.

Za udział w walkach, wielokrotnie odznaczony. Po wojnie ukończył Akademię Sztabu Generalnego im. gen. Karola Świerczewskiego z wyróżnieniem. W wojsku zajmował szereg odpowiedzialnych stanowisk — w szkolnictwie wojskowym oraz instytucjach centralnych, jak również był przodującym dowódcą dywizji.

W czerwcu 1960 r. powołany został na stanowisko Szefa Głównego Zarządu Politycznego WP, a w maju 1962 r. mianowany wiceministrem Obrony Narodowej. Na IV Zjeździe PZPR wybrany zostaje członkiem Komitetu Centralnego Partii. Od lutego 1965 r. jest Szefem Sztabu Generalnego WP. W poprzedniej kadencji sejmiku PRL był posłem z okręgu szczecińskiego, skąd też kandyduje ponownie.

Na załączonej do życiorysu fotografii wygląda o 10 lat młodziej, aniżeli jego urzędowa biografia na to by wskazywała. Całkiem tragiczny Piotr Rozłucki przed nawróceniem. Nie należy wysilać wyobraźni żeby zdać sobie sprawę ile, jako dziecko, musiał przejść zanim skamieniał na zimnego i nienawistnego janczara. Złowieszczy passus o tym jak „po zakończeniu działań wojennych w latach 1945—1947 brał udział w walkach z bandami zbrojnego podziemia“. Stara zasada teologiczna głosi, iż „corruptio optimi pessima“. Na oko sądząc, jest wojskowym z prawdziwego zdarzenia na szczeblu do dowódcy batalionu włącznie.

„Generał dywizji *Grzegorz Korczyński*, członek Komitetu Centralnego PZPR, Szef Zarządu Sztabu Generalnego WP.

Urodził się w 1915 r. w Warszawie. Jego ojciec pochodzi z pow. lubartowskiego. Grzegorz Korczyński uczęszcza do gimnazjum w Warszawie. Od 1935 r. jest członkiem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. W 1936 r. wyjeżdża nielegalnie do Hiszpanii. Tam

zostaje początkowo wcielony do 6-tej kompanii bałkańskiej, następnie do kompanii ckm-ów im. Waryńskiego (XII Brygada Międzynarodowa im. J. Dąbrowskiego). Później służy w kawalerii. Brał udział w licznych walkach.

Po przekroczeniu granicy hiszpańsko-francuskiej zostaje internowany. Po ucieczce z obozu koncentracyjnego w Gurs pracuje w Paryżu najpierw w Centralnej Technice Partyjnej (sekcja polska w KPF), a następnie kieruje nią. Jednocześnie jest redaktorem centralnego organu Pomocy Ludowej „Solidarność”, a później kierownikiem Pomocy Ludowej. Obsługuje cały szereg komórek partyjnych w Paryżu i miejscowościach podmiejskich. W 1942 r. zostaje przeniesiony do pracy na odcinku wojskowym. Odpowiada za sabotaż i dywersję w okręgu paryskim.

W sierpniu 1942 r. kierownictwo organizacji partyjnej wysłało go do kraju w celu organizowania oddziałów partyzanckich. Na Lubelszczyźnie organizuje oddział GL im. T. Kościuszki, a następnie grupę operacyjną im. T. Kościuszki, w skład której wchodziło siedem oddziałów.

Jesienią 1943 r. zostaje powołany na członka Sztabu Głównego GL i Szefa I Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego GL, a później AL. W czerwcu 1944 roku zostaje dowódcą obwodu II AL i przedstawicielem Sztabu Głównego AL na Lubelszczyźnie. Po wyzwoleniu organizuje Milicję Obywatelską na Lubelszczyźnie, a następnie pracuje w organach bezpieczeństwa. Od maja 1950 do maja 1956 był niesłusznie represjonowany. W końcu 1956 r. zostaje powołany na stanowisko Szefa Zarządu Sztabu Generalnego. Był posłem na Sejm III kadencji“.

Politrak, spryciarz i oblatany po świecie. Odnosi się wrażenie ze starannie odmierzonego życiorysu, iż „nadziarateli” jemu nie wierzą dalej niż mogą splunąć, ale jest im potrzebny. Ze to niby „od maja 1950 do maja 1956 był niesłusznie represjonowany“. Żeby się obywatelowi Grzegorzowi zanadto czego nie wydawało, bo znów może być „represjonowany“ może i „niesłusznie“, ale, tym razem, bardziej dokładnie niż za pierwszym.

„Wiceadmirał *Zdzisław Studziński*, zastępca członka Komitetu Centralnego PZPR, dowódca Marynarki Wojennej.

Urodził się w 1922 roku w rodzinie łódzkiego robotnika. Po ukończeniu szkoły powszechnej, mając zaledwie 14 lat, musi z powodu trudnej sytuacji materialnej rodziny podjąć pracę zarobkową. Pracuje początkowo w budownictwie.

W 1945 r. wstępuje do Polskiej Partii Robotniczej, a następnie zgłasza się ochotniczo do szeregów ludowego Wojska

Polskiego. Po ukończeniu Centralnej Szkoły Oficerów Politycznych w Łodzi uzyskuje stopień podporucznika i następnie zostaje skierowany do jednostki piechoty.

W r. 1946 wstępuje do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej. W trzy lata później ukończył ją w stopniu kapitana i mianowany został dowódcą ORP „Mars“. Potem był dowódcą flagowego okrętu Marynarki Wojennej ORP „Błyskawica“. W następnych latach pełni odpowiedzialne funkcje: zastępcy dowódcy, a następnie dowódcy Marynarki Wojennej PRL. W latach 1955-56 studiował na akademii morskiej w Leningradzie.

W r. 1960 awansuje do stopnia wiceadmirała.

Na IV Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wiceadmirał Studziński wybrany został zastępcą członka Komitetu Centralnego PZPR“.

Albo geniusz na miarę Nelsona, albo partyjny spryciarz i kombinator. Raczej to drugie. Aż tak błyskawicznej kariery w technicznym rodzaju broni jakim jest marynarka wojenna nikt, nigdy i nigdzie nie robił, bo, całkiem po prostu, jest to — czy byłaby raczej — rzecz niemożliwa. Gdyby Napoleon mógł stworzyć admirałów z samorodnych talentów, podobnie jak wypromowywał marszałków z podoficerów, nie byłoby ani bitwy na Nilu ani bitwy pod Trafalgarem i dzieje świata potoczyłyby się inaczej.

No i na zakończenie galerii hororacjiów wojskowych z prawdziwego zdarzenia:

„Generał dywizji *Czesław Waryszak*, członek Komitetu Centralnego PZPR, dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Urodził się w r. 1919 w rodzinie robotnika rolnego. Gdy rodzice jego przenoszą się z Lubelskiego do Kowla, gdzie ojciec znajduje pracę na kolei, młody Czesław kończy szkołę. Mając 21 lat wstępuje w szeregi Armii Radzieckiej. W rok później kończy szkołę podoficerską. W okresie formowania 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, wstępuje do jej szeregów i zostaje skierowany do szkoły oficerskiej w Riazaniu nad Oką, którą kończy z wyróżnieniem.

W historycznej bitwie pod Lenino, dowodząc kompanią, zostaje ranny. Następnie mianowany dowódcą batalionu, a później komendantem dywizyjnej szkoły podoficerskiej.

Pod koniec 1944 r. zostaje skierowany na kurs dowódców, zorganizowany w moskiewskiej Akademii Wojskowej im. Frunzego. Po jego ukończeniu uczestniczy w formowaniu 14 Dywizji Piechoty, w której pełni następnie odpowiedzialne funkcje.

W pierwszych latach powojennych bierze czynny udział w walkach z bandami UPA, m.in. jako dowódca 6 pułku piechoty. W roku 1948 zostaje skierowany na Akademię Wojskową im. Woroszyłowa. W r. 1953 awansowany do stopnia generała brygady i mianowany szefem sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego. W r. 1956 obejmuje funkcję dowódcy Śląskiego Okręgu Wojskowego, a od marca 1964 r. — dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Na III Zjeździe PZPR zostaje wybrany zastępcą członka CK, a na IV Zjeździe Partii — członkiem Komitetu Centralnego“.

Z fotografii patrzy *Marek Hłasko*, w starszym wieku, przystojny mężczyzna o ciężkiej twarzy z zaczesanymi do tyłu gęstymi włosami. Z życiorysu wynika, iż jest obciążony urazami i krzywdami społecznymi okresu przedwojennego. Szlifu temu kalectwu duchowemu, dała „Kościuszkowska“ Szkoła Oficerska w Riazaniu nad Oką.

Galeria umundurowanych kandydatów na posłów ma swój wspólny wyraz. I całkiem nawet przejrzysty. W Polsce, po dwudziestu latach sowieckiej okupacji psychologicznej, gospodarczej i politycznej żadna konsolidacja nie nastąpiła i nie wytworzyły się żadne autonomiczne ośrodki suwerenności. Nie jest tajemnicą dla nikogo iż w dwadzieścia cztery godziny po przewrocie w Moskwie, po Gomułce i pomniejszych gomułkach nie pozostanie nawet mokrej plamy. Fakt, iż w Polsce przemiany społeczne i gospodarcze są najprawdopodobniej nieodwracalne wzmacnia raczej niż osłabia tę tezę w chwili przewrotu, a zająć ten wypadek może zarówno za lat, powiedzmy ileś albo w najbliższy wtorek o 5-tej po południu, jedyną siłą na miejscu będzie wojsko. Polsko-ludowa generalicja — włączając tu zawodowych oficerów od kapitana w górę już jest kastą. Ostrożną i zakamuflowaną — ale jest. Wynika to chociażby z unikania ostentacji i z „estetycznej adekwatności“ mundurów. Czego, nawiasem mówiąc, nie posiadają ani sowieciarze ani satelici. Politycznie jest ona dla reżymu, a tym bardziej dla „nadzirateli“, wielką i niebezpieczną niewiadomą. I stąd uznano za wskazane wysuniecie na oficjalne jej czoło albo „jeni-czeri“, zaprzedańców, albo kotylionowo-partyjnych eks-terrorystów. Zawodowym wojskowym, bez względu na „ideologię“, nie może to dodać ducha. I jest dla nich trzaśnięciem bizunem — chwilowo w powietrzu, a nie po skórze — ot, tak, dla uniknięcia nieporozumień na przyszłość.

Kuźma Wołk

TEZA — ANTYTEZA — SYNTEZA ?

W SWEJ znakomitej książce „Echec au communisme“, Georges Sauge daje plastyczny opis sowieckich szkół komunizmu. Ze ścian sal wykładowych przemawiają do uczniów dwa dużych rozmiarów obrazy, ilustrujące w streszczeniu podstawową doktrynę komunistów całego świata. Obraz pierwszy przedstawia sylwetkę człowieka o przeciętnej wadze 80 kg. oraz wszystkie elementy składowe ludzkiego ciała, jak woda żelazo, fosfor, węgiel itd. Całość waży 80 kg. Nad sylwetką człowieka — lapidarnie zdanie, ukute przez Lenina i często powtarzane przez Stalina: „Mózg — to materia myśląca“. Wykładowca od samego początku poucza swych uczniów, że poza tymi 80 kg., na które się składają elementy ludzkiego ciała z „materią myślącą“ włącznie — więcej nie ma nic. Absolutnie nic. Wszelka wiedza, różne teorie — są wyłącznie owocem pracy „materii myślącej“.

Na drugim obrazie jest kilka lapidarnych zdań, ukutych przez Plechanowa. Oto one:

- Sumienie i moralność, ile to waży?
- Cierpienie i wyrzuty sumienia, ile to waży?
- Kłamstwo i prawda, ile to waży?
- Prawo i honor, ile to waży?
- A Bóg, ile to waży?

I zaraz podana jest odpowiedź na powyższe pytania: „Wszystko to razem waży zero gramów“.

Oznacza to, że filozofa, socjologa lub szefa partii politycznej, zachwalającego wartości wymienione na drugim obrazie — z góry należy uważać za handlarza opium, za sprzedawcę złudzeń. I naturalnie za wroga ludu, gdyż usiłuje sprzedać towar, który nie istnieje. Cała bowiem waga tego towaru wynosi zero gramów. W tym sensie, religia jest także wrogiem ludu.

Teoria ta, zastosowana do filozofii lub sztuki przekonywania innych — to właśnie *materializm dialektyczny*, podlegający kilku podstawowym „prawom“, m.n. „prawu sprzeczności“. Według tego „prawa“, wszystkie rzeczy ulegają zmianom, gdyż każda z nich zawiera w sobie sprzeczność.

Antyteza istnieje w każdej rzeczy, stale przeciwstawiając się tezie. W wyniku walki antytezy z tezą, wyłania się stan trzeci, wyższy od pierwotnej tezy. Jest to synteza.

Tę dialektykę stosują komuniści zawsze, we wszystkich swych dialogach z wyznawcami wartości wyliczonych na obrazie drugim. I jak dotychczas, czynią to z dużym powodzeniem. Co więcej — i to jest szczególnie groźne — działając z uporem, nie odstępując ani na jotę od swych założeń, z czasem narzucają swym rozmówcom dialektyczny sposób myślenia. Sławetny dialog francuskich „katolików postępowych“ z francuską kompartią, o którym już na tych łamach pisałem — jest tego najlepszym dowodem.

Bo zważmy tylko. Na zebraniu komunistycznym ksiądz katolicki, dominikanin Jolif, oświadcza, że chrześcijańska koncepcja człowieka i koncepcja marksistowska są „prawdopodobnie nie dostosowane do człowieka realnego“. Stąd, według niego, powstaje konieczność obustronnego wyjścia poza dotychczasowe „dogmatyzmy“, a to celem „wzajemnego wzbogacenia się“ i osiągnięcia „całkowitego porozumienia w działaniu, bardziej dostosowanym do rzeczywistości“.

Tak więc mamy już „katolicką“ wersję klasycznej dialektyki komunistycznej. Dzięki o. Jolif, wszystko staje się jasne, proste, jak najbardziej zrozumiałe. Chrześcijańska koncepcja człowieka — to dialektyczna teza. Koncepcja marksistowska — to walcząca z nią antyteza. Naprzód więc, jak najprędzej — do dialektycznej syntezy. Chrystianizm i komunizm spotkają się w wspólnym „humanizmie“, który już będzie — jak się łatwo tego domyślić — totalnym.

W swej propagandzie wśród polskiej emigracji politycznej, nadwiślański reżim stosuje tę samą dialektykę. I tak samo z dużym powodzeniem. Z powodzeniem większym, niż się wielu emigrantom wydaje. Emigracyjnej tezie przeciwstawiła się reżimowa antyteza. Przeciwstawiła się zrećnię, umiejętnie, jak najbardziej skutecznie. Warto i trzeba temu procesowi przyjrzeć się bliżej.

Oto przez lata całe wrogiem nr 1 emigracji politycznej był sowiecki okupant Polski i narzucony naszemu narodowi nadwiślański reżim. Nikt nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Niepodległościowa prasa oraz niepodległościowe organizacje polityczne i społeczne uważały to za nie podlegający żadnej dyskusji kanon. Mówiąc dialektycznie, była to emigracyjna teza.

Toteż broniąc na przykład granicy na Odrze i Nysie, przeciwstawiając się niemieckim tendencjom rewizjonistycznym, równocześnie — w tych samych artykułach prasowych, w tych samych wypowiedziach emigracyjnych polityków, w tych samych rezolucjach uchwalanych przez organizacje społeczne — domagaliśmy się wolności naszego narodu, piętnowaliśmy sowiecki imperializm, nazywaliśmy nadwiślański reżim po imieniu.

Tej emigracyjnej tezie przeciwstawiła się nagle reżimowa antyteza. Na naradzie paxowskiej, jaka się odbyła w Warszawie w początkach 1963 r., długo zastanawiano się nad sposobami „dostarczenia (emigracji) możliwie najszerszych przesłanek do poprawnego rozumowania politycznego, do przekształcenia jej patriotyzmu abstrakcyjnego, że emigracja polityczna „broniąc formalnie Odry-Nysy umieszcza to w kontekście wyraźnie dla Polski Ludowej wrogim“.

PAX naturalnie dokładnie zdawał sobie sprawę z dotychczasowych niepowodzeń reżimu w walce z emigracją. Brutalne ataki na nią za czasów Bieruta, głoszenie wśród emigrantów hasel komunistycznych — nie dawało żadnego rezultatu. Przeciwnie — wybitnie wzmacniało emigracyjny opór.

W tym stanie rzeczy, paxowcy musieli się zgodzić z tym, że „przekonywanie Polonii bezpośrednio do socjalizmu jako ideologii czy ustroju społeczno-gospodarczego byłoby na tym etapie nieskuteczne“. Należało tedy do tego zagadnienia podejść — na tym etapie — inaczej. Po dłuższej dyskusji znaleziono inną formułę: „poprzez problem niemiecki i niebezpieczeństwo militarystyki bońskiej związać (emigrację polityczną) ze sprawą pokoju“.

To chwyciło. Tak sformułowana komunistyczna antyteza zaczęła coraz bardziej wypierać emigracyjną tezę. Odtąd w prasie niepodległościowej mamy coraz mniej artykułów antysowieckich i antyreżimowych, a coraz więcej antyniemieckich. A czasem można w niej już znaleźć wierne odbicie sowieckiej antytezy. Cytuję:

„Granica na Odrze i Nysie to nie tylko granica bezpieczeństwa i pokoju dla Polski i Czechosłowacji, dla Ukrainy i Białorusi, dla Litwy i Łotwy i dla szerokiej przestrzeni rosyjskich, na które łapczywie patrzył „Volk ohne Raum“, ale jest ona strażnicą europejskiej cywilizacji, albowiem nie pozwala rozpaść się ponownie niemieckiemu barbarzyństwu, w którym pogrzyłyby się nieomal moralne i kulturalne zdobycze i podstawy naszej szerokiej Ojczyzny — Europy“.

W takim ujęciu, z dawnej emigracyjnej tezy już nie pozostało ani śladu. Antyteza sowiecko-paxowska zapanowała tutaj wszechwładnie. Autor traktuje wyliczone kraje jako kraje wolne i niepodległe, którym grozi niebezpieczeństwo jedynie i wyłącznie ze strony „Volk ohne Raum“. W swej zdumiewającej gorliwości w stosowaniu sowiecko-paxowskiej antytezy, w swym pośpiechu, by ktoś inny go nie uprzedził — o „wolnej“ Estonii zupełnie zapomniał: nie wspomina o niej ani razu.

Skąd ten cytat? Pasuje on jak ulał do warszawskiej „Polityki“, do warszawskiej „Trybuny Ludu“ lub do moskiewskiej „Prawdy“. Niestety, ku własnemu zdumieniu — zdanie to znalazłem w londyńskim „Przeglądzie Zachodnim“ z kwietnia br. Powtarzam: w „Przeglądzie Zachodnim“ londyńskim, nie zaś poznańskim.

Za podobną niepodległościową prasą poszły niektóre niepodległościowe organizacje społeczne, polityczne, zawodowe. Na walnych zebraniach Związku Pisarzy nawet nie wspomniano o dawnej emigracyjnej tezie: w powietrzu unosiła się antyteza. Antyteza paxowsko-sowiecka. A o uchwalonej przez aklamację rezolucji Związku Polskich Ziemi Zachodnich (vide londyński „Dziennik Polski“ z 20 maja br.) PAX już nie może powiedzieć, że zawarta w niej obrona granicy na Odrze i Nysie „umieszczona została w kontekście wyraźnie dla Polski Ludowej wrogim“. Wprost przeciwnie, wszystko w niej wskazuje

na to, że paxowska nauka „poprawnego rozumowania politycznego“ odniosła niebywały sukces. Nic tedy dziwnego, że paxowskie „Słowo Powszechne“ z 21 maja br. tłustym drukiem podaje obszernie wyjątki emigracyjnej rezolucji.

Ale emigracyjnej tezie dochowują wierności niepodległościowe związki kombatanckie, a w szczególności Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — Federacja Światowa. Jest to niewątpliwie największa emigracyjna siła. Nic więc dziwnego, że przeciwko niej właśnie ruszyła ofensywa ZBoWiD-u.

Nie miejmy żadnych złudzeń: dzieje się to z rozkazu Moskwy. ZBoWiD bowiem jest tylko „polską“ filią osławionego FIR-u (Fédération Internationale de la Résistance), frontowej organizacji sowieckiego komunizmu, podobnie jak filią „francuską“ jest „Fédération Nationale des Déportés, Internés, Résistants et Patriotes“. Siedzibą FIR-u jest Praga, ale decyzje zapadają w Moskwie.

Nie jest wcale przypadkiem, że ZBoWiD właśnie teraz został przetrzucony na sektor zagraniczny. Jak nie jest przypadkiem, że jego prezesem został Mieczysław Moczar. Ofensywa ZBoWiD-u oznacza, że generalną rozprawę z polską emigracją żołnierską wzięły ostatecznie w swoje ręce Sowiety. I jej prowadzenie powierzono swemu agentowi Moczarowi. Dlatego pozycja Moczara jest coraz mocniejsza, wpływy coraz większe. Nie zależy on ani od warszawskiego Politbiura, ani od Gomulki. Wszelkie dyrektywy otrzymuje bezpośrednio z Moskwy. Podobnie jak Bolesław Piasecki.

W wypieraniu emigracyjnej tezy PAX dokonał wiele. A'e nie zdołał narzucić swej antytezy najpoważniejszej niepodległościowej sile — S.P.K. I dlatego to zadanie Moskwa obecnie powierzyła Moczarowi i jego ZBoWiD-owi.

Gdyby sowiecko-paxowskiej antytezie udało się zadławić emigracyjną tezę: gdyby żołniersko-emigracyjna rasa niezłomnych uznała się kiedyś za pokonaną — zatriumfowałyby sowiecka synteza. Na emigracji nastąpiłby drugi etap — komunistyczny. Nastąpiłaby era nowej emigracyjnej tezy, że tylko komunizm — na razie oczywiście komunizm „narodowy“ — odpowiada interesom polskiego narodu. A ponieważ naród kategorycznie

odrzucił komunistyczną antytezę, przeto wzięłyby także rozbrajać z emigracją współpracującą z reżimem naród nie chciałby mieć nie wspólnego.

Do tego właśnie zmierzają Sowiety i cały aparat nadwiślańskiej kompartii. Grając perfidnie na uczuciach patriotycznych emigracji, licząc częściowo na emigracyjną ignorancję, uprawiają prawdziwy terror moralny, by za wszelką cenę dopiąć swego celu. Już dzisiaj znany warszawski polityk, Janusz Kolczyński, w swej książce p.t. „Dywersja“ pisze:

„Doprowadzony do konsekwencji antykomunizm dziś prowadzi w końcu, tak czy inaczej, bezpośrednio do zdrady interesów narodowych Polski, do sprzeniewierzenia się postawie patriotycznej. Taka jest wewnętrzna logika procesów politycznych.“

Ale polityk popełnił błąd. Błąd, który go może drogo kosztować. Za wcześniej pokazał nam syntezę. I dlatego tym bardziej będziemy zwalczać antytezę.

Stanisław Paczyński

DO PRZEDSTAWICIELSTWA NASZEGO
WE FRANCJI WPLACILI NA

„Lekarstwa do Kraju“

4013 L.S.Co. (kpt. Jan Jaworski) F. 31.00
4085 L.S.Co. (kpt. Feliks Iwański) F. 41.00
4507 L.S.Co.

(Mjr. Teodor Kroja-Kopeć) F. 100.00
4096 L.S.Co. (M. Normark) F. 24.50
Serdecznie dziękujemy!

G. Tysowski

Józef Garliński „Z I E M I A “

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

LUDZIE

Długie lata pobytu poza Krajem, nowe warunki życia, konieczność codziennego współżycia z obcym środowiskiem, dla jednych walka polityczna, dla drugich działalność społeczna, a dla trzecich poprostu dobijanie się własnej pozycji osobistej; zawodowej, gospodarczej czy naukowej — stworzyły nowy typ Polaka. Ten nowy Polak, szanujący swoją przeszłość wojenną, ale jednocześnie mocno usadowiony w nowych warunkach, chociaż tęskni do kraju rodzinnego, choć interesuje się jego losem, a często przyjmuje postawę walki politycznej, na codzień czuje się wżyty w nowe warunki. Po dwudziestu latach równie u siebie w domu czuje się w stosunkach polskich, jak angielskich, francuskich, amerykańskich czy australijskich. Przeglądowi życia i osiągnięć tego typu ludzi, ich sylwetkom społecznym, zawodowym czy naukowym poświęcamy tę nową rubrykę.

LEGENDA MERSEY-SIDE

Mersey-side — to kompleks portowy w Liverpoolu i jeden z najważniejszych w Anglii okręgów przemysłowych. Tu skoncentrował się duży przemysł okrętowy i mechaniczny miast: Birkenhead, Wallasey, Bootle, Crosby, Runcorn, Widnes, St. Helens i Warrington. Dzieśiątki, setki firm i koncernów, zasiedziały latami, obrosłych kapitałem i doświadczeniem. A jednak w tym właśnie miejscu, dzięki własnej inwencji, zdolnościom i upartej pracy zbudował w ciągu kilku lat wielką fortunę i duże imię przemysłowe emigrant-Polak, inż. Wacław Karpiński.

Jego błyskotliwa kariera przypomina dziewiętnastowieczne legendy pierwszych kapitanów wielkiego przemysłu. Jest zjawiskiem podobnym do żywiołu, który ogarnia teren swego działania. Bo niezależnie od tego na jaką konkretną sumę należałoby dziś oceniać majątek tego wybitnego przemysłowca, suma którą można by wliczyć zawsze jeszcze będzie wyglądała skromnie przy kapitałach wielkich angielskich koncernów. A przeciwie jego pozycja liczy się już poważnie nie tylko w Mersey-side, nie tylko w Północnej Anglii, ale w całej W. Brytanii. Klucz tego uprzywilejowanego stanowiska jest prosty. Decyduje o nim kapitał przedsiębiorstwa, lecz jego charakter. Jak bowiem przemysł mechaniczny jest podstawą całego wielkiego przemysłu współczesnego, tak arystokracją przemysłu mechanicznego są zakłady przemysłu precyzyjnego. A taki właśnie zakład, największy w Mersey-side i jeden z największych w W. Brytanii posiada inż. Wacław Kar-

EMIGRACJI

piński, co czyni go automatycznie jednym z wodzów przemysłu brytyjskiego.

Legenda ma lat 13. Zaczęła się w r. 1952, gdy nasz bohater rzucił stanowisko inżyniera w jednym z miejscowych zakładów i zaczął prowadzić własny zakład kupując za dosłownie pierwsze oszczędzone funty dwie wiertarki i starą, sfatygowaną tokarnię. Po wykonaniu pierwszych zamówień warsztatik zaczął się błyskawicznie rozrastać w fabryczkę, fabryczka w poważną fabrykę, która początkowo rozbudowywała się w dwóch miejscach. Od jesieni 1964 roku zakłady K. W. K. Birkenhead Ltd. mają własną, nowoczesną siedzibę, powbudowaną także przez drugą firmę inż. Karpińskiego zajmującą się konstrukcjami budowlanymi G. & M. Birkenhead Ltd. Własne, nowoczesne biura i ekspedycja. Wielka hala produkcyjna. Rzędy precyzyjnych maszyn: tokarni, wiertarek, szlifierek, frezarek i pięknych wytaczarek. Poszczególne okazy tych maszyn, a jest ich już blisko 200, kosztują po 6, 7, 10, a zdarza się, jak śliczny, o smukłej sylwetce „Jig-bore“ i po 18 tysięcy funtów.

Jadąc do Birkenhead zastanawiałem się w czym jest tajemnica tego niebywałego powodzenia. Wszystko wyjaśniło mi pierwsze osobiste zetknięcie z inż. Wacławem Karpińskim, zbliżającym się do 50-ściatki, mocno zbudowanym mężczyzną, spokojnym, rzeczowym, uważnym. Było to w sobotę wczesnym popołudniem. W zasadzie już po godzinach pracy. Gdy oglądałem fabrykę, zapytałem grzecznościowo: „Czy aby nie zmarnuje panu wolnego czasu?“ Odpowiedź była krótka i niewątpliwie szczerą: „Skądże, są podobno ludzie co lubią



Inżynier Wacław Karpiński

odpoczywać. Mnie się nigdy z fabryki nie śpieszy. Ja się w niej najlepiej czuję“. Myślę, że inż. Karpiński włożył w swoje zakłady ogromny kapitał entuzjazmu, dużą wiedzę techniczną, poważne doświadczenie zawodowe i niczym niezmierzone zasoby entuzjazmu i upartej własnej pracy. Oto cała już tajemnica wielkiego powodzenia.

Oglądam jeszcze pisma z referencjami i podziękowaniami za wykonane roboty: The de Havilland Aircraft Co. Ltd., Ford Motor Co. Ltd., Barber-Greene Olding & Co. Ltd., i wiele innych i szacownych potęg przemysłowych. Wszędzie słowa uznania i najwyższej oceny.

I jeszcze jedno zasługuje, wymaga wprost, najwyższej oceny. W prywatnej już rozmowie zapoznaje się z wojenną przeszłością inż. Karpińskiego. Urodził się w Dubnie na Wołyniu, gdzie jego ojciec miał mały warsztat mechaniczny. Ukończył przed wojną politechnikę lwowską. W kampanii wrześniowej dostał się do niewoli niemieckiej, skąd po licznych perypetiach szczęśliwie ucieka. Działając we Francji jest dowódcą podziemia na 5 departamentów. Wszędzie czynny, wszędzie obowiązkowy. Do dziś. Bo i teraz w Liverpool jest od paru lat prezesem koła S. P. K., które mu wiele zawdzięcza. Wiecznie zajęty rozbudowującą się firmą, znajduje jednak czas i na polskie sprawy społeczne, jak znajduje go na kształcenie młodych mechaników, dyskusję nad ich metodą szkolenia, na co zwróciła uwagę prasa angielska. Jest człowiekiem czynu. A zapytany o to skąd bierze na wszystko czas, odpowiada skromnie: „Taką naukę wyniosłem z domu rodzinnego, że powinno się być tam wszędzie, gdzie człowiek może być po-

trzebny, lub gdzie winien spełnić swój obowiązek“.

Nie dziwny się więc, że jego imię jest cenione przez Anglików, a dla Polaków z Mersey-side stało się dumną legendą.

NA OSAMOTNIONEJ PLACÓWCE

U Stanisława Karko, prezesa S.P.K. w Lancaster, na poczesnym miejscu w miłym saloniku wisi obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Nic dziwnego, pochodzi on bowiem z Wilna i ceni sobie wysoko wileńskie wspomnienia, zwyczaje i tradycje. I właśnie z poczucia typowo wileńskiego obowiązku został ponownie prezesem SPK, gdy działalność miejscowego koła kombatantów nieco przygasła. A nie była to wcale decyzja łatwa. Pan Stanisław pracuje bowiem jako robotnik w fabryce plastyku. Normalny zarobek za 40 godzin tygodniowo jest skromny, zaledwie około £12. Musi więc, by zapewnić dobre warunki rodzinie, a ma dwóch dorastających i kształcących się synów, Zbigniewa i Jerzego, pracować w nadgodzinach. Wyrabia ich tygodniowo blisko trzydzieści, a więc właściwie pracuje za dwóch. Dopiero wtedy osiąga do £.25 na tydzień. Więc chociaż nie on jeden tak pracuje, ale w takich warunkach podjąć się kierowania pracą społeczną skupiska 400 Polaków stanowi duże poświęcenie.

Gdy rozmawiamy o stosunkach polskich okazuje się, że ludzie są zapracowani, zmęczeni, często zniechęceni. Żyją w dobrobycie, za który trzeba płacić ciężką pracą. To wyczerpuje. Młodzi przyzwyczajeni, zrozumieli konieczność, mus. Myślą o dzieciach. Synowie pana Stanisława uczą się dobrze. Starszy myśli o studiach historycznych, młodszy o medycynie. Rodzice chcą im zapewnić jak najlepsze warunki, ale jednocześnie pragną utrzymać w domu polskie tradycje. Stąd także ten stosunek obowiązku do pracy w S. P. K., który doskonale rozumie i żona, p. Helena, pochodząca z Przeworska.

Stanisław Karko, który dziś liczy 49 lat, najlepszą część swego życia oddał służbie wojskowej i pracy na emigracji. W Wilnie, w normalnych warunkach, byłby dobrze sytuowanym urzędnikiem. W obcym społeczeństwie ciężką pracą fizyczną zdobył sobie podstawy egzystencji i zabezpieczył przyszłość. Dba o wykształcenie własnych dzieci, ale troszczy się również, oczywiście wraz z licznymi kolegami, o ogólne sprawy polskie w Lancaster. Jest przykładem obowiązku i pracowitości.

LOTNIK FOTOGRAF

Gerard Schmidt, dziś dobrze prosperujący fotograf w Seunthorpe, pochodzi ze Śląska. Przed wojną pracował

w zakładzie fotograficznym u Halosa w Katowicach. Podczas wojny służył w polskim lotnictwie w W. Brytanii. Skromny, nie chce mówić o wojennych przeżyciach. Od jego kolegów dowiaduję się, że ma piękną kartę bojową. Był dwukrotnie zestrzelony, w tym raz nad Niemcami. Już uznano go za poległego, bo długo nierozpoznany leżał w szpitalu niemieckim. Kuracja przeciągnęła się długo po wojnie. Gdy wyszedł ze szpitala wrócił do fotografii. Od 9 lat ma własne Gerard Studio, które rozwija się bardzo dobrze. Obecnie zatrudnia 4 pracowników. Specjalizuje się w portretach zdobywając coraz szersze uznanie w rozwijającym się mieście i w okolicy.

Często robi zdjęcia z lokalnego życia polskiego, szczególnie dla miejscowej szkoły. Powiada: „Jak się interes rozwija na działalność społeczną nie starcza już czasu“. Często jednak wstępuje na pogawędki do Domu Kombatanta.

ZOŁNIERZ I GÓRNIK

W Barnsley nie ma polskiego życia. Do niedawna wegetowała Polska YMCA musiała jedna się zamknąć.

Wśród 300 polskich górników pożenionych przeważnie z Angielkami, z trudnych do ustalenia przyczyn nie wyłoniła się poważniejsza polska siła społeczna. Żyją w rozproszeniu, spotykając się najwyżej w barach.

I właśnie w tej bezimiennnej i bezbarwnej gromadzie wyróżnia się zachowaniem i postawą Aleksander Botwiński. Pochodzi z Kobrynia na Polesiu. Ma dziś 47 lat. Był plutonowym w 10 PSK w 1 Dywizji Pancerniej. Pierwszą w życiu kopalnię zobaczył w Szkocji. Ale po demobilizacji, dla lepszych zarobków, wybrał górnictwo. Pracuje już pod ziemią blisko 18 lat. Przywykł. Ożeniony z Angielką, dwoje dzieci wy-

chowuje w świadomości polskich tradycji. 13-letnią córkę ma w Grammar School, 10-letniego syna Michała też zamierza kształcić. Boleje, że Polacy nie trzymają się razem. Sam przez kilka ostatnich lat był prezesem ogniska Polskiej YMCA. Wierzy, że jeszcze kiedyś, przynajmniej jakaś liczniejsza grupa polska w Barnsley bliżej się ze sobą zżyje i stworzy własną organizację Kontakt ze sprawami polskimi utrzymuje przez prasę emigracyjną.

NIE UZNAJE EMERYTURY

Prawdziwa żywotność nie uznaje ograniczeń narzuconych wiekiem. Ceną wyżej zmienia formy ekspansji. Jaskrawym tego przykładem jest inż. Stanisław Polankiewicz z Leeds. Z zawodu leśnik, z ducha artysta. W Polsce, siedząc w lasach wzywał się w rzeźbiarstwie, co na drobną skalę uprawia jeszcze dziś w 76 roku zacnego żywota. Gdy miał okazję organizował chóry i zespoły teatru amatorskiego. Najciekawsze osiągnięcia w tej dziedzinie miał w zlikwidowanym już East Moor Hostel pod York'iem. W Leeds przez pewien czas dyrygował chórem, był organistą, prowadził zespół „Kujawy“. Przez cały czas pisuje wiersze. Różne: okolicznościowe, religijne, patriotyczne. Układa pieśni, komponując do nich muzykę. Nie mogąc już systematycznie zajmować się dużą gromadą ludzką, w parę osób uczestniczy w różnych akademiach i obchodach, szczególnie chętnie odwiedzając różne zapomniane miejscowości w rozległej parafii księdza Bolesława Zabłudowskiego. Ostatnio wziął się do pisania pamiętników. Oświadcza: „Już czas. Tyle się różnych rzeczy przeżyło, tyle przeszło, dobrze to będzie utrwalić na papierze.“ A lata? Przystałem je liczyć — mówi — za dużo się tego zebrało.

Tadeusz Podgórski



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYMENT.

„CUDA“ GOSPODARCZE

Określenie cud gospodarczy stało się popularne po drugiej wojnie światowej. Nazwa nie jest właściwa, bo u przyczyn tego zjawiska, które przywykliśmy nazywać cudem gospodarczym, leżały ludzkie decyzje i czyny. Chyba tylko szybka zmiana stanu powojennego wyniszczenia i nędzy na wielki dobrobyt usprawiedliwia użycie tego określenia, bo zaznacza, że w tej szybkości było coś nadzwyczajnego, co zasługuje na wyróżnienie w słowie.

Cuda gospodarcze są zjawiskiem wolnego świata, bo nic podobnego nie można zobaczyć w krajach, będących pod władzą komunizmu. Wprawdzie statystyki wykazują tam chyba stale duży postęp gospodarczy, ale rzeczywistość różni się ze statystykami. Czasami cyfry, dotyczące ubiegłych lat są poprawiane ex post, gdy jest to politycznie konieczne. Tak np. dane o produkcji rolnej były ex post zmieniane. Stąd też uzasadnione jest zdanie jednego z wybitnych statystyków Wspólnego Rynku, który omawiając

cyfry sowieckie o wzroście dochodu narodowego, powiedział: „Cyfry dowodzą, że dochód wzrasta o tyle a tyle procent rocznie, tylko nie wiadomo, co one praktycznie oznaczają“

Niemcy Zachodnie, Francja, Włochy i w Azji Japonia były i są terenem tak szybkich zmian na lepsze, że do nich to właśnie zastosowano określenie — cuda gospodarcze. Ostatnio wydana książka omawia Niemcy Zachodnie, Francję i Włochy w tak bardzo interesujący sposób, że wymaga, choćby krótkiego, omówienia jej w prasie polskiej. 1). Praca ta jest dziełem trzech autorów specjalistów z przedmową E. Powella, typowanego niekiedy na przyszłego konserwatywnego premiera, wydaną przez angielski Instytut Ekonomiczny. Książka ta jest specjalnie interesująca dla Anglików, bo rozwój gospodarczy W. Brytanii jest powolniejszy niż krajów Wspólnego Rynku, które pod wieloma względami już Anglię dogoniły.

Niemcy Zachodnie

Najbardziej interesujące jest doświadczenie niemieckie. Wojna zniszczyła Niemcy gruntownie. Mimo wysiłków władz okupacyjnych produkcja przemysłowa wzrosła w 1948 tylko do 30 procent stanu przedwojennego. Inflacja uniemożliwiała dalszy postęp, a władze okupacyjne były przeciwne reformom w obawie o reakcję sowiecką. Chrześcijańscy Demokraci przyjęli poglądy szkoły fryburskiej, której głównym przedstawicielem był Walter Eucken. Szkoła ta podkreślała zalety konkurencji i konieczność ustabilizowanej waluty, była jednak krytycznie usposobiona wobec dziewiętnastowiecznego *laissez faire*, ponieważ prowadził do monopolu i cyklicznych kryzysów gospodarczych. Szkoła ta twierdziła, że inflacja niszczy mechanizm cen i wolność wyboru przez konsumenta, a w konsekwencji prowadzi do planowania, które przynosi odwrotne rezultaty od zamierzonych.

W roku 1950 dochód narodowy niemiecki (wartość wszystkich towarów i usług) wynosił 9620 milionów funtów, w roku 1960 — 19900, a więc więcej niż dwa razy tyle; średni roczny wzrost 7,6 procent, gdy W. Brytania miała średni wzrost 2,5 procent rocznie. Eksport wzrósł od 1950 roku do 1959 prawie czterokrotnie, a udział Niemiec Zachodnich w handlu międzynarodowym z 10 na 26 procent. Na inwestycje

szło średnio 21,9 procent dochodu narodowego (w Anglii tylko 15); konsumpcja wzrosła z 126 funtów do 220 funtów rocznie na głowę; indeks produkcji przemysłowej ze 100 w 1953 r. do 190 w 1961 (w Anglii w tym czasie wzrósł tylko do 130). W tym okresie natomiast ceny detaliczne wzrosły jedynie o 9 procent, gdy w Anglii o 46 procent.

Nie brak było błędnych wyjaśnień niemieckiego cudu gospodarczego. Do takich trzeba zaliczyć twierdzenie, że wyjątkowe duże zubożenie wojenne tłumaczy szybki wzrost po wojnie. Im kto biedniejszy, tym szybciej może się rozwijać. Wystarczy odpowiedzieć, że w okresie 1956-1961, a więc już po osiągnięciu dużego stopnia zamożności, dochód narodowy niemiecki dalej rośnie o 9,2 procent rocznie. Druga błędna teoria szuka wytłumaczenia w pomocy amerykańskiej udzielonej na podstawie planu Marshall'a. Ale przecież pomoc dla W. Brytanii była o 400 milionów funtów wyższa!

Reforma walutowa z 1938 roku była podstawą tego wspaniałego rozwoju gospodarczego. Polityka rządu nigdy nie dopuszczała do „przeżrzenia się“ gospodarki wedle tak modnego dziś określenia i do wypływającej z tego

1) Economic „Miracles“ by J. Hennessy, V. Lutz, G. Scimone. A. Deutsch, 1964. 25/-.

inflacji. Inwestycje szły do nowych przemysłów, gdzie zyski i produktywność są wysokie, a nie topiono ich, jak w Anglii, w niewydajnych znacjonalizowanych przemyślach. Wszystko to prowadziło do szybkiego wzrostu produktywności, co przy pełnym zatrud-

niem, dało stały duży wzrost dochodu narodowego. Osiągnięcia tej polityki wyprzedziły daleko oczekiwania najbardziej optymistycznych planistów. W 1949 roku amerykańska grupa ekspertów przedstawiła plan, który przewidywał wzrost produkcji przemysłowej do 1953 roku do 110, jeśli 1936 rok przyjmiemy za 100. Rzeczywistość przeszła te plany — produkcja wzrosła do 1953 do 150. Jakby wyglądały Niemcy, gdyby oddały się w ręce planistów?!

Francja

Francja w latach 1950-1962 powiększyła swój dochód narodowy przeszło dwukrotnie; średni wzrost wynosił około 5 procent rocznie. Był to wzrost mniejszy niż w Niemczech czy Szwajcarii; lecz Francja w przeciwieństwie do tych krajów nie mogła szybko powiększyć ilości zatrudnionych. Inwestycje wynosiły 17 procent dochodu narodowego średnio; produkcja przemysłowa wzrosła w ciągu 10 lat o 70 procent. Wzrost produktywności był nawet nieco większy niż w Niemczech. Bilans płatniczy od czasu dojścia do władzy gen. de Gaulle'a stał się dodatni i świat nabrał zaufania do franka. Francja tak jak Niemcy nagromadziła ogromne zapasy złota. Rozwój gospodarczy Francji odbywał się w warunkach inflacyjnych, zwłaszcza w początku tego okresu, co pociągnęło za sobą kilkukrotną dewaluację franka oraz zarządzenia antyinflacyjne, polegające na ograniczaniu kredytu. Ten rozwój gospodarczy Francji odbywał się w ramach planów gospodarczych; które jednak pozostawiają wolną decyzję wszystkim elementom życia gospodarczego. Ten rodzaj planowania otrzymał nazwę planowania indykatywnego i różnił się od polityki gospodarczej głównie przez ustalenie procentu wzrostu na lata planu. Myśl gospodarcza francuska wywiera dziś duży wpływ na Anglię.

Włochy

Włochy są następnym przykładem cudu gospodarczego. W latach 1953-62 dochód narodowy powiększył się prawie dwukrotnie. Dwukrotnie wzrosła produkcja przemysłowa. Miało miejsce poważne przesunięcie ludności z rolni-

ctwa do przemysłu. Wobec Wspólnego Rynku Włochy zajęły początkowo stanowisko pełne obaw przed silną konkurencją dla własnego przemysłu. Życie pokazało, że stanowisko to było błędne. Produkcja stali wzrosła prawie trzykrotnie. Dochód narodowy w latach 1958-1961 wzrósł o 30 procent, gdy w całym Wspólnym Rynku wzrósł jedynie o 20 procent. Dzięki Wspólnemu Rynkowi Włochy zwiększyły swój eksport bardziej niż jakikolwiek inny kraj Szóstki. Inwestycje wynosiły ponad 20 procent dochodu narodowego, przyczym udział kapitału zagranicznego był duży. Wielki wysiłek włożono w zaniedbane południe kraju.

Przyczyny cudów gospodarczych

Szybki rozwój gospodarczy jest zjawiskiem skomplikowanym i może przebiegać w różnych warunkach. W każdym razie trzeba odrzucić twierdzenie, że koniecznym warunkiem jest planowanie. Niemcy przeszły cud gospodarczy bez planowania. Również presja inflacyjna nie musi towarzyszyć szybkiemu rozwojowi gospodarczemu. Raczej należałoby przyjąć argumenty przeciwne. Stałość waluty i brak planowania wydają się dziś ułatwiać zdecydowanie szybki rozwój gospodarczy. Twierdzenie to idzie pod prąd potężnej propagandzie i może wywołać zdziwienie. Dlaczego? — można się zapytać — brak planowania i stałość waluty stwarzają warunki dla szybkiego wzrostu. Wy tłumaczenie jest proste. Wtedy bowiem inwestycje w normalnych warunkach kierują się do przemysłu, na którego towary istnieje duże zapotrzebowanie, a więc do takiego, który daje duże zyski. Prowadzi to zwykle do szybkiego wzrostu produktywności. Nie ma wtedy marnowania środków na przemysł, które w gospodarce planowej państwo utrzymuje dla takich czy innych celów politycznych. Sztwy plan gospodarczy, nie mogący się z natury rzeczy przystosować do szybkich zmian w popycie i podaży, hamuje rozwój. Napięcie inflacyjne prowadzi przeważnie do opóźniających procesów.

To nie wszystko. Wzrost dochodu narodowego może być bardzo szybki w krajach, w których duża część ludności pracuje w rolnictwie. Gdy ludność ta przechodzi częściowo do przemysłu produkcja wydatnie się zwiększa. Niesposób wreszcie pominąć warunków psychologicznych — wiara we własne siły czy też woła odrobienia błędów przeszłości są nieodzownym składnikiem cudu gospodarczego, gdy atmosfera beznadziejności i zniechęcenia prowadzi do stagnacji. Czy w szybkim rozwoju zospodarzemy rozbite i poko-

nane Niemcy nie widziały jedynej drogi do lepszej przyszłości?

Marnotrawstwo komunizmu

Cuda gospodarcze w Europie Zachodniej muszą nas interesować, bo wpływają na politykę międzynarodową oraz na sytuację gospodarczą krajów za żelazną kurtyną. Nie chcąc rozszerzać zbytnio tego artykułu, ograniczę się do dwóch tylko zagadnień.

Jeśli polityka gospodarcza krajów zachodnio-europejskich była uwieńczona tak wielkim powodzeniem, trzeba się zapytać, czy komuniści w Polsce nie mogą uciec się do tych samych metod? Nie należy od nich tego oczekiwać. Oto powody. Szybki wzrost gospodarczy oznacza wolność przesuwania środków produkcji, zgodnie ze wskazaniami popytu, od mniej do bardziej dochodowych działów gospodarki. To oczywiście sprzeciwia się zasadniczo komunistycznemu planowaniu, które ma na cele polityczne a nie gospodarcze na widoku. Po drugie, szybki wzrost gospodarczy wymaga przyjęcia, że za cięższą pracę, lepszą organizację, większą wydajność etc. należy się lepsze wynagrodzenie. Państwo musi docenić działanie tych tzw. motywów gospodarczych i nie może im się przeciwstawiać. Oba te warunki wymagają dużego stopnia wolności gospodarczej, która z konieczności prowadzi do wolności politycznej. Wolności politycznej za żadną cenę komuniści nie przyjmą, bo podcina to podstawową dla nich zasadę dyktatury komunistycznej. Terror nie może zastąpić wolności, bo obywatelnia inicjatywę indywidualną i każde szukać bezpieczeństwa w zastojach. I tak jak jeden jest mniejsze od dwóch, tak system komunistyczny będzie zawsze mniej wydajny, a więc biedniejszy i o niższym poziomie życia ludności niż kraje Zachodu.

Niemożliwe perspektywy

Czy jakieś cechy natury ekonomicznej stanęłyby na przeszkodzie w zastosowaniu tych metod zachodnich, gdyby Polska była wolna, nie znajdując się pod władzą komunizmu? Z całą pewnością nie. A nawet możnaby przewidywać ich szerokie zastosowanie. Polska posiada duże zasoby ludnościowe, stanowiąc zbyt wielkie na 20. wiek, w rolnictwie, które pod rządami komunistycznymi jest zaniedbane i niewydajne. Jest doskonałym dowodem ekonomicznego niedołęstwa komunizmu fakt, że Polska musi sprowadzać żywność choć ma 40 procent ludności w rolnictwie. Polacy są narodem żywym, szybko reagującym i umiejącym ciężko pracować. Bez wątpienia odpowiedzieliby entuzjastycznie na danie im możliwości

ci bogacenia się po latach komunistycznej nędzy. Czy nie brakłoby środków na inwestycję? Nie należy być w tym pesymistą. Polska nie jest tak biedna jak kraje niedorozwinięte, jak Indie czy kraje afrykańskie, które muszą importować wszystkie urządzenia przemysłowe. Polska posiada poważny przemysł. Duży wzrost dochodu narodowego umożliwiłby szybkie wewnętrzne inwestowanie. Polska nie jest krajem biedniejszym od Włoch i gdyby mógł mieć miejsce cud gospodarczy, najpierw chyba byłby w Polsce a nie we Włoszech. Na przeszkodzie stoją komuniści.

Zygmunt Stermiński

CO PISZĄ INNI

TRZY ASPEKTY JEDNEJ AKCJI

„Tygodnik Polski“ (dawniej: „Tygodnik katolicki“) to „niezależne pismo Polaków w Australii i Nowej Zelandii“, wydawane w Melbourne. Naczelny redaktor tegoż pisma, Roman Gronowski, w artykule p. t.: „O jedność emigracji“ poruszył niedawno zagadnienie znanej akcji infiltracyjnej Moczara, o czym pisaliśmy już niejednokrotnie na łamach „Orla Białego“. Akcja ta idzie dwoma torami:

„... Pierwszy — to zapowiedziane polowanie na jednostki. Na działaczy o słabszym kręgosłupie, jakich w żadnym środowisku nie brak. Niektórzy już są otumanieni — poznać ich można bez pudła na naszych zebraniach, wystarczy słuchać uważnie i krytycznie. Są wśród nich i ludzie chwiejni, poważnie bez własnego zdania, cytujący bezmyślnie i bez cudzysłowu slogany propagandowe z „Naszej Ojczyzny“ lub z „7 Dni“ — i są oportuniści, ludzie o miedzianym czole, całe życie zerkakający to w lewo, to w prawo, szukający zawsze dla siebie pomyślnych wiatrów i owiani jedyną troską: żeby tylko nie spóźnić się z postawieniem na właściwego konia — który, jak wiadomo, nie zawsze wygrywa. Tych pierwszych można jeszcze oświecić — tych drugich trzeba się strzec.

Drugim aspektem moczarowej ofensywy jest ukłon w stronę stęsknionych za Krajem wędrowników Australia-Polska. „Nie ma lepszych agitatorów naszego kraju za granicą, jak Polacy, którzy odwiedzili kraj.“ Bzdura. Dziewięciu na dziesięciu wędrowników mówi nam taką samą prawdę o Polsce, jaką wypisują pisma emigracyjne, które — rzekomo — „szkalują Polskę Ludową“.

Red. Gronowski wspomina jeszcze trzecią kategorię: „zręcznych agitatorów“, którymi „są NIEKTÓRZY emigranci w ostatnich latach przybyli z kraju“.

A nawiązując do obrad „czołowych przedstawicieli“ życia społecznego w Australii autor apeluje do nich by zaradzili „szerzącemu się złu zubożeniu politycznego“ i aby stwierdzono, że „wyraźnie wyodrębniamy Naród Polski, wytrwale walczący z narzuconym ustrojem — od rządzącej nim komunistycznej klikki. Że z całą mocą przeciwstawiamy się jej zakusom rozbijania emigracji“.

O LEKTORAT POLSKI NA AUSTRALIJSKIM UNIWERSYTECIE

Skoro jesteśmy już przy tematyce australijskiej, która w ostatnich miesiącach znalazła wiele miejsca — i może nawet nie bez pożytku — na łamach prasy emigracyjnej wychodzącej poza Australię, chcemy zwrócić uwagę na jeszcze jedno pilne zagadnienie. Pilne nie tylko dla Polaków w Australii. Jak pisze prof. Jerzy Zubrzycki z Department of Sociology, Institute of Advanced Studies, Australian National University, (znamy go doskonale z czasów pobytu w W. Brytanii):

„od czterech lat prowadzone są starania o utworzenie na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Kanberze Lektoratu Nauki o Polsce (Lecture-ship in Polish Studies). Zadaniem takiego lektoratu byłoby nie tylko nauczanie języka polskiego, ale również prowadzenie nauki o Polsce współczesnej“.

I dalej czytamy:

„...istnieją wszelkie konieczne warunki od tego, żeby placówka ta została utworzona nie później jak w r. 1968. Zasadniczym jednak warunkiem, od którego będzie uzależniona decyzja Uniwersytetu, jest utworzenie odpowiedniego księgozbioru składającego się z dzieł traktujących o Polsce, jak i z książek polskich. Bez takiego księgozbioru nie może być mowy o rozpoczęciu pracy dydaktycznej i badawczej.“

Biblioteka Uniwersytetu posiada już spory księgozbiór dzieł w języku angielskim na tematy polskie. Nowe pozycje są systematycznie kupowane. Brak natomiast dzieł w języku polskim. Przydałby się bardzo zestaw klasyków polskiej literatury pięknej, historiografii, myśli filozoficznej i nauk społecznych, zestaw poważniejszych periodyków wychodzących w kraju i na emigracji, komplety Rocznika Statystycznego, atlasy geograficzne, albumy sztuk plastycznych, wydawnictwa krajoznawcze — słowem wszystko co się drukuje w kraju i na emigracji (nie wyłączając beletrystyki), a co dla pracownika nauki może być potrzebne...“

Ten księgozbiór polski miałby otrzymać nazwę „Polish Collection“ i stanowiłby miał oddzielną sekcję w Menzies

Library. Byłby to „trwały pomnik polskości — pisze prof. Zubrzycki — oraz skarbnica wiedzy o Polsce dla przyszłych pokoleń uczonych, wśród których znaleźć się powinny nasze dzieci i wnuki“.

Nie ulega wątpliwości, że jest to akcja zasługująca na jak najpełniejsze poparcie nie tylko Polaków w Australii mieszkających, lecz wszystkich Polaków na całym świecie. Jeśli Australijczycy tylko takie skromne stawiają warunki, jak zebranie odpowiedniej ilości polskich książek, by lektorat mógł odpowiednio pracować, a nie żądają żadnych pieniędzy, to, na miłość Boską, tylko poprzec, tylko zebrać i natychmiast wysłać. Tułają się bowiem książki po polskich domach i w polskich lokalach tak że nieraz naprawdę wiadomo co z nimi robić. Nasze wielkie biblioteki, jak np. Biblioteka Polska w Londynie ma liczne dublety, które mogą być nawet kłopotliwe z powodu braku miejsca. Poco to trzymać! Pakować i wysłać do Kanberry! Tam chętnie je przyjmą, pokwitują i jeszcze w prasie podziękują. Uroczyste przekazanie Polskiego Księgozbioru przedstawicielom Uniwersytetu — jak pisze Komitet Tysiąclecia i Chrztu Polski w Kanberze i w Qeanbeyan — nastąpi przy okazji odpowiedniej rocznicy narodowej w drugiej połowie bieżącego roku. Co więcej — nie tylko pokwitowany zostanie odbiór nadesłanych książek, ale i zwrócić mają kosztą przesyłki. Czyli nic to nie kosztuje!

Wysłać należy do:

— Polish Collection, Menzies Library, The Australian National University, Canberra, A. C. T. Każdy dar zaopatrzonej będzie odpowiednim „Ex Libris“ i pokwitowany.

— Polish Millennium Committee, c/o Polish Ex-Servicemen's Association in Australia, P. O. Box 234, Canberra City, A. C. T. — również za zwrotem kosztów przesyłki i odpowiednim pokwitowaniem odbioru.

2. Dary pieniężne w formie „Money Orders“ lub czeków bankowych należy wystawiać na „Polish Ex-Servicemen's Association, Branch Australia“.

Apel naszych rodaków w Australii przyjęty został życzliwie w kołach polskich w W. Brytanii. Tak np. Zarząd Główny S. P. K. ofiarował pewną ilość książek na ten cel, a Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii w swym biuletynie: „Przeglądzie Społecznym“ z czerwca br. zaapelowało do wszystkich organizacji członkowskich o poparcie apelu. Książki składane być mogą w Księgarni Kombatanckiej w Londynie (18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7), skąd wysyłane będą do Australii.

Pamiętajmy: kto szybko daje — dwa razy daje!

(p. h.)

ŻYCIE PO RAZ WTÓRY

Nie ma chyba dziś wśród Polaków nikogo, kto śmiałyby twierdzić, iż życie przerwane nawałnicą wojenną w r. 1939 można odnaleźć po raz wtóry.

A jednak ...

Państwo K. mieszkali przed wojną w miasteczku B. na pograniczu Polski centralnej i Ziemi Wschodnich. Pan K. był urzędnikiem państwowym, żona jego była nauczycielką. Dzieci nie mieli. Cieszyli się ogólną sympatią i poważaniem i z pracy własnych rąk dorobili się niewielkiego, ładnie umeblowanego domu. Tuż przed wybuchem wojny p. K., jako oficer rezerwy, zostaje powołany do wojska. Przechodzi kampanię wrześniową, po czym przez zieloną granicę przedziera się do wojska polskiego na Zachodzie. Tymczasem nawała bolszewicka wdziera się do miasteczka B. Pani K. zostaje arestowana i zesłana w głąb Rosji, śladami tysięcy rodaków z Ziemi Wschodnich.

Podczas gdy mąż bit się w Tobruku, a następnie w kampanii włoskiej, żona jego przechodziła piekło łagrów na dalekiej północy, nie mając ani sił ani możliwości dotarcia do formującej się Armii Polskiej w ZSSR, a nawet oddziałów pod dowództwem gen. Berlinga. Była jedną z tych zapomnianych i nadaremnie poszukiwanych ofiar sowieckiego niewolnictwa, o których od lat dopominają się wolni Polacy.

Mniej więcej dwa lata temu do p. K. w Londynie nadszedł telegram następującej treści: „Bóg dał powrócić, jeśli możesz przyjeżdżaj. Żona“. Przejścia wojenne, samotność i zgryzoty życia emigracyjnego nadszarpnęły zdrowie Pana K. do tego stopnia, że serce szoku nie wytrzymało. Na szczęście natychmiastowy ratunek spowodował iż białe nie przestało. Pan K. natychmiast zdecydował się na powrót i po załatwieniu formalności przez przyjaciół został odwieziony karetką wprost ze szpitala na lotnisko. Na Okęciu czekał lekarz i nowy ambulans na wypadek gdyby spotkanie małżeństwa po 24 latach okazało się zbyt wielkim wstrząsem. Na szczęście obawy rodziny się nie sprawdziły. Państwo K. padli sobie w objęcia i po krótkim pobycie w Warszawie powrócili do miasteczka B. leżącego — o dziwo — po polskiej stronie obecnej granicy i zamieszkali... we własnym domu i wśród własnych mebli, ocalałych z pożogi wojennej dzięki zapobiegliwości wiernej gosposi i sąsiadów państwa K. Po dwudziestu czterech latach tułaczki życie ich powróciło do ram sprzed 1939 roku. Czy ramy te jednak wypełnione są tą samą treścią?

A. Stypułkowski



SZPITAL ZAPOMNIANYCH

Reportarz Klary Evans

z polskiego szpitala

w Walii

W PÓLNOCNEJ Walii znajduje się w miejscowości Penley — polski szpital. W brytyjskim państwie opiekuńczym jest to jedyny w swoim rodzaju szpital, który używa oficjalnie przymiotnika „Polski” — Polish Hospital Penley — i jest zarządzany przez polski personel, który, administrując funduszami brytyjskimi przeznaczonymi na jego utrzymanie ma jednocześnie szeroki zakres niezależności i własnej decyzji.

Z miasta Wrexham jedzie się jeszcze dobry kawałek drogi do ukrytego między zielonymi wzgórzami polskiego szpitala w Penley. Droga wije się przez łąki i lasy, autobus kołysz się niebezpiecznie na wąskich zakrętach. Jest godzina popołudniowa i wraz ze mną wracają ze szkoły dzieci. Szczeboczą jak ptaki na pierwszym piętrze staromodnego, zielonego autobusu, wyrugowanego prawdopodobnie z jakiegoś większego miasta, aby teraz obsługiwać mało zaludnioną, wiejską okolicę Wrexham. Konduktor sprawnie zbiera pieniądze, biega po schodkach z dołu do góry i z góry na dół, pozdrawia serdecznie znajomych pasażerów, pomaga wysiąść starszym paniom wracającym z targu z pełnymi koszami. Dziwny akcent ma ten konduktor, myślę sobie. Po angielsku mówi wspaniale, ale to nie jest Anglik. Może Walijszyk — inaczej mówi niż ludzie w Londynie. A konduktor obsłużywszy już wszystkich wchodzi na górne piętro na chwilę pogawędki z dziećmi. Zasiada przy nich na ceratowej ławce, pyta o zdrowie, o

rezultaty letnich egzaminów. I naraz wykrzykuje po polsku: „A wam nie wstyd tak po angielsku gadać? Co to, nie jesteście polskimi dziećmi? Tato Polak, mama Polka, pracują w polskim szpitalu, a wy? Po angielsku i to do mnie! Wożę was codziennie do szkoły, wiecie, że Polak. Od dziś ani słowa po angielsku. Od dzisiaj będziemy mieli w tym autobusie lekcje polskiego...“ Niebieskookie dziewczynki, zapewne siostry, śmieją się nieśmiało. Kilkunastoletni chłopiec krzywi się. „Babcia mi teraz czyta „Ogniem i Mieczem“, ale to trudne“, mówi po angielsku. „Takie słowa: burzany, bodiaki, husaria, ja nie rozumiem“. Konduktor odpowiada po polsku. „To nie, że trudne. Będziemy się teraz uczyć codziennie w drodze powrotnej ze szkoły o burzaniach i o husarii... A wiesz, ja byłem pod Monte Cassino...“ I na tej nucie wjeżdżamy do osady w Penley.

Wyskakuję z autobusu prosto w bramę szpitalną. Witają mnie wielkie napisy „Polish Hospital Penley“. A tuż za bramą orgia kolorów, jaśminy, kasztany w białych stożkach okwiatu, równa szeroka droga, białe i różowe domki, tonące w kwiatach. Na rozstaju szpitalnej drogi olbrzymi kasztan ocienia drewniane ławki, zupełnie jak niegdyś w Parku Ujazdowskim w Warszawie. W cieniu kasztana niebieszczą się szpitalne ubrania pacjentów. Jedni na wózkach, inni z laskami, jeszcze inni podtrzymywani pewną ręką sanitariusza czy siostry, drepczą z wysiłkiem, spoglądając na

kwiaty. Jestem w szpitalu zgubionych dusz, zmarnowanych ciał, zagastych umysłów.

Sala, na której znajduje się mój chory, jest ogromna, biała i czysta jakąś nie kliniczną, domową świeżością. Na środku sali stół pełen kwiatów, na ścianach ludowe wycinanki, pod oknami rośliny w doniczkach — nasze białe lub czerwone fuksje-ulan-ki. Wesole, żółte zasłony rozdzielają łóżka, których jest tutaj dwadzieścia. Część sali odcięto na salonik z wygodnymi fotelami, stolikami i aparatem telewizyjnym. W saloniku siedzą ci, co się mogą jeszcze ruszać sami, siedzą wygodnie jak goście w podmiejskim pensjonacie, a nie jak beznadziejnie chorzy.

Siostra prowadzi mnie do łóżka mojego chorego. Człowiek ten niestety nie może już korzystać z dobrodziejstw saloniku. Umysł jego błądzi daleko stąd, w górnej a chmurnej przeszłości, w której zdobywał własną krewią niepodległość ojczyzny. Tkwi w czasie, gdy żył niebezpiecznie i tak intensywnie, że teraz pod koniec chorego życia — powraca strudzoną myślą w tamte czasy swego najprawdziwszego szczęścia. Nie poznaje mnie, a może to tylko moja twarz jest dla niego mniej rzeczywista, niż twarze dawno umarłych towarzyszy broni, z którymi żyje znów za pan brat. Ale łagodną siostrę salową wita uśmiechem, pełnym dziecięcego zaufania. „Zaraz wyjeżdżam do Wilna“, mówi do mnie. „Nie mam czasu“.

Obok łóżka mojego chorego ktoś

jęczy boleśnie i wysuwa rękę ponad koce w jakimś tragicznym, bełkotliwym wołaniu do niebios. Z drugiego końca sali przybiega sanitariusz w białym fartuchu. Jego twarz to twarz polskiego chłopca, poorana zmarszczkami, brązowa jak nasza ziemia. Ręka chorego sterczy sztywnie nad kocami, bełkocze dalej w straszliwej bezradności sparaliżowanego wylewem krwi mózgu. „Romciu“, mówi pan Jan, Sanitariusz, „Romeczku, a co ci to biedaczku?“ Podnosi chorego, otula go, przykrywa, poprawia poduszki. Ale już z drugiego końca sali woła inny chory. Pan Jan biegnie, dwoi się i troi, słucha jęków, płaczu, skarg i pretensji. Ten nie może sam jeść, tamten nie może się sam obrócić na łóżku, innego trapi przeraźliwy sen.

Bo w tym szpitalu, na tej wesołej sali leżą ludzie bez przyszłości, bez jakiegokolwiek nadziei na powrót do domu, do swoich bliskich, do zwyczajnego życia. Ludzie, których los wyrzucił poza nawias najskromniejszego choćby, ale normalnego bytowania. Inwalidzi wojenni, chorzy na zanik mięśni, sklerotycy, paralitycy, starzy, ślepi, bezdomni, często bez jednej bliskiej osoby na całym szerokim świecie. Dla nich wszystkich ten szpital jest ostateczną przystanią, rodziną, domem i schronem.

Jakże odmienna jest tutaj praca personelu szpitalnego. Tutaj nie chodzi już o odrobienie pracowicie i uczciwie ośmiu czy więcej godzin pracy na sałowym dyżurze. Tu trzeba dać jeszcze całe ciepło, cały wysiłek serca, oprócz wysiłku rąk aby ludziom tym — tragicznym cieniem, dać choćby namiastkę normalnego życia. Patrząc przez łyżki na postać siostry salowej, która spisuje właśnie przy łóżku jednego z chorych testament, oddający jego dzieciom, które zginęły w Powstaniu Warszawskim, folwark z przyległościami blisko pięknego jeziora Narocz. Biegnę wzrokiem za sanitariuszem panem Janem i za tym drugim, którego imienia nie znam i widzę jak mozolnie, cierpliwie wkładają strawę w bezzębne usta niespokojnego staruszka.

Lekarz, pod którego opieką jest ten właśnie oddział nieuleczalnych godzi się chętnie zobaczyć ze mną chociaż dopiero co zeszedł z dyżuru. Zostawiam więc mego chorego pogrążonego w przygotowaniach do wyjazdu do Wilna, opuszczam na palcach salę tak



trochę jakbym wychodziła z kaplicy. Bo na tej sali dotykalnie wyczuwam Boga — Boga miłosierdzia.

Doktor Ryszard Puskiewicz, jeden z czterech lekarzy, którzy stanowią stały personel medyczny w Penley, pod znakomitą przewodnictwem doktora Michała Berezy, naczelnego lekarza i administratora — przyjmuje mnie w swym na różowo pomalowanym domku, stojącym na gruntach szpitalnych. Lekarz z pod Monte Cassino, lekarz ze słynnego „Domku Doktora“, uwieczniony w książce o Monte Cassino Melchiora Wańkowiicza, przyjmuje mnie jak starą znajomą. To nie, że poznaliśmy się dopiero przed chwilą — łączy nas przecież wspólna bardzo ważna sprawa: chory człowiek. Mój bliski, jego pacjent, chory Polak.

„O nas i naszej pracy nikt prawie nie wie, mówi dr. Puskiewicz. „Jesteśmy tak daleko od polskiego świata w Anglii, że zapomniano o nas zupełnie. A szkoda, bo to bardzo ważna placówka. Wie pani, my przyjmujemy tutaj przede wszystkim chorych, którzy nie mówią po angielsku. Są bowiem tacy, którzy nigdy nie mówili i tacy... tacy jak pani bliski, którzy pod wpływem choroby zapomnieją języka angielskiego. Jak pani sama widziała, wszystko to ludzie beznadziejnie chorzy, przypadki chroniczne, których rodzina, jeżeli w ogóle mają rodzinę, trzymać przy sobie już nie jest w stanie. Wielu z naszych pacjentów to świetne nazwiska nie tylko z czasów tej wojny, znakomici mary-

narze, czy lotnicy, czy dyplomaci, ale i ci, co własnymi rękami tworzyli wolną Rzeczpospolitą od nowa — najstarsza gwardia naszej ojczyzny. Są także i ludzie prości, zagubieni w morzu obcości, zatęsknieni na śmierć za rodzimym słowem... Biedacy“. Doktor zamyśla się i pyka z fajeczki. „Chciałbym, żeby ktoś napisał parę słów o tym szpitalu“ dodaje po chwili. „Po prostu o tym jak wielkie jest owociche bohaterstwo tych wszystkich, którzy naszych chorych doglądają. Lekarz, cóż... przyjdzie, osłucha, poradzi i idzie dalej z sali na salę... Ale rzesza naszych siostr i sanitariuszy zostaje ze swymi chorymi. Dzień i noc. Noc i dzień. To nie są przyjemni chorzy. Niektórzy z nich są odrażający w swoich schorzeniach, niektórzy agresywni, a wszyscy tragicznie nieszczęśliwi. Chciałbym aby nasz personel, którego każdy członek mógłby odejść do innego szpitala i do lepszej pracy wiedział, że się ich pracą ocenia, że się jest im wdzięcznym... Społeczeństwo polskie w Anglii i poza Anglią wiele zawdzięcza bezimiennej rzeszy naszego personelu w Penley...

„Stosunki z Walijszczykami, mówił dalej doktor, są wspaniałe. Walijskie rodziny odwiedzają szpital, walijskie społeczeństwo urządza tańce i zabawy, kiermasze i loterie na rzecz szpitala i pacjentów. Burmistrz miasta Wrexham przyjeżdża do szpitala w pełnej gali złotych łańcuchów swego urzędu aby brać udział w imprezach: i tak na przykład brał udział w wystawie szpitalnej, jaka tu miała nie-

dawno miejsce. Zebrano poważne fundusze na cele Polskiego Szpitala. Wesołe żółte firanki na sali mojego chorego zostały nabyte wysiłkiem polsko-walijskiego społeczeństwa. A to taka ważna rzecz — te firanki: dają one chorym złudzenie własnego pokoiu⁴. Czyż można nie wspomnieć o siostrze przełożonej, Anieli Ziental? Nie ma nocy aby nie obeszała sal, interesując się losem każdego i chorzy nieraz nawet nie wiedzą jak jej wiele zawdzięczają. Wraz z drem Berezą pilnuje ona przestrzegania tradycji świątecznych, dekoruje sale, układa jadłospisy polskich potraw — po to, aby chorzy mieli atmosferę swojskości i namiastkę domu.

Na progu domku, otulonego w kwiaty jak w jakimś polskim zaścianku żegna mnie mocny uścisk dłoni doktora Puskiewicza i promienny uśmiech pani doktorowej, w której ciemnych oczach skupia się cała macierzyńska dobroć polskiej kobiety, rzuconej wraz z mężem i dwiema bardzo polskimi córeczkami na walijską ziemię.

Sala mojego chorego ułożyła się już do snu. Wychodzę przez drzwi saloniku na trawnik przed barakiem, siadam na ławce pod ścianą obok beznożnego pacjenta imieniem Boguś, który — jak zauważyłam — jest faworytem wszystkich.

Boguś, żołnierz polski, młody jeszcze mężczyzna, przebywa po różnych szpitalach już od piętnastu lat. Czy wyjdzie stąd kiedy w zdrowy, normalny świat? Nie wiem, nie pytam. Boguś mówi: „Oj, proszę pani, co ja się tych operacji naprzehodziłem, ile ja szpitali angielskich zwiedziłem, to chyba książkęby można było napisać... Ale jak osiem lat temu dowiedziałem się, że mnie do Penley przewiozą, że wrócę do swoich — jak mi to proszę pani jeden polski ksiądz w tajemnicy powiedział, bo to nie było jeszcze zupełnie pewne, — to chciałem płakać jak dziecko...“

Zamilkliśmy. Nad naszymi głowami wieczorny lot gołębi zakolał wysoko i zapadł w kępę kasztanów. Na sali ktoś jęknął, ktoś zapłakał. Tupot nóg sanitariusza Jana przebiegł szybko za szybami baraku. Pan Jan czuwał, czuwała i nocna siostra. Maciejka przed zapadnięciem nocy zapachniała mocniej, jak w Polsce.

Klara Evans

Poniżej drukujemy wyjątki z rozdziału o Grecji z II. tomu pracy Zbigniewa Grabowskiego p. n. „Ojczyzna Europa“. W n-rach poprzednich ogłosiliśmy wyjątki z 4-ch rozdziałów tomu I-go tej pracy (Anglia, Francja, NRF i Włochy).

Całość pojawić się ma w druku w r. 1966 nakładem Wydawnictwa „Gryf“ w Londynie.

Zachowujemy, jak zwykle, oryginalną numerację podrozdziałów.

4. LEGENDY I ZŁUDZENIA

Pewien filolog angielski omawiając książki i albumy wydane ku czci i chwale starożytnej Grecji napisał żartobliwie, że ktoś powinien się zdobyć na sfotografowanie wszystkich świątyń greckich za zasłoną jesiennego deszczu, a w tekście towarzyszącym nazwać Peryklesa imperialistycznym podmegalomanem, Platona homoseksualnym snobem, którego teorie totalistycznego państwa dały farsowe wyniki na Sycylii, a Sokratesa fałszywie skromnym i nieznośnym gadułą, który może słusznie został skazany na śmierć przez nękanych przez niego współziomków, jeżeli przypomnimy sobie późniejsze kariery jego niektórych uczniów. Ale ten sam filolog, który wzdycha za tym, aby ktoś nareszcie odbrzązował starożytną Grecję i aby wykazał, że trzymała się ona kurczowo koncepcji wysokiej i elitarnej kultury, hamując postęp techniczny i naukowy przez przeszło 2 tysiące lat i sprawiając, że patrzono z pogardą na Rzymian, którzy budowali kanały, drogi i wodociągi, ten sam uczony przyznaje, że tego rodzaju spojrzenie na Grecję nie zostałoby przyjęte z uznaniem.

Przed takim spojrzeniem Grecja broni się nie tylko swoim mitem i legendą, ale przede wszystkim może najbardziej zdawałoby się nietrwałym czynnikiem, a zatem wdziękiem. Ten wdzięk i grację zakłęła Grecja nie tylko w architekturę, ale i w mitologię, gdzie znowu zapominamy o całej ciemnej i ponurej części tej mitologii, związanej z rytuałami ziemi. Tak jak zapominamy o tym, iż Grecja nie była krajem radości i uśmiechu i że bardzo wcześnie pojawia się tam pesymizm w stosunku do życia i przekonanie, że najszczęśliwsi są ci, co się nie narodzili. Mówimy również o pogańskiej czy greckiej radości zmysłów i radości ciała, ale znowu zapominamy, że konflikt świata zmysłów i duszy zaczął się stosunkowo wcześnie i że chyba ma rację doskonała autorka belgijska Marguerite Yourcenar, która w swoim szkicu o ewolucji miłości cielesnej pisze, że „Uczta Platona“ jest może ląbedzim śpiewem upojenia zmysłów i że już tam przeciągnięta jest linia konfliktu między ciałem a niespokojnym i niezaspokojo-

nym duchem. Wiedząc to wszystko, ulegamy stale złudzeniu, że Grecja była krajem mądrego uśmiechu i krajem niezwyklej radości zmysłów, że stanowiła jakąś erę osobiłej egzaltacji wszystkich uczuć ludzkich i dawała możliwość harmonijnego rozwoju dla człowieka — oczywiście człowieka wolnego.

5. KRAJ — PRZEŻYCIE

W dwóch szkicach, które napisałem w latach poprzednich, a zatem „Wzgórza Historii“ i „Spotkanie z Grecją“,*) starałem się streścić plan podróży do Grecji. Usiłowałem odpowiedzieć na pytanie dlaczego ten mały i biedny kraj leżący na ugornej ziemi, zdobył takie miejsce w antycznym świecie i jakie uzdolnienia pozwoliły mu na wysunięcie się na czoło ludów Morza Śródziemnego. Podróż do Grecji jest napewno ryzykownym przedsięwzięciem w tym sensie, że dokonujemy konfrontacji marzenia z rzeczywistością. Do złudzenia powtarzane słowa Goethego, że „kto chce zrozumieć poetę musi udać się do kraju jego urodzenia“ stosują się na pewno i do krajów, które chcemy zrozumieć do głębi. Trzeba dokonać tej konfrontacji pomimo całego ryzyka, które się w tym kryje i zapytać co z tej konfrontacji zostaje na dzisiaj i na teraz.

Jeżeli chodzi o Grecję, to zostaje bardzo wiele. Jest to kraj — przeżycie, kraj, którego nie można podciągnąć pod miernik zwykłej turystyki. Podróż do Grecji jest nie tylko podróżą w przestrzeni, ale przede wszystkim podróżą w czasie.

6. TAFLA MORZA I WYOBRAŹNIA

Wydaje mi się, że podróż do Grecji należałoby odbyć nie zwykłą trasą, a zatem statkiem z Wenecji do Pireusu, prosto do Aten. Raczej droga prowadzić powinna przez Egipt, a potem poprzez Kretę do Myken, gdzie znajduje się najbardziej niejako egipski zabytek Grecji, a zatem tzw. grób Agamemnona. Potem trzeba by pojechać do Delf, które są jednym z kluczowych punktów jeżeli chodzi o świadomość europejskiego człowieka. Tam bowiem odbyła się walka między prastarymi bóstwami ziemi, między głosami instynktu, a Apollinem, który przybył z Krety w kształcie delfina i na wysokościach górskiej polany ujął lejce złościwego rydwanu słońca. Tam dojrzał może ludzki rozum i ludzka inteligencja jako siły samoistne, które starają się zrozumieć mroczny los. Z Delf nale-

*) Oba te szkice pojawiły się na łamach londyńskich „Wiadomości“ w konkursach na essey. Wchodzą one w skład tomu pt. „Rosa Mystica“, który ma się ukazać w końcu br.

GRECJA

B.D.I.C.

żałoby się udać dopiero do Aten, gdzie powita nas dalsze zastosowanie tego rozumu w postaci zmysłu proporcji i harmonii do dziś nieprześcignionych i współpracy z pięknem przyrody.

Ta trasa, jak sądzę, pozwoliłaby nam zrozumieć ewolucję myśli ludzkiej, która w Egipcie zafascynowana jest śmiercią i tkwi w grobach i podziemiach, aby na Krete wyjść powoli na powierzchnię ziemi, a w Delfach ujawnić się tryumfalnie i opowiedzieć po stronie życia zjawisk i zmysłów. Na jakim podłożu powstawała i tworzyła się myśl grecka? Przypuszczalnie była ona funkcją i słońca i przejrzystości powietrza, które po dziś dzień zdumiewa przybysza, jak i klarowności kolorów, a z tym i morza świetlistego u brzegów Nauplii i wysp aż po Rodos. Musiał to być kraj niebywale obdarzony wyobraźnią, która zaludniała pustkowia, bory i ostepy leśne postaciami bożków i boginek i sprawiała, że przyroda zmieniała się w istotę ludzką, a istota ludzka wcielała się w przyrodę. Był to jakiś animizm dwustronny, jakaś wymiana natury na człowieka i odwrotnie i przenikania się świata człowieczego i zwierzęcego. Tylko w wielkiej pustce i w wielkiej samotności tworzą się tak dotykalne wyobrażenia i człowiek zaczyna mówić do twórców swojej wyobraźni słowami lekliwymi, a potem coraz śmielszymi. Podstawowa bieda tego kraju może jeszcze posiłkowała kolorową i wzorzystą wyobraźnię grecką, tak jak się to dzieje u biednych dzieci, które z gałganków tworzą najpiękniejsze dla ich fantazji zabawki. Grecy byli napewno największymi bazarzami Morza Śródziemnego, dla których rozmowa i opowieść stanowiły nieodmienną i wieczystą radość, byli ludźmi rynku i agory, ekscytowanymi, którzy wyładowywały się w swoich opowieściach, fantazjach i zmyśleniach. Ich potrzeby codzienne były minimalne, co pozostawiało maksimum czasu na twórcze nieróbstwo i na rozmowę, która stanowiła zaczątek myśli filozoficznej. Niedarmo istniała w Grecji szkoła perypatetyków a zatem poprostu spacerowiczów, którzy rozwijali swoje myśli chodząc statecznie i przystając od czasu do czasu dla podkreślenia jakiegoś ważniejszego momentu swoich rozmyślań.

Patrząc na cykl zatok, które ciągną się od Pireusu aż het pod Korynt, na tę wspaniałą konfigurację brzegu, ro-

zumiemy dlaczego Grecja dążyła do panowania na morzu i dlaczego to panowanie greckie było tak w swojej zasadzie kruche i delikatne. Rozumiemy także, dlaczego Grecja poszła na drogę ekspansji — albowiem nie była krajem zamkniętym w głębi lądu i osaczonym górami, ale krajem wszędzie otwartym na powiew morza.

Rozumiemy, zwiedzając dzisiejszą Grecję, niektóre elementy, które sprawiły, że Grecja doszła do niebywalej wspaniałości a potem rozpadła się przez swary i niesnaski swoich miast-państw, przez nadmiar indywidualizmu, przez kłótniwość i pieniactwa polityków, a także przypuszczalnie przez proste ludzkie zmęczenie nadmiarem wysiłku. Grecja nie rozumiała wymogów nowej rzeczywistości, nie czuła, że zbliża się nowa era kiedy tylko wielkie całości mogą się ostać wobec naporu nowych imperiów — tak zresztą jak nie rozumiała tej lekcji ziemia włoska doby Renesansu, a potem i Europa wieku 20-go.

7. ŚLADY PIĘKNA ANTYCZNEGO

W niejednym sensie Grecja dzisiejsza zachowała jeszcze swoje cechy z epoki Homera. Pamiętam jak któregoś dnia wyjechaliśmy samochodem z pod Koryntu w stronę Argos. W pewnym momencie droga przekroczyła przełęcz podgórską i zjechaliśmy w dolinę o urodzivej trawie, na której pasły się piękne konie. Popatrzyłem na naszego przewodnika i powiedziałem, że pewnie zlizamy się do Argos. „Skąd pan to zgadł?” spytał nasz guide. „Dlatego, że Homer w Iliadzie mówi o świetnych koniach z Argos“. I samo miasteczko zachowało po dziś dzień te tradycje: w skałach mieszczą się wykute sklepy-piwnice, gdzie pachnie uprężą i siodłami. Argos słynie dalej z rymarzy i siodlarzy. Teatr w Epidaurze oddany został znowu do użytku i odbywają się tam festiwale teatralne. Akustyka tego teatru jest dalej niepokalana, a pieśniak rzucony na proscenium wędruje dźwiękiem aż po ostatnie rzędy ław, znajdujące się już niemal w lesie pod parasolem pinii. Grecy mieli niezwykle zmysł wynajdywania miejsc wysoce efektywnych, jak również i stoków, które dawały odpowiedni rezonans i echo dla ich teatrów. Akropolis w miejscowości Lindos na wyspie Rodos bije może wszystkie inne świątynie cudownym wręcz położeniem na samej szkarpie

urwiska, co sprawia wrażenie, iż świątynia płynie z nami po błękitnym morzu, a kolumny zmieniają się w białe żagle.

Najbardziej w tej podróży może zdumiewa tak wczesne rozeznanie się w pięknie. W muzeum w Heraklionie na Krete oglądamy amfory i lampy oliwne, które mają pięć tysięcy lat, a które zdziałane są z nieomylnym wyczuciem harmonii i smaku. Wzruszają nas zabawki dziecięce sprzed pięciu tysięcy lat, między innymi rodzaj klocek — a jest rzeczą znamionną, że te dziecięce miasta — zabawki budowane są i precyzyjnie i z jasną, bezbłędną symetrią. Dotykamy tutaj jakby pierwocin wyobraźni ludzkiej, załóżków pozornie nieporadnych, ale już ufnych w swoje siły. W żadnym innym kraju Europy nie doświadczamy tego wzruszenia, jakiego doznaje się na widok pierwszych odruchów i gestów dziecka — dziecko napewno niezwykłego, a kto wie czy nie cudownego dziecka: Grecji.

8. ULUBIENCY HISTORII

Znakomity historyk brytyjski Arnold Toynbee wypowiedział kiedyś zdanie że nie ma narodów wybranych i że jest to niebezpieczna teoria prowadząca do szowinizmu i fanatyzmu. Nawet jeżeli przyjąć tezę profesora Toynbee — a przyjąć jej nie może świat chrześcijański, który widzi w Izraelu naród wybrany — to napewno uznać trzeba, że historia ma swoje wybrane dzieci i swoje uprzywilejowane kraje, że nie ma w tym historycznym wyścigu równości i że są kraje, które były ważniejsze dla rozwoju naszej myśli i wyobraźni, aniżeli inne mniej przez los obdarzone.

9. ORIENTALIZACJA GRECJI
DZISIEJSZEJ

Co z dawnej Grecji zostało w Grecji dzisiejszej — oto niebezpieczne pytanie, które nastęrczało tyle rozczarowań miłośnikom Grecji od lat chyba najdawniejszych. Przypomnijmy sobie jaką tragedią dla Byrona była konfrontacja jego marzeń o Grecji z rzeczywistością. Opisuje on plastycznie pstrą hałastę Orientu, która powitała go zamiast Greków znanych mu z lektury Homera, z wizerunków i posągów. Byron natyka się na typy, które ani rusz nie dadzą się nałamać do wzorca jego wyobraźni, które w niczym nie przypominają herosów „Iliady“. Ale pomimo głębokiego rozczarowania Grecją, którą zastał, pomimo narzekania na degenerację rasy, która uległa sturczeniu, Byron nie dał się odstęczyć od swego zamiaru i ginie na ziemi greckiej, zapewne ratując się nieraz wycieczkami w sferę zbawczej wyobraźni.

Nie tylko rasa, która zaludnia dziesiąt Grecję nie „pasuje“ do naszych wyobrażeń o herosach i bohaterach, ale i krajobraz wydaje nam się o wiele bardziej surowy niż możnaby to wnosić z opisów Homera. Grecja jest krajem skalistym i słabo zadrzewionym, a deforestacja poczyniła straszliwe spustoszenia w tym kraju, aż poza strefę północną. Człowiek starożytności wycinał nielitościwie drzewa nie wiedząc jaką katastrofę erozji ściąga na siebie. Grecja potrzebowała olbrzymiej ilości budulca na swoją flotę i lasy greckie padały stale ofiarą ekspansji imperialnej i handlowej Aten.

Zapytujemy się siebie czy rzeczywiście rzeźbiarze starożytnej Grecji odtworzali w swoich rzeźbach żywego człowieka, czy też raczej ideał, który stawiali sobie przed oczami? Daremnie szukamy rosnących postaci, jakie zakłęła wyobraźnia w czasie lektury Homera: dopiero może na Krecie spotykamy dorodne i pięknie wyrosnięte typy ludzkie. Domyślamy się, że orientalizacja Grecji musiała zrobić olbrzymie postępy w ciągu wieków i że typ ludzki, który w czasach Grecji antycznej musiał być odrębny od ludów tureckich, dzisiaj upodobnił się niewątpliwie do dawnych ciemnozycieli. Tylko od czasu do czasu spotyka się mężczyzn jakby z rzeźb Fidiasza, typy twarzy Sokratesa czy Peryklesa — może częściej typy kobiece uderzające podobnie do wzorów rzeźbiarzy. Matrix rasy przechowywała niejako te wzory i odbija je dalej — rzadko, ale wierne — aż po dzień dzisiejszy.

10. CIAŁO I MYŚL LUDZKA

Kultura grecka stała jak Koloś z Rodos na dwóch brzegach, a właściwie na trzech: Azji, Afryki i Europy. Grecja bowiem była pomostem i od strony Azji, która ją stale wabiła i ciągnęła, chociaż z tą Azją walczyła i i nazywała ją mianem barbarzyńcy. Grecja uświadomiła sobie swą rolę i misję pod wpływem zbrojnego naporu Persji. Ateny stały się dla całej naszej cywilizacji wzorem tego, co austriacki socjolog Karl Popper nazwał mianem „otwartego społeczeństwa“ — w przeciwieństwie do Sparty, która była wzorem „zamkniętego społeczeństwa“, społeczeństwa totalnego.

Kreta jest osobliwym portem przeludkowym kultu podziemia, labiryntu i śmierci. Pałac Minosa w Knossos odkopany i odtworzony przez archeologa brytyjskiego Evansa wydaje się nadmiernie wulgarny w swoich kolorach i podejrzewamy od razu, że Evans „prze-

dobrzył“ w swojej pstrokaciznie.*) Jednakże i ten obóz warowny, który zszedł pod ziemię, wyposażony był w duży komfort materialny, a wazy i amfory przeznaczone na wodę, oliwę czy ziarno, odznaczają się dużą szlachetnością linii. Ale dopiero muzeum w Heraklionie pokazuje nam pełnię cywilizacji kretęńskiej i tam już — jeżeli chodzi o rzeźbę — dokonuje się wyraźny zwrot i zmiana w dziedzinie ujęcia ciała ludzkiego. Już w Heraklionie to ciało wychodzi jakby z powijków Egiptu, z hieratycznego bezruchu na swobodny gest życia. Jest to jedno z najbardziej przejmujących doświadczeń, jakich zażyć możemy w dziedzinie sztuki: to podpatrywanie jej rozwoju i przekształcania się jednych form w drugie. Czujemy, że zapatrzona w zaświaty sztuka Egiptu nie mogła pójść dalej i że Grecy odchyliłi niejako jej kurs i wydarli ją ze wspaniałości sarkofagów i trumien, wynosząc na pełne światło dnia. Człowiek wyzwala się, rozpręża swoje ramiona, stwierdza, że ciało jego jest cudem i raduje się dzieciennie tym odkryciem. U wstępu tego greckiego objawienia jest olśnienie cudem życia, a Sokrates już bodaj powiedział, że zdziwienie stoi na początku wszelkiej filozofii.

Grecy dokonali dla Europy odkrycia siebie: ciała i myśli i ludzkiej wyobraźni. Dokonali oni również odkrycia piękna przyrody, chociaż nie badali jej funkcjonowania drogą ścisłej obserwacji. Byli oni za syntezą, a nie za analizą, za ogólnym wrażeniem, a nie za cierpliwym badaniem. To badanie miało przyjść wiele wieków później. Świat grecki nie patrzył także w gwiazdy jak Egipt czy Babilon i nie szukał zbyt skwapliwie praw dla ziemi w firmamencie niebieskim. Nawet w mitologii Grecy ściągają niebo na ziemię, zapraszają bogów do jak najczęstszych wizyt na ziemi. Nie podnoszą na ogół ziemi do nieba, wysyłając rzadko swoich bohaterów na Olimp. Grek zdecydowanie wybierał ziemię, swoje niebo stworzył na podobieństwo ziemi i odwrócił stanowisko Egiptu, który zakotwiczył nasz świat po drugiej niejako stronie bytu.

*) Uwagi te skreśliłem w roku 1954-tym zaraz po pobycie w Grecji. Dopiero później zapoznałem się z zarzutami nieprzyjaciół profesora Evansa, którzy przed kilku laty wytoczyli mu pośmiertny już proces o wypaczenie wykopalisk w Knossos zarówno jeżeli chodzi o barwy użyte w dziele restauracji, jak i pewne szczegóły odbudowy architektonicznej. Jest rzeczą ciekawą, że tak długo przyjmowano bezkrytycznie rekonstrukcję profesora Evansa.

11. „JUTRZENKA RÓZOPALCZASTA“

Jak już powiedziałem, elementem trwałym, który pozostał i nie zmienił się jest światło Grecji, na pewno godne najpilniejszej uwagi. Jest ono łagodne dla oczu mimo siły słońca i nie razi ani w części tak jak w Hiszpanii czy we Włoszech. Operuje ono tonami o wiele bardziej łagodnymi niż w innych krajach Morza Śródziemnego: nawet o zachodzie słońca przeważają tony różowe, a niekiedy ta różowość, zwłaszcza na Krecie lub na Rodos, jest niesamowita. Opowiadano na Krecie, że są ludzie, którzy w jakiś maniackalny sposób zapatrzeni są w te różne różowe zachody, a Artur Koestler w swojej książce p.t. „Thieves at Night“ opisuje zachody słońca w Palestynie jako zmysłowe halucynacje, które wprowadzają całą naszą wyobraźnię w stan niezwykłej wibracji. Nie tylko na lądzie, ale i na morzu światło Grecji jest osobliwe i niezastąpione. Kąpiel u niektórych brzegów greckich, zwłaszcza koło Rodos jest doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju, gdyż wydaje się, że od samego dna morza bucha światło, które przeświecła nasze ciało i sprawia, że dematerializuje się ono i traci niejako swoją ważkość i nieprzejrzystość

Klimat Grecji sprawił, że place i ulice miast były zawsze otwartym terenem spotkań i że były przyjazne dla człowieka. Profesor Kitto w swojej bystrej książce p.t. „The Greeks“ podkreślił słusznie, że troski materialne Greka starożytności w dziedzinie mieszkania i mebli były niesłychanie skromne. Jego dom zawierał łóżka i kilka krzeseł, wystawionych przeważnie na zewnątrz. Jakże inaczej wyglądał dom rzymski — zarówno jeżeli chodzi o solidność budowy jak i bogatsze urządzenie wnętrza. Kuchnia grecka musiała być skromna i prymitywna i to pozostało niewątpliwie aż po dzień dzisiejszy: specjały greckie są dosyć prostego rodzaju, a mianowicie baranina pieczona na rożnie. Bardziej skomplikowane potrawy są przeważnie tureckiego pochodzenia. Odzież także nie nastęrczała zbyt wielu kłopotów mieszkańcom starożytnej Grecji, a wszystko to sprawiało, że dysponował on ogromną ilością wolnego czasu, czyli tego do czego dzisiaj tak gorliwie i uporcezywie dążymy — na razie bez powodzenia.

Na ulicy czy przy biesiadnym stole, czy na spacerach w gaju zrodziła się filozofia grecka, która dlatego jest i dzisiaj żywa i zrozumiała, ponieważ nie była produktem warsztatu uczonego i laboratorium. Była ona nie pisana, ale mówiona i nie jest na pewno dziełem przypadku, że pierwsze dzieła filozoficzne ujęte są w formie rozmów i dialogów. Żywa mowa i żywe sytuacje ludz-

kie przemawiają dalej z kart dialogów Platona. Rozumiemy również dlaczego dramat stał się w dużej mierze istotnym rodzajem literackim Aten: oparty był właśnie na starciu idei, na dialogu, na rozmowie, która stanowiła dla Greków narzędzie myślenia.

Jak już powiedziałem, Grecja starożytna była krajem olbrzymiej samotności i milczenia w obliczu gór i lasów, a pasterze greccy zaludniali tę samotność ożywiając przyrodę i gadając do wielkiej pustki. Ale nie jedni Grecy żyli w tym czasie w pierwotnej samotności przyrody, nie jeden lud pasterski rozsiadł się na halach i polanach leśnych i nie jeden lud pasterski rozmawiał z pustką, której nie można było nieraz wytrzymać. A jednak z tych rozmów innych ludów jakoś nie nie wynikało, nie stworzyły one finezyjnej i głębokiej w swoim sensie mitologii która bardzo często tłumaczy przenośniami i parabolami sprawy zgoła brutalne i nadaje animalnej stronie życia ludzkiego urok piękna albo subtelna figlarność. To właśnie oczyszczenie człowieka z jego zwierzęcości stanowi jeden z czynników myśli greckiej i wyobraźni tego kraju, która poruszała się tak swobodnie wśród postaci satyrów i faunów, olbrzymów i Polifemów, wśród rozmaitych potworów, które rozpoznajemy potem w wątkach bajek jakimi karmiono nas w dzieciństwie. Współzycie ludu pasterskiego ze światem zwierzęcym było na pewno bliskie i tym tłumaczy się zjawisko sodomii, o którym historycy mileżą wstydliwie. Jest rzeczą znaną, że w rozmaitych twórcach wyobraźni greckiej jak Centaurowie dolna partia ciała jest zwierzęca, ale głowa jest ludzka. I tak mitologia przefiltrowała zwierzęcość w człowieku i sprawiła, że mógł się on nie wstydzić swoich zwierzęcych początków.

Bogactwo wyobraźni greckiej było doprawdy nieprzebrane. Ta wyobraźnia gnała na pewno Greków na morze i na poszukiwanie nowych lądów. Zmysł wędrowny Greka był pobudzany wyobraźnią, ale zatrzymywała się ona u pewnych granic: słupy Herkulesa stanowiły linię, po za którą Grek już nie wyszedł. Zobaczywszy szary a spieniony Atlantyk wolał się on wycofać na swoje błękitne i bardziej ograniczone morze.

W architekturze swojej Grek działał jako sojusznik natury, nigdy przeciwko niej, ale zawsze ją uzupełniając. Mówiłem już o rezonansie jaki daje stok leśny w Epidaurze. Cały ten stok zachowany został właściwie w pierwotnej swojej formie, tylko wpuszczono w niego kamienne ławy, które nie wyskakują z tła. Teatr w Epidaurze jest zrośnięty ze stokiem i współgra z nim razem.

Świątynie greckie uderzają tym, że są bardziej ramami aniżeli zamkniętymi w sobie budowlami. Są ramami dla światła: kolumny to drzewa, kolumny to cień. Akropol robi wrażenie kamiennych ram dla powietrza i nieba, a jest także oazą cienia. Szukanie cienia jest stałym zajęciem w tym kraju powodzi słońca. Cienia — brata wody.

Te ramy są proste tak właśnie jak ramy być powinny. Są także powietrzne i lekkie. Architektura wspiera naturę, zrasta się z nią, czy też może wyłania się z przyrody. Na pewno z nią nie walczy.

13. SPOKÓJ I NATURALNA POZA

W tym tkwi, jak mi się wydaje, wyczysta siła tego budownictwa, które odnosi się z szacunkiem do niezmiennych elementów takich jak powietrze, światło i ziemia — podobnie jak rzeźba grecka odnosi się z szacunkiem do ludzkiego ciała. Egipt starożytny sprzeciwiał się naturze i stawiał góry — mam na myśli piramidy — tam, gdzie ich nie było, na płaskiej równi. Podobnie rzeźba egipska nałamywała człowieka do surowej a hieratycznej formy, a chwilami wydaje się, że postaci ludzkie maszerują w takt jakiejś zaświatowej muzyki. Rzeźba grecka chwyta człowieka w ruchu, ale i w stanie spoczynku, nie pokazuje nam nadmiernego wysiłku, spazmatycznych skrętów ciała. Laokon jest tworem późnego okresu, schyłku sztuki greckiej. Angielski krytyk i esteta Walter Pater, który niejedno natchnienie przekazał Oskarowi Wilde, — między innymi słynne hasło „To burn with gemlike flame“ — poświęcił wiele kart temu właśnie nastrojowi rzeźby greckiej a zatem stanowi repose. Nawet dyskobol ma harmonię wysiłku. Człowiek w rzeźbie greckiej nie maszeruje w takt tego czy innego rozkazu, ale wsłuchuje się w spokój własnego odprężonego ciała.

14. ROLA I DOLA SPOŁECZNA

Starożytny Grek musiał być indywidualistą i był przypuszczalnie kłóliwy i niepomamowany w mowie. Był na pewno zapobiegliwy i zaradny skoro tak rozwinął handel morski. Z uwagi na swój skrajny indywidualizm stworzył luźny system społeczny i luźny system polityczny, który stale chciał ulepszać. Fakt, że tworzył utopie polityczne dowodzi najlepiej, że jego ustrój nie był doskonały: bo ludzie uciekają w utopie przeważnie wtedy, gdy ich system jest niewygodny, a nawet z gruntu zły. Oczywiście Grek nie miał wyczulonego sumienia na los człowieka „na dole“. Bez niewolnictwa nie miałby tyle wolnego czasu dla spraw sztuki i myśli. Ale nie zapominajmy, że sumienie jest

późnym wynalazkiem w dziejach ludzkich i po dziś dzień niedoskonałym, nie mówiąc o tym, że nie jest ono zbyt powszechne. Sumienie społeczne wykształciło się na Zachodzie dopiero w drugiej połowie 19-go wieku, skoro w pierwszej połowie godzono się jeszcze właściwie z niewolnictwem. Nie zapominajmy, że w drugiej połowie 18-go wieku nowa Ameryka miała przed sobą w całej brutalności problem niewolnictwa.

Obrońcy tłumaczą nam, że dola tych niewolników nie była może aż tak zła, jak chcą dzisiejsi socjologowie, którzy przykładają normy 20-go wieku do czasów odległych. Przypominają takie fakty jak na przykład osobliwe postanowienie wobec niewolników w Magna Graecia w kamieniołomach w Syrakuzach, gdzie dawano wolność tym niewolnikom, którzy potrafili recytować strofy Homera.

Nasz pogląd na niewolnictwo zabarwił się może zbyt 19-wieczną nędzą proletariatu fabrycznego, ale kto wie, czy warunki życia proletariatu starożytnego Rzymu nie były lepsze od bytowania proletariatu londyńskiego w początkach wieku 19-go. Źródłowi badacze życia codziennego starożytnego Rzymu jak Jean Carpopino odtworzyli obraz Zatybrza, który jest jednak lepszy od obrazu East Endu londyńskiego chociażby z racji znośniejszego klimatu i lepszego cyrku i wszelakich circumstances jakie ofiarowywano rzymskiemu społeczeństwu.

15. EKSPANSJA MORSKA I ZAMORSKA

Morze stało się dla Grecji starożytnej płucami, którymi ten kraj oddychał. Grecja wiedziała, że armia lądowa nie będzie nigdy stanowiła jej siły w starciu z przewagą liczebną wroga, i że musi nadrabiać przewagą floty. Była to polityka nieco w stylu dawnej Anglii, która wierzyła w interwencję floty i utrzymywała małe siły lądowe. Zatoka Salamińska i zatoki pod Koryntem są imponujące swą rozpiętością. Są to zatoki na miarę kraju o wiele większego niż mała Grecja. Ale też Grecja zamorska stworzyła ludniejsze i wspanialsze miasta, aniżeli u siebie, zjawisko nie tak może znowu rzadkie. Przecież i nowoczesna Francja zbudowała w Algierze, w Maroku i Tunisie miasta nowocześniejsze i świetniejsze aniżeli prowincjonalne ośrodki Francji.

Nawet w swoim upadku myśl helleniska potrafiła świecić blaskiem Aleksandrii i tworzyć ogniwa myśli jak Platona po dziś dzień płodne w swoich na-

(Dokończenie na str. 42)

ROZMAICIE można pojmować historię: jedni widzą w niej kronikę zmagani wojennych, inni stopnie rozwoju wiedzy i cywilizacji, jeszcze inni powolne narastanie form polityczno-ustrojowych. Ale historia człowieka, jako jednostki, jest z pewnością historią indywidualnej pogoni za szczęściem. Naturalnie, że w zależności od epoki historycznej i panujących powszechnie przekonań, cel tej pogoni — szczęście — pojmowany był najrozmaiej. Czasem był to ideał szlacheckiego życia, zasługującego na szczęście wieczne poza grobem; czasem szczęście utożsamiane było znacznie prymitywniej, jako fizyczne użycie; jedni starali się zdobyć szczęście aktywnym jego poszukiwaniem, inni widzieli szczęście w negatywnej formie unikania przykrości. Ale wszyscy, zawsze i wszędzie, chcieli i chcą być szczęśliwi.

Przy tak powszechnej pogoni za szczęściem zastanawiającą jest rzeczą, jak nie wiele osób wydaje się osiągać ten upragniony cel. Sztuka, która przecież jest odbiciem życia, obfituje w jak najbardziej dramatyczne, ba! tragiczne przykłady ludzi nieszczęśliwych. Nasz śmiech oparty jest rzadko na błogim uczuciu szczęścia; normalnie śmiejemy się z cudzego nieszczęścia — i dlatego śmiejemy się tak często. Być może, że starożytni Grecy mieli rację, uważając osiągnięcia szczęścia przez śmiertelników za prowokację bogów, wywołującą natychmiastowy odwet. Może naprawdę ludzie nie są stworzeni do szczęścia?

Zgodzimy się wszyscy, że trudno mówić o szczęściu bez zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych; nawet Diogenes potrzebował do szczęścia beczki i słońca, na którym się mógł wygrzewać. Naszym osobistym przywilejem jest życie w epoce i w części świata, w których zaspokojenie tych potrzeb zasadniczych jest zupełne; właściwie możemy mówić o przesyceniu. Ludzie na pewno byliby zdrowsi, gdyby jedli mniej i prościej, gdyby nie używali środków nasennych i mniej się przejmowali i zajmowali swoim stanem nerwowym. Ale ten wysoki stopień zaspokojenia potrzeb zasadniczych przesunął granicę tych potrzeb znacznie wyżej: wiele osób czuje się nieszczęśliwymi, gdy im brak samochodu, wyjazdu za granicę na urlop, czy kompletnego wyposażenia kuchni we wszelkiego typu roboty mechaniczne. Niejeden z nas uważa zaspokojenie tego rodzaju potrzeb za równie ważne, jak zaspokojenie głodu, czy ochronę przed chłodem. Oczywiście, możliwe to jest tylko dla tego, że brak pożywienia wydaje się nam rzeczą absurdalną, niemożliwą; głód nie jest już dla nas problemem, komplikującym zdobycie szczęścia. Ale właściwie o jakim szczęściu marzy nasza epoka?

Najłatwiej byłoby w tym miejscu załamać ręce nad zmaterializowaniem świata współczesnego, który identyfikuje szczęście z pieniądzem (naturalnie, w bardzo dużych ilościach). Gdyby tak było istotnie, nasza epoka zasługiwałaby na pogrążenie w wiecznym nieszczęściu wobec oczywistej prawdy twierdzenia, że pieniądz szczęścia nie daje. Ale, jak mi się przynajmniej wydaje, ludzie Zachodu utożsamiają szczęście raczej z sukcesem, niż z pieniądzem. Rzecz jasna, że sukces w wielu wypadkach przynosi pieniądze, ale ważniejszy dla nas jest właśnie sukces. Za wszelką cenę chcemy być od innych lepsi, a już co najmniej nie gorsi od nich — i jeśli się to nam nie udaje, jesteśmy nieszczęśliwi. Tą dążnością do zdobycia sukcesu, do wyróżnienia się nie opiera się jednak na zdrowym instynkcie współzawodnictwa, a na zwykłej, ordynarnej zazdrości. Zamiast podziwiać osiągnięcia innego, mówimy niechętnie: „Ba, żeby to ja miał takie szczęście jak on, ja bym dopiero pokazał!“ A ponieważ brak osobistego sukcesu można zawsze wy-

TEMAT:



godnie zwać na brak szczęścia, pozwala to nam na trwanie w miłym przeświadczeniu o naszych kolosalnych możliwościach bez czynienia najmniejszego wysiłku dla ich zrealizowania.

Sukces, jako symbol szczęścia, ma poważny brak: jest stanem wybitnie przejściowym, nie pozwala się nam zatrzymać, wytycza coraz to nowe, coraz ambitniejsze cele, bo dopóki ktokolwiek osiąga więcej od nas, nasz sukces nie jest kompletny. Wobec tego szukamy namiastek sukcesu, wyzywamy się w jego zewnętrznych oznakach: samochodach, podróżach zagranicznych, obiadach w kosztownych restauracjach, we wszystkim, co ma charakter tak zwanej „reprezentacji“, co ma innym dobitnie wykazywać nasze osiągnięcia życiowe, chociaż by o nich nie mieli zielonego pojęcia. Ta skłonność do „pokazywania innym“ jest nicią, która w naszej epoce wiąże tak odległe grupy społeczne, jak młodych rozwyrzeńców ze starymi zasłużonymi: jedni demolują przedziały kolejowe i niszczą skrzynki pocztowe, żeby zademonstrować swoją ważność, drudzy wydają pieniądze na rzeczy zupełnie im niepotrzebne i często w gruncie rzeczy nie ich nie obchodzące w zupełnie tym samym celu. Rezultat w obu wypadkach nie jest budujący, i co gorsza nigdy nie może przynieść stuprocentowej satysfakcji, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto „pokazującego innym“ przelicytuje.

CZYM JEST SZCZĘŚCIE ?

„Prawo dążenia do szczęścia“ awansowano do rangi jednego z „praw człowieka“ w postanowieniach Karty Atlantycznej. Owe „Pursuit of Happiness“, na które w wielu językach trudno znaleźć tłumaczenie, jest w istocie symboliczną zagadką.

„Czym jest szczęście“, „co to znaczy szczęście“, „na czym szczęście polega“ — pytaniami tego rodzaju interesowali się poeci, filozofowie, pisarze. A także teologowie. Nawet politycy... Interesują się nim także zwykli, przeciętni ludzie. (Choć nie zadają sobie trudu precyzowania co mają na myśli).

Zwróciliśmy się z tymże zapytaniem do kilku pisarzy i artystów. Odpowiedzi czterech pierwszych drukujemy w tym numerze. Inne ogłosimy za miesiąc. Odpowiedź piątą — graficzną produkujemy na okładce tego numeru.

Fotografie są dwódmalno debrnymi ilustracjami do tematu: pierwsza jest reprodukcją obrazu Francesco Vanni pt. św. Katarzyna Sieneńska, druga przedstawia Cygankę w tańcu „Zambra“ na Sacromonte, przedmieściu Granady. Trzecia nie wymaga objaśnienia.

Poszukiwacze szczęścia w naszej epoce kierują się niewłaściwą busolą. Chcą być szczęśliwi kosztem innych, przeciw innym, na przekór innym, a równocześnie są całkowicie od tych innych uzależnieni, polegając na ich prawdziwym, czy urojonym, uznaniu. Potrzebują ich, jak lustra, w którym ich własne osiągnięcia mogą się odbić. A ponieważ los, jak się tego można było spodziewać, uparczywie podstawił im pod oczy krzywe zwierciadło, nie są szczęśliwi. Naturalnie, zdarzają się i wyjątki, ale wyjątki nie podlegają ogólnym prawom. Po prostu — mają szczęście!

Nie należy przypuszczać, że ta daremna pogoń za szczęściem jest charakterystyczna dla naszej epoki. Szczęście zawsze jest i musi pozostać ideałem, do którego dążymy, ale którego nigdy w pełni osiągnąć nie zdołamy. Może to i lepiej? Człowiek jest istotą tak bardzo niedoskonałą, że bez potrzeby dążenia do jakiegoś osobistego ideału nie doznałby nigdzie. Niech więc szczęście pozostanie w sferze niespełnionych marzeń, które kiedyś Prus słusznie nazwał najlepszym prezentem, jaki komuś można zrobić.

Stefan Wóycicki

„NIC INNEGO JENO PEŁNIA“

Podaję, że większość pisarzy chciałaby skreślić kiedyś swoje uwagi o szczęściu; ale nie wiem czy większość ludzi myśli o tym, co to jest szczęście? Nastawienie „myślącej części ludzkości“, jeżeli się tak wyrazić można, bierzemy zbyt często za opinię większości naszego rodzaju. Ale czy dla rozlicznych milionów walczących z niedostatkiem, starających się jakoś przeżyć — czy dla nich istnieje zagadnienie szczęścia? Czy nie pojawia się ono dopiero na wyższym stopniu rozwojowym? Czy dla milionowych rzesz głodnych i biednych szczęściem nie jest prosta ulga od głodu, jako tako spokojny sen, łyżka stawy? I czy szczęście nie jest myślową i uczuciową nadbudówką ludzi, którzy zaspokoili już podstawowe potrzeby istnienia?

Przed kilku laty napisałem essay „O szczęściu“, który leży dotąd w szufladzie i czeka na uzupełnienie. Starłem się przemyśleć ten problem od podstaw, na nowo, bez sugerowania się cudzymi myślami i teoriami. Dopiero po napisaniu mojego szkicu wziąłem do ręki spory

tom prof. W. Tatarkiewicza, pt. „O szczęściu“. Dostrzegłem w nim wiele myśli zbieżnych i znalazłem całą niejako filozoficzną motywację dla moich samorodnych wywodów. Tutaj chciałbym w największym skrócie przedstawić część wniosków, do których doszedłem w essayu pisanym w r. 1961.

Wydaje mi się, że tzw. semantyka a zatem nauka o znaczeniu słów, o ich przemianach, ich stosunku do obyczajów i kultury, nie jest najgorszym przewodnikiem w tej dziedzinie. W języku polskim słowo „szczęście“ oznacza zarówno to co język angielski obejmuje nazwą „luck“ jak i mianem „happiness“. „Ma szczęście... mieć szczęście“ — to dzieło przypadku, trafu — a zatem tego co język francuski określa zwrotem „avoir de la chance...“ słowem „chance“. W języku angielskim istnieje oczywiście i dosłowne zapożyczenie z francuskiego: „chance“ — traf.

Nasze zatem słowo sugeruje przypadkowość, traf, coś kapryśnego a nie uregulowanego, pewnego, trwałego. Francuskie „bonheur“ nie jest wolne od podobnego nalu: jest to zbitka dwóch słów, a zatem „bon“ i „heur“, które jeszcze w renesansowej francuzczyźnie znaczą „sort“ — los. A zatem całość poddaje coś jak „dobry los“, który wygrywa się na loterii. Angielskie „luck“



(to have luck, lucky) spowinowacone jest oczywiście z niemieckim: „Glück“. Niemcy mają tak jak i my tylko jedno określenie na pojęcie szczęścia: Francuzi dwa (bonheur, chance), podobnie jak Anglicy (happiness, luck). Ale, dodajmy od razu, angielskie „happiness“ skojarzone jest etymologicznie z słowem „hap“, które sugeruje „to have luck... chance...“*) A więc i tutaj tkwi element przypadkowości. Niemcy dla określenia szczęścia posilkują się często słowami na określenie stanu bien-être czy radości (Seeligkeit, Freude) — i te słowa opisujące stan uniesienia czy radości najbliższej podchodzą do pojęcia „szczęścia“.

Wydaje mi się, że ta skrócona lekcja semantyki prowadzi nas do pierwszego wniosku: a zatem, że szczęście nie jest czymś trwałym, nie jest czymś stałym — ale czymś, co się nam przytrafia, co nas nawiedza, co się nam przydarza; i co można wyciągnąć, jak los na loterii. Nie jest zatem szczęście czymś powszechnym, nie jest tym, co język angielski zwie mianem „birthright“ — a zatem prawem należnym nam od urodzenia, czy po prostu z tytułu urodzenia.

A jednak — i oto paradoks — wszyscy chyba ludzie świadomi i myślący pragną szczęścia, marzą o szczęściu. Jest ono pragnieniem zarówno jednostkowym jak zbiorowym: marzą o nim zatem nie tylko jednostki ale i ludzkie społeczności tworząc wizje i utopie jakichś szczęśliwych społeczeństw ludzkich gdzieś het, w zaraniu ludzkości, czy jakichś szczęśliwych epok dziejów.

Marzymy o szczęściu, pragniemy go — ale czy wiemy czym ono jest? Jest ono na pewno a *minus-splendoured thing*, jest ono rzeczą o wielorakich obliczach. Nie ma chyba jednego określenia na szczęście: każdy człowiek tworzy swoją wizję czy koncepcję szczęścia. Ale na pewno w tych niepoliczonych obrazach i wizjach są pewne wspólne mianowniki — jak np. zdrowie, które wydaje się być podstawą szczęścia czy zdolności jego odczuwania. Ale i to nie jest pewne: albowiem powiedzą nam liczni chorzy, że i w ich życiu były momenty szczęścia i że nawet w największych cierpieniach czy w trudach nadludzkiego poświęcenia człowiek znajdował załaski wielkiego szczęścia — niejako już spoza progów życia, z drugiej niejako strony naszego bytu.

Jedni będą szukać szczęścia w zjawiskach zewnętrznych, w rzeczach zewnętrznych — a jest to typ ekstrawerty. Typ introwerty będzie szukał szczęścia nie we władzy, nie w panowaniu nad innymi, nie w powierzchni życia ale w sobie samym. Ale dla wszystkich chyba ludzi ważnym elementem dla uzyskania tego nawiedzenia szczęściem — albowiem zakładamy, że szczęście nie jest przeważnie stanem ale fazą, ale chwilą, rzeczą przelotną: stanem może być tylko bodaj u ludzi świętych albo oderwanych od życia — jest zdolność do żywienia uczuć, jest zdolność kochania, odczuwania miłości. Miłość: do swojego gatunku, do ludzi wybranych, do pracy, która jest ważna i daje nam radość, do gromady, do ojczyzny, do sprawy — miłość jest konieczna dla zaznania uczucia szczęścia. To jest istotna pożywka i drożdże szczęścia.

Nie tylko miłość, nie tylko zdolność do kochania i ukochania, ale jeszcze coś innego: zdolność do przeżycia całej gamy uczuć, zdolność do wykrzesania z siebie aktów twórczych, wydaje się stanowić szczytowe osiągnięcia szczęścia. Niemiecki myśliciel H. von Keyserling mówi o tzw. polarycznych napięciach jakie istnieją w nas samych — i które sprawiają, że jesteśmy twórczy. Te napięcia pomiędzy ekstremami, to zdolność przejścia ca-

łej gamy uczuć, to stanowi o naszej twórczości i także o poczuciu szczęścia. Mickiewicz stał blisko tego rozróżnienia pisząc, bodaj w jednym z listów z Lozanny do Karoliny Łubieńskiej, że „szczęście to nic innego jeno pełnia“.

To określenie Mickiewicza wydaje mi się najlepsze, najtrafniejsze, jeżeli chodzi o szczęście wysokiej próby. Do tej kategorii szczęścia wysokiej próby należy wszystkim to co leży na drodze poszukiwań, badań, dociekań — prawdy i Boga. Do tych odmian szczęścia należą wielkie doznania miłości ziemskiej i nieziemskiej, doświadczenia tych, co obcowali z wielką przygodą, tych co się trudzili na stokach wiedzy i niewiedzy i zrozumieli, że szczęściem jest samo dążenie, samo poszukiwanie piękna, prawdy i Boga. Te poszukiwania i te trudy dawały im i dają chwile nieporównanego szczęścia, które wynika ze zgody ze światem i poczuciem jedności z tym światem. Szczęście przebiega bowiem całą olbrzymią gamę: odmian od ślepej miłości gatunku aż do świadomej wysublimowanej miłości świata. Ale, wydaje mi się, nie może istnieć bez miłości, która, jak rzekł jeden z największych poetów świata, Dante „ziemię porusza i gwiazdy“.

Zbigniew Grabowski

USUNĄĆ „SZCZĘŚCIE“ ZE SŁOWNIKA

Drogi Redaktorze,

Z przerażeniem i zadowoleniem przyjąłem Pańską propozycję. Przerażeniem — gdyż potraktowałem ją jako jeszcze jeden przejaw szerzącej się obecnie manii „komputerstwa“ (przepraszam za nowotwór, ale nie złośliwy i nie mający nic wspólnego z kumoterstwem), manii polegającej na oczekiwaniu pełnej i natychmiastowej odpowiedzi po naciśnięciu guzika, w tym wypadku z napisem „szczęście“. Zadowoleniem — bo chociaż nie należę do ludzi mających na wszystko natychmiastową i wyczerpującą odpowiedź („push-button answer“) to jednak w tym wypadku życzenie Pańskie podziałało wyzwalająco na przeróżne myśli i uczucia nagromadzone przez lata w mej podświadomości.

Przystępuję do rzeczy: słowo „szczęście“ winno być wykreślone ze słownika, a używanie go w mowie czy piśmie zabronione i karane. Sądzę tak nie dlatego że jestem pesymistą, przekonany iż szczęście nie istnieje, ani też dlatego abym — jeśli ono istnieje — chciał je w ten sposób zniweczyć, stosując nowoczesno-magiczny sposób przekształcania rzeczywistości przy pomocy słów. Wręcz odwrotnie — chcę samą rzecz, a więc szczęście, uratować przed zagładą przez nawrót do jej początkowego źródła, to jest do najbardziej osobistych uczuć każdego człowieka. Jedynie w rozmowie z samym sobą winien on mieć prawo używać tego słowa.

Wydobycie tego słowa przez mędrców świata na powierzchnię życia społecznego i stosowanie go w przeróżnych okazjach spowodowało wiele kłopotów i nieszczęść. Czy można zliczyć szkody i nieszczęścia spowodowane przez ludzi pragnących „uszczęśliwiać“ innych? W życiu prywatnym i społecznym. Iluż to obecnie na świecie jest ludzi „uszczęśliwionych“, a w gruncie rzeczy nieszczęśliwych lub zwyczajnie niezadowolonych? Ileż to razy określenie „szczęściarz“ lub „miał szczęście“ jest przykrywką lub tarczą dla osobników mijających się z prawdą, etyką czy normami społecznymi?

Mógłbym listę przedłużyć, ale chyba te dwa przykłady wystarczą aby stwierdzić, że słowo „szczęście“ — jedno z najpiękniejszych słów na świecie — nadaje się obecnie tylko do malwersacji słownych, do „podwójnej“ czy też „drętwej“ mowy. Jeśli wyrzucimy je ze słownika

*) To stare słowo, które wyszło z użycia w oryginalnej formie, istnieje dalej w słowach takich jak „haphazard“ (przypadkowy), czy „hapless“ (nieszczęsny).

powszechnie używanego i ograniczymy używalność wyłącznie do najbardziej osobistego użytku to nie tylko odświeżymy atmosferę, ale wytrącimy broń z ręki szarlatanów, fanatyków i obłąkańców wszelakiego rodzaju. Zniknie miraż (wmówiony) „szczęście ogólne“ i można się będzie przekonać ilu to naprawdę jest ludzi zwyczajnie, po ludzku zadowolonych. Znikną „szczęściarze“ i okaże się kto jest zwykłym przyzwoitym czy porządnym człowiekiem, a kto nie.

Ponieważ cały kłopot ze „szczęściem“ rozpoczął się od wydobycia tej czysto prywatnej sprawy na forum publiczne i od próby zdefiniowania — nie chcę popełniać tego samego błędu i uchylam się od odpowiedzi na pytanie co to jest szczęście. Przepraszam, ale to moja prywatna sprawa. Nie zgadzam się na jej znacjonalizowanie czy uspołecznienie.

Tadeusz Bornholtz

...JAK ŚWIATŁO I KOLOR

*...I czy szczęśliwa jest królowa Szkotów?
Widziałem światła w oknach jej pałacu.*

O jest szczęśliwa. Musi być szczęśliwa.

(Słowacki, Maria Stuart)

Wiemy, że była nieszczęśliwa — choć przeżyła niejedną chwilę szczęścia. Błada księżniczka z szaloną wyobraźnią. Dziecko obdarzone koroną słodkiej Francji. W 18 roku życia wdowa bez ziemi. Przez 18 lat więziona, zanim Elżbieta kazała ją zabić.

Kiedy trzeba pisać na trudny, umykający temat, najlepiej zacząć od cytaty. Albo od maksymy — jeśli piszący chce być moralistą. Ja nie chcę. Zamiast pouczać co to jest szczęście, albo jak je znaleźć, wolę napisać, że nie ma szczęścia — przynajmniej na tej ziemi. Od obietnic Marksa i innych „uszcześliwaczy“ wolę gorzką receptę św. Teresy z Avili, uczoney rówieśnicy Marii Stuart. „Kiedy chcecie być spokojni, nie spodziewajcie się niczego dobrego w życiu“ — pisała wielka reformatorka Karmelu. Tajemnicą szczęścia byłby więc chrześcijański pesymizm?

Ale dziwność rzeczy polega na tym, że szczęście, to coś czego nie ma — a przecież jest. I nie da się tego wytłumaczyć. Nawet atawizmem wyniesionym z utraczonego Raju.

Spróbujmy od innej cytaty:

*...Wysoko potem go wyniosła sława,
Szczęścia miał mało w życiu. Więcej bólu.
Albowiem była to epoka krwawa...*

(Beniowski)

Czy można być szczęśliwym w krwawych epokach? Wiemy, że można. Na przekór złemu losowi i złym ludziom. Szczęśliwym mimo wszystko. Tak jak kocha się mimo wszystko — nie za coś. Krótkie zadyszane szczęście wśród niepokoju dokoła jest może szczęściem najprawdziwszym. Nie można go pomylić z przyzwyczajeniem. „Pień, to ruiny naszych przyzwyczajzeń“ — mówi Cocteau w swoim „Orfeuszu“.

*Horacjusza wydania weneckie,
Trochę czarnej kawy po obiedzie...
Bzy tureckie,
I dobry jasny księżyc, który wszędzie —
To wszystko co mi może zabrać polska rewolucja:
Ciemna gawiedź w rękach smutnych psychopatów.*

Nie ma tego wiersza Gałczyńskiego w żadnej z ludo-wo-polskich antologii. Bo to wiersz niebezpieczniejszy

nawet od „Zielonej Geśi“, na której nie poznał się kiedyś ciemny łaps z cenzury.

A przecież, to niewiele co mu zabrano, było szczęściem poety. Kiedy tego zabrakło, wykoleiła się „zaczarowana dorożka“; zmarniał „Gulistan“ co był ogrodem róż.

Szczęście jest błyskiem, niespodzianką, darem Bożym — jak talent. Człowiek zły albo głupi go nie rozpoznaje. Pisze w XVII-wiecznym „Brewiarzu Dyplomatycznym“ hiszpański jezuita Baltazar Gracjan: „Prostacy nigdy nie mają przyjaciół: ani w szczęściu, bo wtedy nie chcą nikogo znać; ani w nieszczęściu, bo wtedy nikt ich znać nie chce“.

A francuski filozof-agnostyk, zmarły przed 15 laty Alain doradza, by uczyć dzieci, jak być szczęśliwym. Ale czy tego można nauczyć? Chyba, że przedtem nauczy się małego człowieka rzeczy takich jak estetyka, miłość i męstwo. Bo szczęście to najczęściej przeżycie artystyczne; albo kochanie; albo akt odwagi. Nie umiem powiedzieć czy np. twórczość jest szczęściem czy nieszczęściem człowieka. Najpewniej jednym i drugim.

Są tacy, którzy twierdzą, że szczęście to spokój. Można równie dobrze udowodnić, że jest odwrotnie. Na pewno nie jest szczęściem — szukanie szczęścia. Ten sam Alain w swoich „Propos sur le bonheur“ przestrzega: „Gdy człowiek zaczyna szukać szczęścia, już skazany jest na to, że go nie znajdzie“.

Jakiż wniosek z tych cytat i dywagacji? Chyba ten, że szczęście to nasza za nim tęsknota. Fantazja, która czasem, na krótko zmienia się w rzeczywistość. I sztuka. Abstrakcyjna.

Maciej Cybulski



AH! TO BEAUJOLAIS

OD DAWNA było wiadomo, że z winem beaujolais nie jest w porządku. Mówiło się, że w samym Paryżu wypija się go więcej, niż winnice na północ od Lyonu produkują. Ale nikt się tym specjalnie nie przejmował, bo każdy „patron“ bistro zapewniał, że jego beaujolais jest czyste jak kryształ, że pochodzi wprost z winnic jego przyjaciela, czy kuzyna, bez żadnego pośrednictwa po drodze, że to tylko u tego konkurenta z naprzeciwnika można mieć pewne wątpliwości itd.

Lepiej się w tej sprawie orientowali fachowcy, ale przez solidarność zawodową utrzymywali to wszystko w dyskrekcji i zwykły ludek pił to beaujolais od rana do późnej nocy, mlaskając z zadowolenia językami, że to jest dopiero wino, a nie te algierskie sikackie Ben Belli.

Ja też coś konkretnego o tym wiedziałem, gdy w znanych paryskich Halach winnych wykonywałem intelektualistyczny zawód „négociant en vins“. Wtedy jeszcze wszystko odbywało się w patriotycznym porządku, bo żyło się pod znakiem „Algérie française“ i Ben Bella siedział pod kluczem. Wina algierskie fachowcy bardzo szanowali, zwłaszcza w przygotowywaniu specjalnej odmiany beaujolais, które się nazywało „goût parisien“ (smak paryski). Uczciwi handlarze w tych halach z jednej beczki robili trzy, dodając jedną beczkę algerskiego i jedną jakiegoś cienkusa francuskiego, który w oryginalnej postaci nie nadawał się do sprzedaży. Dla bardzo wymagających klientów stosunek był pół na pół.

Teraz bomba pękła i to z wielkim hałasem. Poważny, progauilistowski tygodnik „Candide“ ogłosił wielki artykuł o skandalu win beaujolais. Okazuje się z tego artykułu, że w okręgu paryskim wypija się rocznie około pięciu milionów hektolitrow czerwonego wina pod tą nazwą, podczas gdy winnice beaujolais produkują go tylko 70 tysięcy hektolitrow. Rachunek prosty, sam Paryż pije go o siedem razy więcej, niż wynosi produkcja. A gdzie reszta Francji? A eksport? Przecież dziś wina beaujolais są w każdym większym sklepie win i w restauracjach całej Europy zachodniej, Ameryki i można go dostać nawet w Polsce. Z podanych cyfr wynika, że w handlu jest razem ok. piętnaście

razy więcej tego wina niż powinno być. To już jest draka wyższego rzędu, bo wszystko wskazuje na to, że w butelce z etykietką beaujolais nie ma ani jednej kropli tego wina. A dlaczego ani jednej kropli, to jest łatwe do wytłumaczenia.

We Francji mówi się, że miasto Lyon jest zroszone przez trzy rzeki: Rodan, Saona i... beaujolais. Ta trzecia to rzeka tego czerwonego wina, bo w Lyonie innego pije się mało. Ale Lyonczycy są na miejscu, kupują to wino wprost w winnicach, znają się na nim dobrze, więc ich tak łatwo nie da się nabrać. Oryginalne beaujolais idzie więc w większości do Lyonu i dla innych wiele z niego nie pozostaje.

WINO MŁODE I WESOŁE

Nim wejdziemy w tajniki tego cudownego — niemal jak w Kanie Galijskiej — pomnażania się ilości beaujolais, muszę wyjaśnić, skąd ta moda na to wino? Dlaczego ludziska pochłaniają takie jego ilości? Przecież we Francji jest tyle innych doskonałych win — bordeaux, burgundy, wina nadrodańskie czy alzackie itd.

Po wojnie jest o wiele mniej znawców win, niż było dawniej, choć każdy Francuz za takiego znawcę się uważa (ten skandal z beaujolais jest chyba dobitnym przykładem, co o tym znawstwie należy sądzić). Dawniej każda, nawet mała restauracja i wielu zwykłych ludzi, miało swoje piwniczki, gdzie starannie, rok w rok, układano butelki młodych win i wybierano do picia takie, które „dojrzały“. Bo wino, w przeciwieństwie do koniaku czy whisky, dojrzewa w butelce, bonifikuje się, jak mówią fachowcy. Oczywiście do pewnego czasu — gdy się je trzyma za długo to się wreszcie zepsuje.

To dojrzewanie to nie jest taka prosta historia. Z zasady bardzo wielkie wina i wielkie roczniki dojrzewają długo. Np. takie wina jak Château Margaux (Médoc z rejonu Bordeaux) gdy jest młode to ma smak cierpki i szkoda go pić w tym zielonym wieku, bo dopiero za jakieś 5-7 lat a często i później (zależy od rocznika), nabierze ono pełnego bogactwa ga-

stronomicznego. Ale wówczas będzie drogie, amator więc kupuje je młode i trzyma sam w swej piwnicy, co np. dla restauratora oznacza unieruchomienie kapitału, połączone z ryzykiem, bo często roczniki, zapowiadane jako wielkie, w praktyce okazały się po paru latach mniej gwiazdkowe. Poza tym własna i dobra piwnica wymaga zachodu, pracy, kłopotów itd.

Tymczasem beaujolais ma to do siebie, że dojrzewa bardzo szybko — pije się je młode. Wszystkie kłopoty odpadają, kafejkarze czy restauratorzy kupują je i natychmiast podają na stół czy na ladę. Do tego znawców jest o wiele mniej i przeciętny konsument nie umie ocenić np. wielkiego burgunda. Do tego to beaujolais (tylko czerwone, choć ostatnio próbuje się lansować trochę białego o tej samej nazwie — bez żadnego sukcesu) ma opinię wina wesołego, orzeźwiającego, jest zawsze (jak każde młode wino) lekko kwaskowate — co jest zasadniczą cechą prawdziwego beaujolais i jeżeli w butelce z etykietką beaujolais znajduje się „aksamitny“ syropowaty napój, to bez dyskusji można kelnerowi lać go na głowę. Jest to wszystko inne, tylko nie to, co figuruje na etykiecie — najczęściej rozpuszczone algierskie w Paryżu, lub jakaś „imperialna“ odmiana australijska czy południowoafrykańska w Londynie. Ten charakterystyczny kwaskowaty smak jest przyjemny, a nie cierpki jak w innych niedojrzałych winach.

Niezależnie od tego francuskiego beaujolais można spotkać inne — pochodzące z Kalifornii! Nie tylko ono zresztą, bo jest tam i burgund, a nawet Châteauneuf de Pape. Musi być całkiem dobre, bo jeden z amerykańskich felietonistów przytaczał ogłoszenie, które mówiło, że „nasz California burgundy jest jak sok malinowy babci — można krajać nożem“.

„APPELATION CONTROLÉE“

Wina francuskie dzielą się na dwie zasadnicze kategorie, na wina zwykajne (vins ordinaires) i na gatunkowe (appellation controlée, o nazwie kontrolowanej). Podobnie zresztą jak i ludzie — na ciemną masę i na intelektualistów. Tylko niestety w tych

CZYLI: RZECZ O WINIE

winach gatunkowych (jak i u ludzi) jest masę fałszerstwa i stąd ten wielki skandal z beaujolais — bo należy ono do win gatunkowych.

Te teoretycznie surowo kontrolowane nazwy win gatunkowych pochodzą z zasady od nazw geograficznych. A więc burgundy z Burgundii, szampan z Szampanii, a beaujolais z rejonu na północ od Lyonu. Jest to pas szerokości 15 km. a długości 50 km. W tych wielkich rejonach jest oczywiście cała gama win o wyższych gatunkach, których nazwy pochodzą od gmin, a w gminach często od winnicy. Np. Gevrey-Chambertin to nazwa gminy, skąd pochodzi bardzo wielki gatunek burgunda o tej nazwie, ale w tej gminie jest jedna winnica, która nazywa się krótko Chambertin i to jest jedno z największych win francuskich, jak i druga winnica z tej gminy — Clos de Beze.

W Beaujolais też są takie wyższe gatunki, jak Julienas, Fleurie, Morgon czy Chiroubles (które bardzo lubi gen. de Gaulle — ale w Paryżu go nie kupuje). Najwyższy gatunek w tym rejonie to Moulin-à-Vent.

Te winnice, gminy i rejony są ściśle ograniczone na planach katastralnych i często z jednej strony drogi jest bardzo wielkie wino, a z drugiej zwykle „vin ordinaire“. Tam na miejscu kontrola jest bardzo surowa, bo inspektorzy liczą nawet ilość krzewów winnych, by znać dokładnie późniejszą ilość wina. Każdy rodzaj gatunkowego wina pochodzi z dokładnie określonego rodzaju winnej latorości — nie z innej i to też jest kontrolowane.

Gdzie więc dzieje się ten cud, że z 700 tys. hektolitrowo beaujolais w handlu robi się ponad 10 milionów? Oczywiście w piwnicach pośredników, handlarzy, restauracji i barów. Tam odprawiają się misteria i czarna magia. Nie tak dawno w Villefranche-sur-Saone, wielki ośrodek handlu winami beaujolais, nakryto handlarza, w którego butelkach nie było ani kropli tego oryginalnego napoju — wszystko fabrykował z win zwyczajnych, pomagając sobie znajomością chemii. W Limoges było lepiej, bo tam miejscowy „negocjator win“, zresztą już chemik z zawodu, fabrykował



wino, w którym nie było śladu winnego moszczu w ogóle. Do słodzonej wody dodawał drożdże fermentacyjne, wobec tego to fermentowało i wytwarzało alkohol, to wszystko zaprawiał odpowiednimi chemikaliami i barwnikami, dozując je tak, że miał burgunda, bordeaux i oczywiście beaujolais. Miejsowa klientela piła to i podobno nawet jej to smakowało. Gdy faceta oddano do sądu, to przyszła świadczyć jakaś babina, twierdząc, że to bardzo dobre wino, odkąd jej mąż je pije, to przestał ją bić.

NAWET GOŁĘBIE POCZTOWE

Ale takie wyczyny należą do rzadkości i mają charakter miejscowy. Normalnie ma się do czynienia z prawdziwym winem, które tylko zmienia nazwy na szlachetniejsze.

Każdemu transportowi wina muszą towarzyszyć odpowiednie papiery kontrolne, szczegółowo wypełnione, z ilością wina, nazwą, godziną wyjazdu, trasą itd. Te papiery, t.zw. „congé“, są koloru białego dla win zwyczajnych, a zielonego dla gatunkowych. Dla przewozu wina w cysternach samochodowych z prowincji do Paryża to „congé“ jest ważne trzy dni. Transport jest kontrolowany przy wyjeździe i często w drodze. Cysterna

przybywa do Paryża, gdy się spieszy, w 12-18 godzin. Miała ona prawdziwe beaujolais. Po przyjeździe ten „negocjator“ bierze to „congé“ i wysyła przez gołębia pocztowego do swej piwnicy na prowincję i na ten sam papier wyjeżdża druga cysterna, już ze zwykłym sikaczem koloru czerwonego. Sprytnie unika kontroli przy wyjeździe, a w czasie drogi wszystko jest w porządku. Jak się pośpieszy, to na jeden taki zielony dokument obróci trzy razy. Oto jeden z przykładów zalewania Paryża fałszywym beaujolais — przykład z życia, regularnie nakryty.

Obok tego są fałszywe „congé“. Cysterna wyjeżdża z białym dokumentem i w pewnej oberży po drodze, gdzie zatrzymuje się na nocleg, za odpowiednią opłatą otrzymuje piękne, zielone „congé“ z ładnie wykaligrafowaną nazwą beaujolais, albo nawet Moulin-à-Vent. Wypadek również nakryty, jak poprzedni.

Handlarz paryski trzyma dokładną rachunkowość win gatunkowych i wolno mu tyle ich sprzedać, ile kupił i musi to udowodnić rachunkami. Już ma co najmniej trzy razy tyle beaujolais, ile z winnicy wyjechało i najczęściej sam o tym nie wie, ale go to mało obchodzi, bo interesuje go nazwa na rachunku, a nie zawartość beczek. Oczywiście w jego piwnicy ta ilość podwaja się, ale rachunków restauratorom i innym kafejkarzom wystawia na tyle, ile oficjalnie kupił — reszta idzie po znajomości, to znaczy taniej. Restauratora czy bar najtrudniej skontrolować, bo to beaujolais, kupione na lewo, trzyma w zwykłej beczulce i w miarę potrzeby napełnia butelki. A nawet jeżeli wszystko kupuje w butelkach z etykietkami, to ma zawsze zakamarki, gdzie „nadwyżkę“ chowa. W rachunkowości oczywiście ta nadwyżka figuruje jako wino zwyczajne, czyli jest sprzedane tanio, w rzeczywistości klient płaci ceny beaujolais, a więc wyższe. Wszyscy zarabiają.

O eksporcie lepiej nie mówić. Wielcy restauratorzy w Paryżu mają znawców, którzy smakują wina i wierzą im, a nie fakturam. Na eksport wina nie wysyła jego producent, bo to często jest zwykły wieśniak, który całą swoją produkcję sprzedaje wielkiemu „negocjatorowi“ lub spółdzielni. Oczywiście ci negocjatorzy win dla

(Dokończenie na str. 45)

Z ANALOGIĄ w sprawach międzynarodowych jest trochę tak jak z „wpływologią“ w smutnej dziedzinie „literaturoznawstwa“: jak się bardzo uprzeć to zbieżności można znaleźć pomiędzy przysłowiowym pomem a niemniej przysłowiową dzwonią.

I tak, na przykład, niewątpliwie można snuć docieklive rozważania na temat zbieżności pomiędzy Polską a Filipinami. I jeden i drugi kraj był potwornie zniszczony podczas drugiej Wojny Światowej: z Warszawy jakościowo i ilościowo, mogą porównać się bodajże tylko Rotterdam i Maniła, stolica Republiki Filipińskiej. I w Polsce i na Filipinach nieprzyjacielska okupacja była nadwyraz ciężka i obrzydliwa, partyzantka patriotyczna była sabotowana przez partyzantkę komunistyczną, niedźwiedzią skórę przyszłości obu narodów potężni sprzymierzeńcy ewiartowali niebardzo oglądając się na prawdziwe interesy i upodobania ludności nie raz i nie dwa. Wreszcie i Polska i Filipiny są krajami głęboko katolickimi.

Po likwidacji rządów hiszpańskich na przełomie 20 wieku i wygnaniu zakonów rekrutujących się z Hiszpanów z pominięciem ludności miejscowej, powstał filipiński „Kościół Narodowy“. Odnaczał się tym iż „przyjął wymowę nowoczesnej nauki“ — coś tak jak ci anglikańscy biskupi dziś sprawujący urzędy i pobierający ciężkie pieniądze z tego tytułu, ale nie uznający takich drobiazgów jak np. dogmat Trójcy Św., czy dogmat Odkupienia. Dr. Inge, nie biskup wprawdzie, ale dziekan Kościoła Św. Pawła w Londynie, zmarły podczas ubiegłej wojny był zato ortodoksem, tyle tylko że nie chrześcijańskim a neo-platońskim.

Kapłanom Narodowego Kościoła Filipińskiego ani marzyły się nawet tak wysokie spekulacje filozoficzne. Zachowali pełny ceremoniał z miejscowymi dodatkami, jeszcze piękniejsze ornaty i ołtarze aniżeli katolicy, i pożenili się oraz udzielają rozwodów; jednym słowem żyć nie umierać. Do Narodowego Kościoła mimo tych dobrodziejstw i subsydiów amerykańskich sekciarzy należy załedwie 10% ludności.

I naturalnie, podobnie jak z „literaturoznawstwem“, zbieżności niczego nie dowodzą. Na serio Filipin z Polską porównać się nie da. Chociażby

CZESŁAW JEŚMAN

FILIPINY TO

dlatego, iż na 115.600 mil kwadratowych ich powierzchni składa się 7.100 wysp. Z nich tylko 11 — Luzon, Mindanao, Samar, Negros, Palawan, Panay, Mindoro, Leyte, Cebu, Bohol i Masbate — są zamieszkałe przez ludność osiadłą, tzw. 95% dwudziestu ośmiu milionów mozaiki ras i szczepów przynależnych jednakże, prawie bez wyjątku, do wspólnego mianownika malajskiego. Geograficznie Filipiny są klamrą łączącą łańcuch archipelagów, pomiędzy Japonią ku północy i Indonezją na południe, broniący dostępu do kontynentu azjatyckiego od zachodu. Stąd też, nieuchronnie, stały się jednym z etapów amerykańskiego parcia na zachód. Rozpoczęło się ono na początku ubiegłego wieku przejściem przez Allegheny... dziś autostradą z Waszyngtonu do Chicago przejeżdża się pod Alleghanami...

POLITYCZNE usamodzielnienie się Filipin jest jednym z bardziej ambarasujących epizodów w historii St. Zj. Przed paru laty ukazała się na ten temat książka amerykańskiego historyka Leona Wolffa. Bez obciążania się historycznymi realiami wystarczy pamiętać z niej iż pod koniec ubiegłego stulecia tzw. „Robber Barons“ amerykańscy i magnat prasowy Hearst sprowokowali wojnę z Hiszpanią, anektowali Porto Rico i o mały włos nie załapali Kuby, i zajęli kilka archipelagów na Pacyfiku. Poza tym czynnie podtrzymali powstańców filipińskich kiedy chodziło o wyrzucenie Hiszpanów i obrócili całą potęgę przeciw tymże powstańcom z chwilą kiedy Hiszpanów więcej nie stało a zhispanizowani Filipiniecycy zapragnęli stać się panami w swoim własnym domu. W tej dziedzinie przesładował ich zresztą pech od niepamiętnych czasów. Załążki organizacji państwowych wyższego rzędu istniały na Filipinach już około 200 przed Chr. i aż do roku 1400 po Chr. państwa i państwka na Luzon i Mindanao płaciły haracz i były wasalami albo Chin albo Jawy, albo innych, pomniejszych potęg tego obszaru Azji. W piętnastym i szesnastym wieku nastąpiło znaczne rozprzężenie polityczne na Filipinach; związki z azjatyckim

lądem stałym i z Indonezją skurczyły się. W tym też okresie w r. 1521, Magellan „odkrył“ Filipiny i nazwał je ku chwałę swojego pracodawcy króla Filipa II-go. W r. 1565 stały się one posiadłością Korony Hiszpańskiej.

Przy ówczesnych środkach komunikacyjnych leżały one tak daleko od Madrytu iż były rządzone przez wicekrólów Meksyku. Korespondencja między Meksykiem a Manilą, głównym hiszpańskim ośrodkiem administracyjnym na Filipinach, trwała około półtora roku.

DO dzisiejszego dnia historia kolonizacji hiszpańskiej jest sprawą sporną. Zupełnie inaczej wygląda ze strony opracowań w języku hiszpańskim czy z sal wystawowych „Domu Indii“ w Sewilli, a zupełnie inaczej oglądana oczami historyków, podróżników czy publicystów piszących w języku angielskim. Nie bez powodu: Wielka Armada rzeczywiście napędziła strachu Anglikom i do dziś dnia uraz ten im nie minął.

Amerykańscy kuzyni jeszcze bardziej zaciemnili obraz.

Stąd aż do ostatnich czasów prawie całokształt amerykańskiej bibliografii na temat Filipin jest właściwie bezwartościowy pomijając oczywiście stronę ściśle opisową i przyrodniczą. Zato na Filipinach tęgą karierę służbową i finansową zrobił cały szereg wybitnych osobistości amerykańskich sił zbrojnych i amerykańskiego życia publicznego. Generał Mac Arthur, zresztą marszałek armii filipińskiej, i Taft, prezydent Stanów Zjednoczonych, wystarczą tu jako sztandarowe przykłady.

Z chwilą kiedy cukrownicy amerykańscy ułożyli się w latach trzydziestych z mniejwięcej niepodległą Kubą na bardzo dogodnych warunkach dla siebie, sprawa niepodległości Filipin, konkurenta cukrowego Kuby, stała się przesądzona przy akompaniamencie oratorskich popisów w Waszyngtonie o ideałach rewolucji amerykańskiej.

Warto tu wspomnieć, iż retoryka ta jest o tyle swoista iż „New Yorker“ najlepszy tygodnik w U.S.A., trochę satyryczny, bardzo ironiczny i swoiś-

7000 WYSP...

B.D.I.C.

cie literacki, wychodzący w Nowym Jorku, prowadzi stałą rubrykę „High Wind from The Capitol“ gdzie wyuczyny krasomówcze „ojców narodu“ są przedrukowywane, w celniejszych wyjątkach, ku zbudowaniu czytelników.

NIE ulega wątpliwości, iż potworne zniszczenia wojenne Filipin podczas II Wojny Światowej wynikały bezpośrednio z obecności baz amerykańskich na ich terenie. Ani Syjam, ani francuskie Indochiny nie ucierpiały od japońskiej okupacji nawet jednej setnej tego nieszczęścia jakie zniosły Filipiny. Dlaczego nie powstał na Filipinach prawdziwy ruch współpracy z Japonią nie bardzo wiadomo. Na Jawie, i, w mniejszym stopniu, w reszcie Indonezji miejscowa arystokracja i inteligencja z obecnym prezydentem Sukarno na czele współpracowała z Japończykami przede wszystkim z nienawiści do holenderskich sierżantów panoszących się na niebotycznie płatnych kolonialnych stanowiskach Indii Holenderskich. Miłości do Jankeśów na Filipinach nie było kiedy kapitulował Bataan a na twierdzy Corregidor zabłysło Wschodzące Słońce. Ale w ciągu 40 lat amerykańskich rządów kolonialnych, wyrosło całe pokolenie na Filipinach, które było nie podwójną a potrójną mieszanką. Na malajskim podłożu wyrosłe stuletnie nawyki katolickie i hiszpańskie były raczej prymitywnie odkarczowywane przez Amerykanów. Przefasonowywano filipińskie sfery kierownicze na „stuprocentowych Amerykanów“, klasy pośledniej bo nieodpowiednich kolorystycznie.

Filipińczycy tego okresu i tego zaplecza mogli współpracować już tylko z Amerykanami; dla reszty świata byli albo niezrozumiali albo podejrzani.

Może dlatego prawdziwe odrodzenie, po wojnie i po stłumieniu komunistycznej dywersji tzw. „Huków“ zasadzonych na wyspach przy czynnej i gorącej współpracy kryptokomunistów w rodzaju Hissa czy White'a którzy za ostatnich, złowieszczych lat Roosevelta opanowali Waszyngton, rozpoczęło się od najgłębszych

podstaw. Prezydent Mangsaya, tragicznie zmarły w wypadku samolotowym przed kilku laty, był prawdziwym „ojcem ojczyzny“. Był nabożnym katolikiem, wspaniałym partyzantem i nie był obciążony ani hiszpańskimi ani amerykańskimi naleciałościami i kolaboracją z Japończykami podczas wojny. Ci ostatni pozostawiając „azjatyckie braterstwo“ na stronie strzelali do chłopów na Luzonie za najmniejszy protest przeciw niemiłosiernemu wyzyskowi gospodarczemu, tak że i „Zagradiitelyje Otriady“ NKWD i „Polizeiregimenten“ w Generalnym Gubernatorstwie nie potrafiłyby lepiej.

Po wojnie Filipiny stały się niepodległe. Tagalong, najbardziej rozpowszechnione filipińskie narzecze stało się językiem urzędowym, a Kościół Katolicki, nieurzędowo, religią państwową.

OD tych przemian przeszło około 20 lat. Ale ferment polityczny ciągle trwa. Rząd filipiński nade wszystko obawia się awantur Sukarno: w lutym senatorowie Fernando Marcos i José Roy postawili wniosek o umocnienie Mindanao przeciw „próbom masowej infiltracji wrogich elementów zagranicznych z południa“. Minister rolnictwa José Feliciano złożył w kongresie obszerny raport o przechodzeniu własności ziemskiej w ręce Indonezyjczyków. Władze wojskowe stwierdziły iż w ciągu ostatniego roku 3 tysiące hektarów na samym tylko Mindanao przeszło w ręce indonezyjskie. Prezydent Filipin Macapagal nie pojechał do Dżakarty, na uroczystości 10-cio lecia I-go Kongresu Bandungkiego. Szef Sztabu Generalnego gen. Alfred M. Santos zarządził w połowie marca pogotowie na południowych wyspach. Tu należy wspomnieć iż bazy amerykańskiej marynarki i armii w dalszym ciągu istnieją na Filipinach. Filipińska marynarka wojenna zato jest słaba.

Składa się z dwóch nieszczęśliwych, 6 eskorterów, dwóch poławiaczy min, 7 ścigaczy łodzi podwodnych, 19 patrolowców; 2 okrętów dowodzenia operacjami ziemno-morskimi i 9 transportowców desantowych. No, ale przy obecnym układzie stosunków

międzynarodowych nie ma mowy o bezpośrednim uderzeniu znacznie silniejszej marynarki indonezyjskiej na Filipiny mimo iż posiada ona sowieckie ciężkie krążowniki. Również w połowie marca zresztą, William Bundy, zastępca Sekretarza Stanu USA dla spraw Dalekiego Wschodu i ambasador dla spraw specjalnych W. Averell Harriman zapewnili Mauro Mendeza, filipińskiego Ministra Spraw Zagranicznych iż Stany, w razie potrzeby, przyjdą Filipinom z pełną i natychmiastową pomocą.

Jednocześnie filipińskie formacje sanitarne i „wojny psychologicznej“ zostały wysłane do Południowego Wietnamu. Parlament filipiński z naciskiem podkreślił iż Rzeczpospolita Filipińska czyni to dobrowolnie a nie pod naciskiem Ameryki.

W MANILI wrogie demonstracje przed ambasadą Stanów są regulą a nie wyjątkiem. Komuniści maczają w nich palce, ale nie są inicjatorami ani nie stanowią głównego kontyngentu protestowiczów. Protestują organizacje studenckie, zupełnie niekomunistyczne, domagając się zasadniczej rewizji wszelkich układów pomiędzy Filipinami a Stanami Zjednoczonymi. Miejscowi kupcy i przemysłowcy są wściekli z powodu zrównania inicjatywy amerykańskiej na terytorium filipińskim z przedsiębiorstwami miejscowymi.

Niedawno zmarł, w wieku lat 94, generał Emilio Aguinaldo, bohater wojny o niepodległość i wojny czy partyzantki przeciw Amerykanom bezpośrednio potem. Jego pogrzeb stał się ogólnonarodową manifestacją patriotyczną. Podobnie José Laurel, prezydent niepodległej Republiki Filipińskiej pod protektoratem japońskim jest dziś pierwszoplanową postacią w życiu politycznym, a do niedawna uchodził oficjalnie za „quislinga“. Nawet generał Carlos Romulo, szef sztabu filipińskiego u boku gen. MacArthura, nawołuje do „przestawienia się na Azję“; Przeszło 70% ludności Filipin liczy poniżej 30 lat. Są przeważnie katolikami i „Hispanidad“ — mimo wszystko — jest częścią ich podświadomości a nie ideały Pielgrzymów z „Mayflower'u“, mimo zewnętrzznego standaryzowanego blichtru stacji benzynowych, i przejawów cywilizacji Walta Disneya oblepiających Manilę i większe miasta.

ZACZAROWANY LAS

— Dlaczego mówisz, że jesteśmy w Zaczarowanym Lesie? Brocéliande jest przecież w Bretanii, a tu narazie Normandia: kraj miękiego kamienia, który człowiek organizował w budowlę i rzeźbił?

— Wszędzie tam gdzie zbłądzi podróżna stopa, stopa włóczęgi, a potrosze pielgrzyma, wszędzie tam, do prawdy, jest Brocéliande. Patrz: dziwaczne rośliny, syreny, rycerze, nawet śmierć sama — wszystko tu skamieniało. A ty jeszcze nie wierzysz, że jesteśmy w Zaczarowanym Lesie?

Janusz poważnie kiwa głową. Argumenty pachnące bajką zawsze trafiają mu do przekonania. Pogodzeni więc wchodzimy do kapitułarza opactwa św. Jerzego w St. Martin-de-Boscherville. Opactwa stanowiącego prawie doskonały przykład dojrzałej romańszczyzny. Na kolumnkach podpierających potrójny łuk portyku zatrząsienie wszelkiego dziwu pomieszanego z barwną codziennością: Sceny ze Starego Testamentu, święci, a obok klótnia kobiet, której z satysfakcją sekunduje diabeł, dalej opat chłuszczący mnichów. Gdzieindziej uosobienie Wściekłości, Gniewu, — rozczochrane, grożące nożem.

Obchodząc budowlę wokół, wzdłuż nawy, transeptów, absydy i kaplice napotykaemy chimery, gryfy, — mieszkańców fantastycznego Zwierzynca, a także zjawiska jakby z pogranicza dni stworzenia: formy roślinne związające się w kształty będące już przecuciem ptaków czy zwierząt. Nagle w tej kawkadzie nieoczekiwana eksplozja realizmu, dokument ledwie maskowany grymasem groteski: na głowicy kolumny, obok bujnie rozwiniętej palmety, kołysze się jakby na cienkich nóżkach kowal-mincerz. Wielką głowę stroi rozwiana broda, w dłoniach młot i stępel a obok kowadło do wykuwania pieniędzy. Widomy świadek przywileju bicia własnej monety — przywileju którym obdarzone były opactwa świętojerskie.

Jumieges

Dołną Sekwany, pod zboczami owianymi pierwszą, ledwie dostrzeganą zielenią posuwamy się na Zachód. Ale posuwamy się leniwie, powoli. Co chwila bowiem trafiają się wioski ukoronowane romańskimi kościołami w cieniu których tulą się karczmy a w nich chluba okolicy, calvados. Co chwila urok krajobrazu odrywa uwagę od szarości szosy, kieruje ją ku kuszą-

cym w zieleń dróżkom, ku rozmaitemu, kapryśnemu horyzontowi.

Wreszcie zza sieci gałęzi, zza wysokiego muru, wychyla się jasny, kamienny szkielec opactwa zamordowanego u schyłku XVIII wieku przez rewolucję. Skłania do uśmiechu — i do namysłu — fakt że ruch, który szczył się sadzeniem po świetle „drzew wolności“ pozostawił po sobie ruiny, zgłiszcza, potłuczone rzeźby i gilotynę.

Na szczęście piękno umiera, ale nie ginie: biały kościotrup budowli widziany nocą, z okna oberży przeraża, ale i zachwyca czystością form, szlachetną wzniosłością... A dniem... Idziemy pod popielatą oponczką nieba rozpiętą na nadłamanych łukach, zagłędamy w twarze rzeźbom. By zobaczyć niektóre — najciekawsze — podejść trzeba do byłej rezydencji opata zamienionej dziś na muzeum.

W przestronnych salach rzeźby i okrucy rzeźb pokazane są w całej swej — trochę osamotnionej — urodzie. Na środku centralnej sali pomnik nagrobny łączy w sobie piękno, dramatyczną moc i tajemną siłę budzenia wzruszenia. Mimo uszkodzeń wdzięk tej grupy nie zmalował ani o krztynę: Dwie postacie w długich, misternie sfaldowanych szatach, odsuwają się od siebie ciałami, ale pochylają ku sobie czule chłapiące twarze obramowane długimi lokami.

Nagrobek „les Énergés de Jumieges“ jest nagrobkiem osób i zdarzeń, które nie istniały: przedstawia dwóch synów Clovisa II i św. Batyldy, którzy podczas pielgrzymki ojca do Ziemi Świętej wszczęli bunt. Schwytanym wypalono nerwy w łądźwiach (stad nazwa: „Énergés“) i puszczono w łodzi na wody Sekwany, która zaniósła ich do murów miłosierznego opactwa. W istocie Clovis II zmarł w wieku lat 27, nigdy nie udawał się w pielgrzymkę do Ziemi Świętej i nie posiadał synów w wieku umożliwiającym udział w zbrojnym buncie.

To dlatego rzeźba owa wzrusza podwójnie: bo oto jest nie tylko pomnikiem miłosierdzia mnichów z Jumieges, ale i ich szacunku, ich miłości do bajki, której nie tylko urządzili pogrzeb, ale jeszcze tak piękny wzniesli nagrobek.

Thaon

Soczystą doliną dróżka wije się wśród sieci strumieni. Spłoszony szczur wodny wielkim susem zapada w płytki, wartki nurt. Za kamiennym mostkiem, w kępie drzew przykucnął zapuszczony cmentarz. Nieliczne, pozostałe nagrobki i krzyże, karłowate i poprzekrzywiane, toną w ziołach i kwiatach. Jakby śmierć sama umarła ustępując miejsca czupurnemu, niefrasobliwemu życiu. Na rzeźbionych nieudolnie płytkach powtarza się dziwny motyw: poczarwanej twarzy usianej centkami czy raczej wyźlobieniami. Widomy ślad ponurych dziejów tego miejsca: Istniało tu kiedyś osiedle trędowatych. Z czasem wymarii. Kościół został porzucony, popadł w zapomnienie, prawie w ruinę. Ale romański mur trzyma się dobrze, kwitnie kamiennym pięknem. A że wraz z ustaniem codziennych obrzędów znikły i atrybuty; ławki, dywany, świeczniki, piękno temu jakby więcej przypada miejsca, bardziej skupia się na nim uwaga. W półmroku architektura mówi swym własnym językiem: harmonią brył, proporcjami krzywizn.

Wnętrze — zubożone o boczne nawy, które zamurowano gdzieś w ciągu ostatnich 8 wieków, zdobią suto rzeźbione głowice kolumn. Wyrafinowanie idzie tu ręka w rękę z rozczulającą naiwnością, graniczącą z nieudolnością: obok nieporadnych wyobrażeń zwierząt, symbole, których pomysłowość i rozmach zdumiewają w tym wiejskim zaciszu.

Wąską, ciemną czeluścią wspinaemy się na wieżę. Przezrociami spoglądamy na mały, zielony świat w dole. Zamykają go wzgórza, zawiązują na mocny, serdeczny węzeł strugi wody. Dwie bliźniacze kolumnienki dzielą z gracją widok tego świata na dwie połowy, każda półokrągłym zamkniętą łukiem. Kusi spokój, skromna doskonałość tego świata. Wydaje się, tak patrząc, że starczyłoby dni parę tu spędzić by już na zawsze stracić ochotę do dalszej podróży.

Przełamujemy jednak magiczny krąg, schodzimy. Niskie, sklepione wnętrza wydaje się jeszcze ciemniejsze. Jak wnętrza serca, które nie uległo własnym chęciom.

I INNE DZIWY

B.D.I.C.

Bayeux

Kto by sądził, że w zaczarowanym lesie wszystko co piękne zamienia się w kamień, myliłby się bardzo. W Bayeux dzieje wielkiego wydarzenia, szmat historii, i tysiąc szczegółów — uroczych, sprośnych, pouczających zaklęto dziewięć wieków temu w barwną wełnę tkaną na lnianej osnowie.

Środkowy fryz, jak znakomicie skonstruowany film dokumentarno-propagandowy, rozwija logicznie pasmo wydarzeń. Oczywiście autor, czy autorzy, interpretowali te wydarzenia w przychylnym dla Wilhelma-Zdobywcy świetle, by nieco podeprzeć jego — skądinąd na wątpliwej wartości argumentach oparte — pretensje do angielskiego tronu.

Właściwą tkaninę — istną encyklopedię wczesnego Średniowiecza bramują dwa wąskie pasma. W nich ilustracje do bajek Ezopa przeplatają się ze sprośną anegdotą, a także jakby z kartami ówczesnego podręcznika zoologii i botaniki. Chwiłami, gdy dzieje przedstawione na tkaninie zbliżają się do dramatycznych rozważań, zwierzęta z obramowania zaczynają jakby brać udział w biegu wypadków: niekiedy wtórują toczącej się kłótni, kiedy indziej — drapieżniki chciwie ścierną — patrzą z głodnym zaciekawieniem na toczącą się bitwę.

Doszedłszy, wraz w Wilhelmem, do końca jego tryumfalnej wyprawy, ruszamy we własną drogę, ku niecierpliwie wyglądanej krainie bajki i cudu.

Le Mont-St-Michel

Na drodze stoi jeszcze granitowy kaprys — słup graniczny między Normandią a Bretanią — Mont-St-Michel. Od dwunastu co najmniej wieków ludzie pomagali tu jak umieli naturze by udziwiać jej dzieło. Wznoszono granitowe mury by skałę ustrzelić, kuto w niej korytarze i kaplice by jej dodać tajemniczego uroku.

Klasztor — czy, raczej, jego pusta dziś bezduszna skorupa, obrósł jarmarcznym zgiełkiem, sklepami z „pamiątkami“ i jadalniami pełnymi pokarmów, w które obfituje morze oraz naleśników wszeakiego rodzaju — bretońskiej specjalności. Przewodnicy o zmęczonych twarzach powta-

rzają wytarte anegdoty. Drażnią obecność tłumu cuchnącego czosnkiem, kiepskim winem i płytką ciekawością.

Schodzimy wreszcie ku plaży, wypełnionej w godzinach odpływu samochodami, z mieszaniną podziwu i wstrętu w sercach. Wichura szarpie nas, wyje, obrzuca piaskiem, dziewczętom zadziera kieciki, jakby wstąpił w nią nicpoń i urwipoleć — diabeł odpustów. Ze złośliwą satysfakcją zatraskujemy jej przed nosem drzwi samochodu. Ale obok cztery zakonnice mozoła się ze swym małym Citroenem, który ugrzązł w mokrym piasku. Wyśkakujemy, by im pomóc. Łotrzyk wiatr na to tylko czekał. Chwyta za niestrzeżone drzwi, tarmosi nimi, wykręca w zawiasach. Klnąc wracamy do samochodu, próbujemy naprawić powykrzywiane żelastwo. Zakonnice znikają. W huraganie brzmi jakby chichot. Zapachniało siarką... A może tylko schnącymi wodorostami?

Brocéliande

Aby zmylić czujność gawiedzi las nazywa się teraz Foret de Paimpont. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że jest to właśnie Brocéliande — zaczarowana scena, na której odegrało się tyle zdarzeń z dziejów Króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu. Paimpont jest malowniczą wioską na skraju lasu, nad jeziorem, ale niczym się nie wyróżnia z pośród setek podobnych wiosek francuskich. Zamek Compar — niegdyś własność Lavalów, następnie Coligny'ch, dziś melancholijna ruina, drzemie wśród starodrzewu i stawów.

Ktoby przypuścił, że nad wodą, w której każdy dziś (zapłaciwszy poprzednio kilka franków) może bezpiecznie łowić ryby urodziła się kiedyś i wychowała piękna i przewrotna Vivianne — czarownica, która ograłaby Merlina z jego magicznych sekretów?

W Trehorenteuc, w kościele parafialnym próbowano nieudolnie złapać legendy do klatek, zamknąć w ramy, unieszkodliwić (bo uoczywistnić) farbą. Janusz smutnieje. Dąsa się. C. uje, że jeśli nie znajdziemy natychmiast furtki, która wyprowadzi nas z codzienności to wyprawa może źle się skończyć.

— Nie mam do ciebie pretensji. Naprawdę. Ale czuję się jakby mnie nabrano. Sam widzisz: Nie ma tu bajki. Nie ma Zaczarowanego Lasu.

— Spróbujmy jeszcze zobaczyć Val-sans-Retour — proponuję nieśmiało, bo sam przecież widzę beznadziejność sytuacji. — To zdaje się niedaleko.

Ruszamy bez zapalu, ociągając się, niechętnie. Nie wiele cudów kryć się może za małą pochyłością obrośniętą niepozornymi sosnami, u końca ścieżki przeciskającej się skromnie między kolczastymi połaciami rozkwitłego janowca. Pachnie tu. I słyhać kukulkę.

Nagle, bez ostrzeżenia, ścieżka przeskakuje pochyłość, roztrąca drzewa i krzaki. U naszych stóp zielona czeluść. Ale nie jest to ciemna, smętna zieleń jaką zwykło się widywać u zboczy wąwozów. Jasna, jaskrawa, prawie w oczy razi. A równocześnie, w tej swojej wczesnowiosenności, prawie przezroczysta. Widać przez nią każdą gałązkę drzew i krzewów. Każde lśnienie na zwiniętym u dna jaru strumieniu. Tę zieleń, cieniowaną misternie pochyłościami ziemi, rodzajami drzew, przerywa niekiedy jak wystrzał, pióropusz białości: rozkwitła dzika wiśnia.

Stoimy chwilę oczarowani niespodzianką, potem ruszamy prawie biegiem, zadyszani. Jakby nie było chwili do stracenia, jakby ta zjawia miała zniknąć, rozpaść się w gruzy codzienności. Wreszcie, znużeni intensywnością marszu, znajdujemy płacheć trawy wolny od kamieni i cierni, wystawiony wdzięcznie ku łagodnemu, kwietniowemu słońcu.

Fale błękitu, zieleni, srebra, podnoszą się coraz wyżej, dotykają stóp, obmywają biodra, piersi. Bajka pochyła się nad nami nisko, czuję jej ciepły oddech na policzkach. I oto, niebacznym, zniacka dopada sen.

Przylądek Sizun

W Concarneau stare miasto na półwyspie opasują czternastowieczne mury. Na jednej z baszt barbakanu zegar słoneczny z napisem: „Czas mija jak cień“. Zardzewiała kotwica wygrzewa się w słońcu: nadzieja na emeryturze.

Ruszamy dalej. Malownicza szosa nadbrzeżna, znowu śródlądzie. I wreszcie dawna stolica starożytnego królestwa Bretanii — Quimpar. Król Gradlon miał sam wybrać to miejsce

po zatopieniu legendarnego miasta Is. Owa pra-stolica tak była podobno (według tradycji bretońskiej) piękna, że nawet dumni paryżanie nazwali swoje miasto — od owego czasu Lutecję — „Par-Is“. Zagłada Is nastąpiła — jak nie trudno się domyślić — za sprawą pięknej dziewczyny i diabła: bajka wybiera zwykle rozwiązania najbardziej prawdopodobne.

Znając historię zatopionego miasta, pięknej Dahut i jej królewskiego ojca Gradlona, nie zatrzymujemy się dłużej w Quimpar, ale ruszamy pośpiesznie tam gdzie było Is — do „Zatoki Umarłych“ — Baie des Trépassés. Zatokę strzegą z obu stron skaliste przylądki: Pointe du Van od północy i Pointe du Raz — bardziej romantyczny i groźny — od południa.

Morze jest gładkie i błękitne. Słoneczny tylko w uśmiechu białe zęby gdy oblizuje stopy skałom. Po chwili zostają na kamiennym występie sam, zawieszony między dwoma błękitnymi nieskończonościami, które rozdziela wąski grot łądu: Janusz zbiega w dół, czepiając się głazów, „tylko na pięć minut“.

Rozglądam się w poszukiwaniu dziwów — ale na próżno. Świat jest pogodny, cichy i pusty. Chwilami tylko kormoran przecina błękit niskim, prostym lotem. Kiedy indziej znużony połowem siada na skale trzepiąc w słońcu swe kształtnie uformowane skrzydła, wyginając piękną szyję. Niekiedy na gładkiej powierzchni ukazują się łodzie rybackie i po wykonaniu kilku dziwacznych obrotów i kęgów — jakby w rytualnym tańcu — znikają.

Siedzę na skale przez kilka godzin i — jak homerycki bohater „w ciemnym sercu hoduję zemstę“. Gdy mój przyjaciel wreszcie wraca włokąc łupy z wyprawy: kilka metrów liny, muszle i rozgwiadę, mówię z najśłodszym na jaki mnie w tej chwili stać uśmiechem:

— Nie zgadłbyś co widziałem...

— Ależ oczywiście, że zgaduję. Ja ją też widziałem.

— ?!

— No, oczywiście tą niegrzeczną księżniczkę Dahaut, czy raczej Morganę, bo tak się przecież teraz nazywa gdy zamieniona została w morską stworę. Wiesz? jak na syrenkę to zachowała wyjątkowo dużo szczegółów

kobiecych. No, oczywiście — Janusz uśmiecha się szelmowsko — od ciebie, tu, z góry nie było tego widać. Ale gdybyś zeszedł ze mną na dół... — i podsuwa mi pod nos rozgwiadę. Wściekły, milknę na dobre dziesięć minut.

Kermaria-an-Iskuit

Nazwa znaczy: „Dom Marii która wraca zdrowie“. Ale dekoracja wnętrza kaplicy nie nazbyt do tej nazwy pasuje. Nawę obiega — ponad łukami, zaraz u nasady dachu — fryz przedstawiający Taniec Śmierci. Ogromny i stosunkowo dobrze zachowany korowód został odkryty z pod tynku niedawno. Pochodzi z pierwszej połowy XV wieku i stanowi wyraźne naśladownictwo cyklu paryskiego (z cmentarza Niewiniątek) uważanego dziś za pierwowzór, lub przynajmniej za najwcześniejszy ze znanych Tańców Śmierci w Europie. Owa moralizatorsko-satyryczna koncepcja przeżywała u schyłku Średniowiecza pierwszy okres swej wielkiej popularności. W Kermarii idą w korowodzie, tak jak być powinno, parami: osoba przedstawiająca jakąś warstwę społeczną lub zawód oraz kościotrup. Hierarchia przestrzegana jest przy tym starannie a reprezentanci stanu duchownego i świeckiego przeplatają się: papież, cesarz, kardynał, król itd., poprzez mnicha i kupca aż do chłopca. Ale pod jednym względem cykl bretoński różni się od paryskiego pierwowzoru: występuje tu postać kobieca, gdy na cenzarzu Niewiniątek wszystkie postacie były męskie. Co więcej dziewczyna wprowadza tu zamęt w kompozycji: nie towarzyszą jej bynajmniej szkielety, a'e dwaj młodzi zalotnicy, podający jej ręce z taneczną gracją.

— „Amor omnia vincit“ — ostrzeżenie wzniosłym głosem przewodnik-wiedźma wznosząc groźnie w górę palec, potrząsając pękiem kluczy.

Wracamy do Anglii przez Dunkierkę. Statek — mały i staroświecki (w czasie ostatniej wojny używany był do transportu wojska) kołysze się na niespokojnych wodach Kanalu. Pomieszczenie dla pasażerów przypomina dekorację do sztuki o wczesnych latach międzywojennego Dwudziestolecia: coś między poczekalnią prowincjonalnego dworca a podrzędnym barem.

Na wysłanych ceratką kanapach siedzą znużeni podróżni. Obok nas przystojna Niemka i jej jowialny mąż Anglik. Córeczka nie wdała się w rodziców. Jakby ją zamieniły rusałki. Urocze, kapryśne dziecko o długich jasnych lokach i ogromnych oczach, w których blask przygód walczy o lepsze z oddaleniem, z tęsknotą, z pociągającą głębią.

Dziewczynka czesząc włosy wielkim grzebieniem wygląda zupełnie jak syrena z mizerykordii w Opactwie Westminsterskim — tyle że wzbogacona o wszystkie czary dzieciństwa. Naprzeciw niej, o kilka kroków, stoi brzydki, nieśmiały chłopczyk z paluszkiem w buzi, zapatrzony w nią z beznadziejnym zachwytem. Ma'a przywołuje go ruchami grzebienia, ale chłopczyk nie podchodzi. Smutnie, przecząco porusza głową.

Wychodzę na pokład. W mroku majaczy jeszcze Francja, lśnią światła. Gdy patrzę na ten bliski, a już niedostępny, wymykający się — nawet marzeniu — brzeg przychodzi dzika, bezsensowna chęć by zatrzymać statek, cofnąć czas, bieg wypadków, zdarzeń. By wrócić...

Chronię się przed tymi pokusami do ciepłego i dusznego wnętrza, ale tam trafiam znowu na małą Syrenę. Dostała od Janusza pudełko czekoladek i uważa że zawarliśmy już wieczystą przyjaźń. Głaszczę ją po ślicznych włosach i mówię po polsku:

— Zestarzejesz się, zbrzydniejesz. Za dwadzieścia lat najdalej uwiednieś moich Twych czarów...

Ale mała kręci głową jakby rozumiała co do niej mówię i jakby nie zgadzała się wcale. Dzieci i Syreny żyją chwilą, nie mają poczucia czasu. Nie wierzą w przemijanie.

Mieczysław Paszkiewicz

NOWE WYDANIE

głośniejszej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 f.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

Siły zbrojne państw niezaangażowanych

Jako zakończenie cyklu artykułów obrazujących w ogólnym zarysie aktualny stan sił zbrojnych na naszym globie daję dziś krótką charakterystykę wartości i możliwości sił zbrojnych państw formalnie niezaangażowanych, choć przeważnie bądź ciężających do jednego lub drugiego „bloku“, bądź korzystających, bez jakichkolwiek zobowiązań, z pomocy obu rywalizujących obozów.

Choć potencjał militarny tych państw i państweczek jest przeważnie skromny lub nawet nikły i choć ogromna ich większość dołączyłaby do ewentualnego konfliktu globalnego tylko w razie pogwałcenia ich neutralności, warto także ze stanem ich sił zbrojnych się zapoznać. Głównie dlatego, że niektóre z tych państw panują nad niezmiernie ważnymi cieśninami lub obfitują w strategiczne surowce, więc od ich pojmowania neutralności mógłby w znacznym stopniu zależeć przebieg ew. starcia w skali globalnej.

Wskutek uzyskania niepodległości przez niemal wszystkie b. kolonie brytyjskie, francuskie i holenderskie ilość tych formalnie niezaangażowanych krajów zwiększyła się ostatnio tak gwałtownie, że ich ogólny potencjał ludno-

ciowy stanowi 1/3 całej ludzkości. To też nie sposób w ramach jednego artykułu dać przegląd wszystkich tych „neutralnych“ sił zbrojnych. Nie sposób i nie warto, bo w większości wypadków znajdują się one dopiero „in statu nascendi“ i posiadają niemal tylko policyjne znaczenie. Ograniczam się do tych, które przedstawiają pewną wartość bojową i mogłyby stawić napastnikowi poważniejszy opór.

Dla lepszej przejrzystości dzielę je na cztery grupy:

— państwa związane kulturą, ustrojem, gospodarką i sympatiami z Zachodem, jak Szwecja, Szwajcaria, Austria, Unia Południowo-Afrykańska, większość państw Ameryki Południowej, Izrael, Kongo itd.;

— państwa korzystające z pomocy obu stron i lawirujące, jak Indie i Burma;

— państwa ciężące coraz bardziej ku Wschodowi i niemal wyłącznie z jego pomocy korzystające, jak Indonezja, Egipt, Kambodża itd.

— wreszcie państwa komunistyczne dotychczas przeze mnie nie uwzględnione: Jugosławia i Kuba.

W tej kolejności naświetle po krótko stan i wartość ich sił zbrojnych:

SZWECJA. Kraj ten, mający niespełna 8 milionów ludności i bardzo długie i nieprzejryste wybrzeże morskie, mógłby mimo to stawić ew. inwazji sowieckiej dość skuteczny opór. Jego siły zbrojne nie są wprawdzie duże, ale nowoczesnie uzbrojone i szkolone oraz wsparte dobrze zorganizowaną milicją, a pod względem biernej obrony przeciwlotniczej i przeciwatomowej przoduje on światu. Wojsko, składające się z 50 pułków względnie baonów kadrowych, otrzymuje nowe, bardzo oryginalne, bo bezwiewowe czołgi „S“ a lotnictwo, już obecnie liczące (4 dywizje) i nowoczesne, ma otrzymać w ciągu kilku lat 800 rewelacyjnych samolotów „Viggen-A-37“ trzech typów. Również bogata artyleria p-lot. doznaje unowocześnienia przez wprowadzenie rakiet. Flota jest wprawdzie słabsza niż bałtycka flota sowiecka, ale składa się bądź co bądź z 2 krążowników, 23 niszczycieli i fregat, 25 okrętów podwodnych, licznych trałowców, ścigaczy itd. i ma być dodatkowo wzmocniona okrętami podwodnymi i innymi jednostkami uzbrojonymi w rakiety. Przemysł wojenny jest wszechstronny i posiada dość duży potencjał produkcyjny.

SZWAJCARIA. Kraj ten również nie szczędzi wysiłków i ofiar, by ew. pogwałceniu jego tradycyjnej neutralności stawić czoło. Byłby twardym orzechem, nie łatwym do zgryzienia. Nie tylko dlatego, że jego wojsko jest dość dobrze uzbrojone i bardzo liczną milicją uzupełnione, ale przede wszystkim dlatego, że górzysty teren i silne umocnienia ułatwiłyby obronę. Unowocześnienie lotnictwa doznało zwłoki, zato obrona p-lot. osiągnęła już dość wysokie poziomy.

AUSTRIA, daleko bardziej ekspozycyjna i z trzech stron przez komunistyczne państwa otoczona, nie zdobyła się dotychczas na podobny wysiłek zbrojeniowy. Na cele obronne przeznaczona zaledwie 1,2 proc. swego dochodu narodowego. Toteż jej wojsko składa się zaledwie z 7 brygad, częściowo niekompletnie uzbrojonych i 55 (zamiast planowanych 120) kompanii ochrony pogranicza, nie posiadających broni ppanc. Broń pancerną unowocześnia się dopiero od niedawna wprowadzaniem amerykańskich czołgów M-60. Broń raketowa jest zabroniona traktatem pokojowym. Ponieważ także stan lotnictwa i obrony plot. przedstawia się arcykromnie, Austria mogłaby być ła-

two przez komunistyczne siły opanowana, a jej neutralizowanie tak czy inaczej niezmiernie wydłużyło komunikację między środkowym a południowym sektorem obronnego systemu atlantyckiego.

UNIA POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKA, której znaczenie strategiczne wzrosło szczególnie wskutek możliwego zablokowania Kanału Sueskiego, powiększyła wprawdzie swoje siły lądowe o 50 proc, nie może jednak ich naleźycie unowocześnić, a lotnictwa rozbudować, ponieważ embargo O. N. Z. spowodowało wstrzymanie dostaw sprzętu z zagranicy, a jej własny przemysł zbrojeniowy nie może ich w pełni zastąpić. Jej wojsko liczy na razie tylko 34.000, jest jednak przez silną milicję (250.000) uzupełnione. Lotnictwo ma zaledwie kilkanaście nowoczesnych myśliwców, francuskich „Mirage-3“, a flota składa się tylko z 6 niszczycieli i fregat, z których jedynie 2 są unowocześnione.

IZRAEL, zagrożony ze wszystkich stron przeważającymi i wrogimi siłami arabskimi, utrzymuje swoje jakością górujące siły w stałym pogotowiu i unowocześnia je bądź w własnym zakresie, bądź przy pomocy niektórych państw zachodnich, zwłaszcza Francji.

Pośród państw Ameryki Łacińskiej jedynie **BRAZYLIA** i **ARGENTYNA** posiadają poważniejsze siły lądowe i powietrzne, które mogłyby być częściowo także poza kontynentem amerykańskim zaangażowane. Natomiast siły morskie tych dwóch państw oraz **CHILE,** **PERU** i **WENEZUELA,** składające się w sumie z 2 lotniskowców, 9 krążowników, 46 niszczycieli, 41 fregat i 13 okrętów podwodnych, mogłyby odegrać dość istotną rolę zarówno na Atlantyku jak na Pacyfiku, gdyby wystąpiły po stronie Zachodu. Zwłaszcza, że są stopniowo unowocześniane i powiększane.

KONGO eksbelgijskie posiada wprawdzie dość liczne wojsko, uzbrojone przez Amerykę i Belgię, ale jego wartość jest widocznie mała, skoro zdołało uporać się z komunistyczną guerillą jedynie dzięki pomocy białych kondotierów.

INDIE, zagrożone przez Chiny, starają się na gwałt odrobić zaniedbania, spowodowane antymilitarnym nastawieniem Nehru. Korzystają przy tym z pomocy zarówno Sowietów jak państw anglosaskich. Wojsko lądowe, powiększone już z 560.000 do 825.000, stworzyło już 6 nowych dywizji a do 1970 r. ma ich mieć 22, w tym sporo górskich.

Również lotnictwo ma być rozbudowane i to do 45 eskadr, w tym kilka wyposażonych w sowieckie Mig-21, budowane głównie w Indiach na podstawie licencji. Przewidziana jest również rozbudowa i modernizacja obrony plot., broni pancernej oraz floty wojennej, nie mówiąc o zwiększeniu milicji do 1 miliona. Wszechstronna rozbudowa przemysłu zbrojeniowego ma być do 1980 roku ukończona. Choć produkcja broni atomowych nie jest, przynajmniej na razie, przewidywana, realizacja powyższych zamierzeń będzie możliwa tylko w razie dalszej wydajnej pomocy mocarstw, krępowanych koniecznością liczenia się bądź to z Pakistanem bądź też z Chinami.

Spośród pozostałych państw korzystających z pomocy obu pękających „bloków” jedynie BURMA posiada dość liczne, choć bynajmniej nie nowoczesne siły zbrojne, sięgające 115.000. Dzielna FIŃLANDIA dozbraja się wprawdzie, jest jednak skrupowana tylko nieco złączonymi klauzulami traktatu z Sowietami, więc ma nadal zaledwie 6 brygad piechoty i 1 bryg. pancerną, 2 fregaty i małe lotnictwo, wzmocnione ostatnio sowieckimi myśliwcami Mig-21.

Wśród państw niekomunistycznych wprawdzie, ale coraz bardziej antyzachodnich i już jedynie z komunistycznej pomocy korzystających jedynie Indonezja i Egipt zdołały stworzyć poważniejsze siły zbrojne, które mogłyby zaważyć na szali wypadków, bo Irak ma wprawdzie 4 dywizje, ale jest związany walkami z Kurdami, a Algieria, mająca ponad 60.000 wojska, cierpi dotkliwie na brak dobrej kadry oficerskiej i podoficerskiej, choć ją przeważnie w Sowietach i C. S. R. przeskala.

INDONEZJA, uzbrajana początkowo przez Amerykę a później w daleko większych rozmiarach przez Sowiety, trzyma — mimo biedy i ogromnego zadłużenia — około 400.000 żołnierzy w szeregach, nie licząc bardzo rozbudowanej milicji — oraz wojsk bezpieczeństwa wewnętrznego, ocenianych na 40.000. Jej wojsko składa się z ponad 130 baonów — razem z pancernymi i spadochronowymi, mających przeważnie sowiecki sprzęt. Tylko 20 baonów uzbrojonych jest w sprzęt amerykański, a kilkanaście w sprzęt mieszany najróżniejszego pochodzenia. Lotnictwo ma ok. 25.000 personelu i dysponuje dość znaczną ilością sowieckich myśliwców, w tym także najnowszymi „Mig-21”, i bombowców oraz amerykańskimi samolotami transportowymi starszego typu. Marynarka wojenna, której personel sięga 40.000, ma 1 nowoczesny krążownik, 7 niszczycieli, 8 fregat, 11 średnich okrętów desantowych, 12 okrętów podwodnych, częściowo coprawda unieruchomionych oraz sporo mniej-

szych i pomocniczych jednostek. Ponieważ ponadto jej ludność przekracza 100 milionów, Indonezja, niezmiernie zaborczo nastawiona, zaatakowałaby już dawno swych niedozbrojonych sąsiadów, gdyby się nie lękała otwartego konfliktu zbrojnego z Wielką Brytanią i Ameryką, tym groźniejszego dla niej, ponieważ jest izolowana i nie posiada poważniejszego przemysłu uzbrojeniowego.

EGIPT, nie mniej ambitny i zaborczy, nie posiada wprawdzie tak licznych sił zbrojnych, niemniej pod względem ich liczebności i uzbrojenia dominuje na Środkowym Wschodzie. Na szczęście dla sąsiadów przewagę tę niweluje w znacznym stopniu mała, jak wykazały walki z Izraelem i monarchistycznymi szczeplami w Jemenie, wartość żołnierza i dowództwa egipskiego. Wojsko, którego 1/3 od dwu lat walczy bezskutecznie w Jemenie, jest dość nowoczesnie uzbrojone w sprzęt sowiecki. Dotyczy to zwłaszcza broni pancernej i artylerii. Straty sprzętowe, poniesione w kampanii 1956 roku, zostały już wyrównane. Również dość liczne lotnictwo myśliwskie i bombowe jest już niemal wyłącznie w sowiecki sprzęt wyposażone, m. in. w nowoczesne „Mig-21”, nie wykazało jednak w dotychczasowych starciach niezbędego ducha bojowego i poziomu. Pod naciskiem Nasser'a i przy pomocy specjalistów niemieckich stworzono w ostatnich latach znaczny przemysł wojenny, w tym także lotniczy i raketowy, który zaczyna produkować własne myśliwce „HA-300” oraz wzorowane na sowieckich rakietach średniodystansowe „Kahir”, „Ared” i „Zafir”. Ostatnio rozeszła się pogłoska, że w poszukiwaniu możliwości dorobienia się własnych broni atomowych Egipt nawiązał kontakt z Chinami, ponieważ Sowiety odmawiają współpracy w tej dziedzinie. Nawet w razie sprawdzenia się tej pogłoski oczywiście nie prędko te bronie produkowałyby zdołał. I bez nich posiada zdecydowaną przewagę techniczną nad Izraelem. Także na morzu, bo flota egipska składa się bądź z 10 względnie 12 niszczycieli i fregat, 8 eks- sowieckich okrętów klasy „W”, 6 trałowców, 44 motorówek torpedowych i t. d. i ma niebawem otrzymać dwa okręty uzbrojone w rakiety.

Na zakończenie kilka słów o siłach zbrojnych dwu państw komunistycznych, mianowicie Jugosławii i Kuby.

JUGOSŁAWIA, przez szereg lat bokotowana przez Sowiety i ich satelitów i w związku z tym tylko przez zachodnie państwa ostrożnie dozbrajana, otrzymuje od pewnego czasu sowieckie czołgi T-54 i 55, rakiety plot. i nawet „Mig-21”. Jeśli te dostawy przybiorą większe rozmiary, poziom techniczny

jugosłowiańskiego wojska i lotnictwa, dotychczas niezbyt nowoczesnie uzbrojonego, może znacznie się podnieść. Ich liczebny stan jest od dawna stosunkowo duży. Wojsko, liczące około 235.000 żołnierzy, składa się, podług źródeł niemieckich, z 8 korpusów i 22 dywizji, częściowo skadrowanych, w tym 5 dywizji pancernych i 8 górskich. Jego uzbrojenie jest jednak mieszane, a zmotoryzowanie niedostateczne. Lotnictwo, podzielone na 6 dywizji, miało w ub. roku około 650 niezbyt nowoczesnych samolotów bojowych. Za to marynarka wojenna nie dorównuje nie tylko włoskiej, ale nawet greckiej. Niemniej taka czy inna postawa Jugosławii w ew. starciu między Wschodem a Zachodem mogłaby poważnie zaważyć na sytuacji w południowej części Europy.

KUBA otrzymała wprawdzie sporo sprzętu sowieckiego, czeskiego i polskiego, zwłaszcza artyleryjskiego i utrzymuje ogromną milicję pod bronią i w pogotowiu, jednak po wycofaniu sowieckich rakiet średniodystansowych jest groźna dla Ameryki tylko jako ośrodek dywersji oraz potencjalna baza sowieckich okrętów podwodnych. Ilość sowieckich instruktorów i specjalistów wojskowych zmalała podobno w ostatnich miesiącach bardzo znacznie. Rzekomo wycofano do Sowietów również aparaturę naprowadzającą rakiety przeciwlotnicze „SA-2”, wobec czego amerykańskie samoloty rozpoznawcze mogą bezkarnie nad Kubą latać. Niemniej i mimo niezaatakowania amerykańskiej bazy morskiej Guantanamo, utrzymywanej nadal we wschodniej części Kuby jest ona nadal dokuczliwą i potencjalnie niebezpieczną drzazgą w „miękkim podbrzuszu” amerykańskim, której usunięcie byłoby w razie konfliktu światowego niezbędne a nie tak łatwe jak przed kilku laty.

Kazimierz Głabisz

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Z pewnymi zmianami organizacyjnymi w życiu literackim zbiegł się nagle okres wzmożonej działalności na tym odcinku spraw kulturalnych, który przez dłuższy czas znajdował się w stanie stagnacji. Nawet ubytki w szeregach pisarstwa polskiego w Kraju znalazły szybkie i mocne echo w Londynie. Chodzi tu o zgon Marii Dąbrowskiej (1889-1965) niewątpliwie największej postaci dzisiejszego pisarstwa polskiego. Zaktywizowany ostatnio Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził w niespełna dwa tygodnie po zgonie wielkiej pisarki wieczór poświęcony Marii Dąbrowskiej. W wypełnionej sali sztandarowej Instytutu im. gen. W. Sikorskiego, zebraniu przewodniczył nowy prezes Związku T. Terlecki, dając sylwetkę biograficzną zmarłej, podnosząc jej wysoką rangę pisarską i moralną. Jan Rostworowski odczytał następnie swój wiersz okolicznościowy o charakterze refleksyjnego trenu pt. „Żal o Marii Dąbrowskiej“. Szczególnie odkrywczy był głos Stanisławy Kuszelewskiej-Rayskiej, która nie tylko podkreśliła prostotę i odwagę Dąbrowskiej w życiu i twórczości, ale również wysunęła na czoło jej twórczość dramatyczną, złożoną z 3 utworów, uznając „Stanisława i Bogumiła“ za szczytowe osiągnięcie dramatycznej literatury polskiej. (Urywki tego dramatu napisanego w latach 1945-47, czytane były 22 lutego 1952 r. na wieczorze w „Domu Pisarza“, połączonym ze wspomnieniem Herminii Naglerowej o Dąbrowskiej — patrz: „Orzeł Biały Nr. 505). Kuszelewska podkreśliła przy tym trudności, jakie Dąbrowska napotykała w eksponowaniu swych dramatów.

Drugą trójkę mówców rozpoczął prof. W. Günther, który poza wspomnieniami ze spotkania z pisarką w Beogradzie zatrzymał się dłużej nad odтворzeniem klimatu życia polskiego na wsi przedstawionego głównie w jej nowelach. Prof. J. Bujnowski starał się wydobyc nowe i odrębne cechy pisarstwa Dąbrowskiej w perspektywie historyczno-literackiej, podkreślając trwałe składniki jej stylu artystycznego. Wreszcie red. W. Wóhnot poruszył społeczne oblicze Dąbrowskiej i sprawę jej obiektywnego stosunku do emigracji, któremu dała wyraz po swym

pobytku w r. 1956 na Międzynarodowym Kongresie PEN-Club'ów w Londynie. Na zakończenie T. Terlecki odczytał niedrukowany utwór Dąbrowskiej poświęcony sylwetce ludzkiej i pisarskiej Tadeusza Sułkowskiego, z którym łączyła ją długogletnia korespondencja, po dwukrotnym zaledwie spotkaniu osobistym.

Żeromski i Conradiana

Poza wzmożoną działalnością „Kontywentów“ okres ożywienia rozpoczął nieco spóźniony już wieczór poświęcony Stefanowi Żeromskiemu z okazji obchodów 100-lecia jego urodzin. Zebraniu przewodniczył wice-prezes Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie Józef Garliński, w zastępstwie chorego prezesa ówczesnego, W. Wóhnota. Po krótkim zagajeniu wskazującym na zainteresowanie jakie budzi wciąż twórczość Żeromskiego nie tylko wśród Polaków, ale i obcych, dr Wit Tarnawski w bardzo rzetelnie opracowanym odczycie przedstawił wielkość i uchybienia pisarstwa Żeromskiego, jego wysoki nurt ideowy i niedobory kompozycyjne lub artystyczne. Następnie Józef Opieński odczytał kilka fragmentów prozy Żeromskiego.

Wątek literacki przewijał się nie tylko w zebraniach czysto pisarskich, ale również i poprzez zebrania naukowe. Tu wspomnieć należy o referacie młodego polonisty Andrzeja Buszy, który referował swą pracę magisterską na zebraniu Polskiego Towarzystwa Naukowego mówiąc o „polskim zapleczu Conrada“. Na zainteresowanie Conradem wskazuje m. in. bibliografia ogłoszona przez Edmunda A. i Henry T. Bojarskich „Conrad Joseph, A Bibliography of Master's Theses and Doctoral Dissertations, 1917-1963. Jest to okolicznościowe wydawnictwo powielane Księgarni w Kentucky, zawierające 33 stron druku. (Lexington 1964).

Do tej kategorii wieczorów zaliczyć należy również odczyt dr Marii Danilewiczowej pt. „Tadeusz Grabianka, król nowego Izraela“ wygłoszony na zebraniu połączonym Polskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towa-

rzystwa Historycznego w Instytucie im. gen. W. Sikorskiego. Poświęcony on był barwnej postaci pisarza, masona i mistyka, której specjalną monografię poświęcił prof. J. Ujejski. Prelegentka na podstawie bogatego materiału przedstawiła w szczegółach dzieje tego zamoznego arystokraty polskiego, który dzięki swym zasobom i talentom osobistym miał duże wzięcie w ówczesnym świecie międzynarodowym w Europie.

Szczególny zupełnie charakter miał wieczór w Polskim Towarzystwie Historycznym, na którym dawna jego sekretarka, a obecnie siostra zakonna Jolanta Jurkiewiczówna mówiła na temat działalności dziennikarskiej, pisarskiej i misyjnej w Afryce Matki Terezy Ledóchowskiej. Szczegółowa znajomość rozlicznych prac dokonanych przez założycielkę zakonu Sióstr Misjonarek św. Klawera połączona z religijnym oddaniem się sprawie prelegentki stworzyło nastrój nie spotykany na zwykłych zebraniach naukowych Towarzystwa. Przewodniczył gen. M. Kukiel.

Z zebrzań czysto literackich wspomnieć jeszcze należy o wieczorze autorskim Zbigniewa Grabowskiego zorganizowanym przez „Kontyenty“, które ukazują się regularnie i organizują swe miesięczne obiady dyskusyjne. W numerze majowym na pierwszym miejscu figuruje artykuł Bohdana Brodzińskiego pt. „O Ośrodek polski w Londynie“, będący pozytywnym echem kwietniowej dyskusji na ten temat. Kończy go wniosek: „Koniunktura i klimat społeczny są sprzyjające dla idei Ośrodka. Potrzebne jest śmiałe i energiczne realizowanie tej idei“. Inna kolacja literacka poświęcona była omówieniu książki Polki J. David (skrót: Dawidowiczówny) napisanej po angielsku: „A square of sky“, osnutej na przeżyciach z getta warszawskiego.

Wracając do spraw literackich tu chyba miejsce na zanotowanie, że pojawił się I „Zeszyt Naukowy“ Wydziału Humanistycznego Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, na który składa się praca polonistyczna związana z utworem poetyckim. Jest nią Krystyny Ganther „Funkcja składni w ukształtowaniu rytmicznym utworu“. Oparta jest ona na materiale „Ballady o chorym księżycu“ Beaty Obertyńskiej.

Poezji i to dość niesamowitej poświęcony był wieczór urządzony w Polskiej YMCA. Wypełnił go odczyt Konrada Krupskiego o „Poezji obozowej“, przy czym przez obóz należy rozumieć „Obóz koncentracyjny w Dachau“. W długim wstępie biograficznym prelegent wspomniiał o swych pierwszych próbach pisarskich sprzed wojny, omówił szczegółowo swój pobyt w Dachau i zakończył zapowiedzią wydania 3 tomów pa-

mieśników: I — Niepodległość, II — Wojna, III — Obczyzna. Następnie przeszedł do odczytywania wierszy wybranych z 60 napisanych w Dachau, które mają się ukazać w osobnym tomie, na który złoży się komentarz pt. „Sympozjon Skazańców“, którego pisanie rozpoczął w roku 1959. Z odczytanych potem wierszy wynika, że mają one jedynie wartość dokumentarną, bo na ich stronie artystycznej musiały zaciążyć mocno niesprzyjające warunki ich powstania.

Polskie sprawy literackie przejawiały się ostatnio również i na czołowych łamach niektórych pism obcych. Można tu wspomnieć artykuł redakcyjny „Times Literary Supplement“ nawiązujący do wydanej po angielsku książki Jerzego Andrzejewskiego „Idzie skacząc po górach“, aby omówić potem całą sytuację twórczości literackiej w Polsce. Powołuje się przy tym na wypowiedzi Czesława Miłosza ze wstępu do nowej francuskiej antologii poezji polskiej, gdzie mowa o ascetyzmie młodej poezji polskiej i o „przewyciężeniu rozumem paraliżu woli spowodowanego pokusą absurdu“ u Zbigniewa Herberta.

Nagrody literackie

Stąd skok do niepowodzenia, jakie spotkało polskiego pisarza poza Krajem. „Międzynarodową nagrodę literacką“ przyznawaną w St. Raphael otrzymał Amerykanin Samuel Belov za powieść „Herzog“, mimo szans jakie miał Witold Gombrowicz za swą powieść przedwojenną „Ferdydurkę“ (tłumaczoną na „Seduction“).

Niemniej na pisarzy i amatorów spadł ostatnio nowy deszcz nagród. W prasie ukazał się komunikat Zw. Pis. Pol. pt. „Nagrody Literackie“, który głosił: („Przed Walnym Zebraniem) w dniu 5 maja br. jury w składzie: Michał Chmielowiec, Waclaw Grubiński, Ryszard Kiernowski, Ignacy Wieniewski, Wiesław Wohnout (przewodniczący) — przyznało za rok 1964 następujące nagrody literackie:

„Nagrodę im. Herminii Naglerowej, £ 50, ufundowaną przez mec. M. Chmielowskiego — Edwardowi Raczyńskiemu;

„Nagrodę Domu Polskiego im. gen. W. Sikorskiego w Glasgow, £ 50, ufundowaną przez Tow. Społeczno-Oświatowe w Glasgow — Mieczysławowi Lisiewiczowi;

„Nagrodę A. K. dol. 100, ufundowaną przez Oddział Koła A. K. w Detroit — Edwardowi Chudzyńskiemu.

„Podczas posiedzenia jury, fundatorów nagród reprezentowali: Dom Polski im. gen. W. Sikorskiego w Glasgow — Pani Helena Sikorska, Oddział A.K. w Detroit — mjr. Franciszek Miszczak.“

Niezależnie od tego przyznana została „Nagroda Publicystyczna“. Według ko-

munikatu: „Jury w tym składzie przyznało nagrodę publicystyczną ufundowaną przez firmę TAZAB — Aleksandrowi Bregmanowi. W obradach jury uczestniczył przedstawiciel fundatora dyr. firmy TAZAB, Tadeusz Zabłocki. Nagroda wynosi £ 50.

„Posiedzenie jury odbyło się w dniu 5 maja 1965 b. r. w „Ognisku Polskim“ w Londynie.

Nieco wcześniej ogłoszone zostały wyniki konkursu autorskiego „Tygodnia Polskiego“, którego jury w składzie: Lidia Ciołkoszowa, Jan Tokarski i Waclaw Zagórski przyznało następu-

WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU PISARZY

O „Walnym Zebraniu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie“ ukazał się następujący komunikat: „8 maja br., w salach Ogniska Polskiego, odbyło się doroczne Walne Zebranie Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Przewodniczył Józef Bujnowski. Po udzieleniu absolutorium ustępującemu Zarządowi, w skład nowego Zarządu weszli: Tymon Berlecki — przewodniczący, Zygmunt Bohusz-Szyszo, Czesław Dobek, Adolf Fierla, Józef Garliński, Władysław Gueather, Barbara Kozłowska-Mękarśka, Teodozja Lisiewicz, Olga Żeromska, Józef Żywina.

„Komisja rewizyjna: Józef Bujnowski, Zygmunt Kotkowski, Stefan Legeżyński. Sąd koleżeński: Waclaw Grubiński, Zofia Kozarynowa, Marian Kukiel, Juliusz Sakowski, Ignacy Wieniewski.“

Nie zamierzając bynajmniej wchodzić w kontrowersyjne momenty zjazdu które stanowić mogą raczej sprawę wewnętrzną organizacji, wypada jednak zauważyć ogólnie, że zjazd ten był i bogatszy w treść i bardziej interesujący, aniżeli wynikało z suchego komunikatu. Było to jedno z bardziej ożywionych i dobrze obesłanych Walnych Zebrań Związku, przy udziale kilkudziesięciu członków, obecnych osobiście lub reprezentowanych przez kolegów. M.in. ustępujący prezes miał sposobność podnieść udział pisarzy emigracyjnych w protestach przeciw temu, co się dzieje w stosunku do pisarzy w Kraju oraz wyliczyć nagrody, do których Związek się przyczynił, jak również wspomnieć o wieczorach urzędzonych przeważnie dla pisarzy goszczących w Londynie.

Z dalszych spraw konstruktywnych, którymi zajmował się zjazd, wymienić można referat gen. Z. Bohusza-Szyszki i wnioski, do jakich doszła specjalna komisja w sprawie zadysponowania Domem Pisarza oraz przyjęty jednogłośnie wniosek o przystąpienie Związku do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kultu-

jące nagrody: 1). — 100 dol. za relację „Mamy pełne prawo“ autora przebywającego w Polsce, 2) — 100 dol. za esej „Plebiscyt i Koziół“ Klary Evans z Londynu. Nadto wyróżniono prace S. W. Wojstomskiego i F. Wysloucha z Londynu, pracę anonimowej autorki z Kraju, pracę J. Miczyńskiej z St. Zjednoczonych oraz pracę J. T. Lewandowskiej i A. Podhorodeckiej z Londynu.

Należy przypuszczać, że lista tych laureatów nie wyczerpuje wszystkich nienagrodzonych rzetelnych talentów piszących na emigracji.

Walnego w Londynie. Poruszano też sprawę kontaktów z rozproszonymi po całym świecie pisarzami polskimi i przesłano życzenia powrotu do zdrowia kolegom, którym choroba nie pozwoliła wziąć udziału w zjeździe, m.in. R. Kiernowskiemu, M. Chmielowcowi (Samborowi), J. Kisielewskiemu, itd. Mimo, że młode pokolenie nadal było w znikomym procencie reprezentowane na zjeździe, wydaje się, że jak gdyby trochę nowej energii wstąpiło w szeregi członków Związku. Wykorzysta ją zapewne nowy prezes, mimo, że w składzie zarządu zaszły niewielkie zmiany: Napoleona Sądka zlużowała O. Żeromska.

WIRTUOZI JĘZYKA MATEMATYCZNEGO

Skoro już tyle było mowy o sprawach literatury języka naturalnego, nie od rzeczy będzie poruszyć kilka zaniedbanych bardzo spraw związanych z wirtuozowskim użyciem jednego z języków sztucznych, jakim jest matematyka. Sposobność do tego dają echa, jakie nas dochodzą z działalności dawnego londyńczyka, a dziś profesora nadzwyczajnego matematyki na Uniwersytecie Maryland pod Waszyngtonem. I w tym roku, jak i w poprzednich, jest zastępcą kierownika specjalnego kursu wakacyjnego na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. To stałe wyróżnienie świadczy o wysokim poziomie wiedzy matematycznej jaką on reprezentuje w Stanach Zjednoczonych. Ale czy tylko on sam? Bynajmniej.

Jest tam w New Mexico, S. Ulam, jeden ze współtwórców bomby atomowej, Jerzy Neyman, w Berkeley, Kalifornia, twórca szkoły statystyki matematycznej na Zachodzie, jest Antoni Zygmund, profesor matematyki w Chicago i twórca matematyki, jest Z. Birnbaum, uprawiający statystykę matematyczną, był do niedawna Witold Hurwicz, analityk, dziś już nieżyjący, jest Marek Kac z Rockefeller Institute, N. Y., kierownik wydziału matematy-

„KAWAŁEK NIEBA“ JANINY DAVID

cznego, sam teoretyk prawdopodobieństwa, był do niedawna Marek Fisz, statystyk, na Uniwersytecie Nowojorskim, dziś już nieżyjący, jest Z. A. Łomnicki (syn matematyka), sam statystyk matematyczny, i jest analityk O. Nikodym, którego imię nosi odpowiednie twierdzenie matematyczne. Dlaczego o nich mowa, tu w związku z literaturą? Bo właśnie w „Literaturze Polskiej na Obczyźnie 1940- 1960“ w odpowiednim rozdziale na str. 559 nie ma o nich mowy.

Natomiast są tam fatalne (śmiertelne) pomyłki. W r. 1942 zmarł wielki polski matematyk, ale nie Stanisław K. Zaremba, ale tylko Stanisław Zaremba, (wystarczy zajrzeć do „Małej Encyklopedii Powszechnej“ str. 1095), natomiast Stanisław Krystyn Zaremba też matematyk, doc. U. J. żyje zapewne w dobrym zdrowiu i wykłada na Uniwersytecie w Swansea (wystarczy zajrzeć do XIV Rocznika P.T.N. na Ob. za rok 1963-64, str. 5). Pomyłono tam też Pawła Kucharskiego nie matematyka, z Witoldem Kucharskim bodaj fizykiem, mimo, że na tej samej stronie mowa o Pawle Kucharskim, filozofie i historyku filozofii, o którym jest więcej na str. 562, 564 i 565, ale to już w rozdziale innego autora.

Nie każdy, kto się zna na matematyce, lub umie matematykę — jest matematykiem. W tym sensie nie jest nim Paweł Szynkaruk, metrolog. Tę naręcz nieobpatrzeń i przeoczeń, ustaloną przy wydatnej pomocy prof. dr Ryszarda Syskiego umiejącego matematykę, znajdującego się na matematyce i będącego matematykiem, należy przyjąć z wdzięcznością i bez obrazy, razem z dalszymi wiadomościami. A mianowicie, że M. Kac i A. Tarski zostali wybrani na członków najwyższej instytucji naukowej w Ameryce, jaką jest National Academy of Science, zresztą razem z Davidem Blackwellem z Berkeley — pierwszym murzynem w historii Amerykańskiej Akademii Nauk. Jak również, że pracuje w Ameryce jako matematyk dr Witold Bogdanowicz z Uniwersytetu Warszawskiego, który przybył w r. 1962 do Stanów Zjednoczonych i po pobycie w Maryland został profesorem na Georgetown University w Waszyngtonie i przeniósł się do Catholic University. Tadeusz Leser jest wykładowcą matematyki na Uniwersytecie w Delaware.

Jest też prof. nadzw. dr Tadeusz Późniak, w Buffalo, Canissuis College, a Cecylia Kriege- Dunaj prof. nadzw. w Uniwersytecie w Toronto (Kanada). Z Polski przybył też do Instytutu Technologicznego w Illinois prof. dr Krzysztof Tatarkiewicz. Matematyka jest wielką, a Polacy są jej prorokami.

J. Ostrowski

Hutchinson of London w serii „New Authors“ wydał książkę, która powinna zainteresować i do głębi przejąć wszystkich Polaków. Tytuł książki: „A Square of Sky“; autor Janina David.

Janina David, albo po polsku Dawidowicz, jedna z całej swojej rodziny uszła pogromowi hitlerowskiemu. W swej książce opisuje przeżycia dziesięcioletniej dziewczynki w tym przerażającym świecie getta warszawskiego.

Krytycy stawiają „A Square of Sky“ obok pamiętnika Anny Frank, który uzyskał rozgłos jako autentyczne świadectwo dziecka przeciw zbrodni hitlerowskiej. Opowieść Janiny Dawidowicz o tyle jest podobna do pamiętnika Anny Frank, że zawiera historię ludzi żywych, ludzi, którzy kiedyś istnieli i działali, starali się przeżyć i zginęli. Podobnie jak w słynnym pamiętniku, w książce Dawidowicz brak jest „dorośłych wypowiedzi, politycznych zaangażowań, nienawiści i oskarżenia.

Dziesięcioletnia dziewczynka opisuje to co widzi, to co robi, to co czynią jej rodzice walczący o przeżycie całej rodziny.

Zasadniczą różnicą między Anną Frank i Janiną Dawidowicz jest to, że Janina pisała swoje pamiętniki w wiele lat po wojnie, gdy już była całkowicie świadomym i wykształconym człowiekiem. Pisała je patrząc wstecz i to właśnie uczyniło z pamiętników literaturę piękną, powieść o wielkiej wartości literackiej.

Zaczyna się tuż przed wojną, na wakacjach w polskiej wsi, gdzie Janina szczęśliwa i zajęta tylko swymi troskami dziewczynki zaczynającej życie biega po sadach i polach w towarzystwie swych rówieśników. Rodzice Janiny są majętni i dziewczynce niczego nie brak. Zaczyna się wojna, z prowincjonalnego miasta na zachodzie Dawidowicz przenoszą się do Warszawy. Po wejściu Niemców i rozpoczęciu się represji, decydują się na powrót do rodzinnego domu. Ale tu mogą przeżyć tylko krótki czas, Niemcy rekwirują dom, rodzinę wyrzucają i grozi im zniszczenie. Następuje dramatyczna ucieczka matki z córką, perypetie, które kończą się jak u tyłu Żydów polskich w getcie warszawskim.

Tu w ciągu dwóch lat przenosząc się z miejsca na miejsce, z domu do domu, rodzina Dawidowiczów stara się przeżyć czas do końca wojny, do powrotu normalnych stosunków, normalnego życia. Głód, walka z niedostatkiem, nieszczęście ludzkie i ludzką małość są tłem

opisów Janiny, która jako dziewczynka bierze udział w walce o życie. Jednocześnie bawi się z rówieśnikami, biega po ulicach, uczy się w tajnej szkole wciąż myśląc o tym, że pewnego dnia wszystko zle się skończy i zacznie się na powrót życie takie same jak przed katastrofą.

Matka Janiny zużywająca wszystkie swe siły, by utrzymać rodzinę przeżywa tragedię. Oto zachodzi w ciążę i traci dziecko przez poronienia. Janina tak opisuje scenę, gdy przyszedł do matki doktor:

„Gdy wszystko się skończyło, wróciłam do naszego pokoju i kucnęłam w najciemniejszym kąciuku. Doktor siwy, po ojcowsku strapiony siedział na brzegu łóżka, trzymał Mamę za rękę i ocierał łzy z jej twarzy.

„Moje biedne dziecko — mówił — moja biedna, mała dziewczynko. Natura jest najmądrzejszą z matek i im dłużej żyję i pracuję, tym bardziej jestem przekonany, że musimy jej zaufać. Ty byś nigdy nie donosiła dziecka przy twoim obecnym stanie zdrowia. Jesteś cienka, chuda jak trzcinka i to jedzenie, jakie możesz zdobyć, wystarczy zaledwie, aby utrzymać siebie przy życiu. Jak mogłabyś wyżywić jeszcze jedno stworzenie żyjące wewnątrz ciebie? Poczekaj aż wojna się skończy. Wtedy będziesz mogła mieć tyle dzieci, ile zechcesz. Teraz musisz myśleć tylko o sobie, aby wyzdrowieć. Nadchodzą jeszcze cięższe czasy dla nas. Musisz być silna, moje dziecko, jeżeli chcesz to przeżyć.“

„Monotonny głos doktora przerywały łkania Matki.

„W swoim ciemnym kąciuku pomyślałam zaskoczona, że nigdy nie słyszałam, aby ktoś mówił do Matki: Moje biedne dziecko“.

Z domu, do domu, z jednego zatłoczonego pokoju, do drugiego. Z ulicy na ulicę wciąż starając się o pracę i o jedzenie borykała się w strasznym świecie mała komórka rodzinna, jedna z wielu w Getcie. Wszystkie te ludzkie istnienia wojna, przemoc, okrucieństwo zredukowały do stanu zagonionych zwierząt.

Jak mrowki, gdy but człowieka rozbije im mrowisko, biegali przerażeni przenosząc swe tobołki, szukając nowego schronienia, odbudowując nory i korytarze podziemne.

Wśród tej atmosfery katastrofy i nieszczęścia mała Janina uczy się, zdobywa nagrodę za wypracowanie o renesansie; zawiera przyjaźnie i notuje

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

PROWADZI WŁASNĄ KSIĘGARNIĘ SPK

- bogato zaopatrzoną w prasę, wydawnictwa emigracyjne i krajowe,
- posiadającą skład główny (na zasadzie wyłączności) wszystkich wydawnictw: INSTYTUTU IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO, POLSKIEGO TOW. HISTORICZNEGO W WIELKIEJ BRYTANII, POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- zaopatrzoną we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych.

★

Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najważniejszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

sposprzeżenia, które dzisiaj nam przekazuje. Widzi ona wszystko co się dzieje dokoła, ale nie czuje ani goryczy, ani nienawiści. Niemcy, Ukraińcy strzegący Getta i przeprowadzający łapanie są dla niej dalekimi niewytłumaczalnymi siłami, jak te siły, które powodują trzęsienie ziemi.

Dokoła Janiny żyją ludzie, jej towarzyszkami zabaw, rodzina, współlokatorzy, żebracy na ulicy, dzieci szkolne, mieszkańcy nor i pasażerowie tramwajów przewożących przez Getto szczęśliwych mieszkańców drugiej strony muru.

Wszystkie te postacie są w książce wspaniale opisane. Pani Kraut głodząca męża i zjadająca się ciastkami, zamykająca żywność na klucz, Rachela wiecznie głodna, wielka dziewczyna, która poleci na wezwanie niemieckie, na oszukańczy apel obiecujący pracę i jedzenie i w swym ślubnym stroju, w sukni jedwabnej na fiszbinach wstąpi do bydlęcego wagonu wiozącego Żydów do Treblinki, tak jakby szła na wesele.

Dziwna Lydia, pomieszanie dobroci z lekkomyślnością. Jej rodzina Dawidowiczów zawdzięcza przeżycie dwóch lat jako tako, a Janina ocalenie.

O matce i ojcu pisze Janina zawsze używając dużych liter.

Rodzice Janiny są właściwymi bohaterami książki. O nich pisze najwięcej, im dedykuje książkę, dla nich przede wszystkim ta książka została napisana.

Losy Janiny Dawidowicz były niezwyczajne. Po zakończeniu wojny z początku osiedliła się we Francji, potem przez dziesięć lat żyła w Australii i tam skończyła studia socjologiczne. Obecnie na stałe przebywa w W. Brytanii, w Londynie pracując jako socjolog w jednym ze szpitali.

Janina Dawidowicz nie chce przyznać, że napisała powieść, że stworzyła dzieło literackie wysoko oceniane i mające znamiona wielkiego talentu.

Dla niej ta opowieść o Getcie jest splątą długi wobec umarłych, przede wszystkim wobec rodziców. Oni poświęcili się dla jej ocalenia, oni świadomie idąc na śmierć zapewnili jej życie. Z obowiązku wobec nich napisała książkę. Ale i to nie było proste. Z początku leżąca jak ciężar ogromny przeszłość domagała się wyzwolenia i Janina czyniła zapiski, notując wspomnienia, przeprowadzając z wprawą psychologa autoanalizę sięgając do pamięci dziecka.

A kiedy zebrałszy kilkaset stron tych notatek zaczęła je przeglądać, pomyślała, że w jakiś cudowny sposób powstała z tego całość. I nieśmiało zaproponowała to wydawcy. Wydawca natychmiast zaakceptował i w ciągu sześciu miesięcy od złożenia manuskryptu wyszła książka.

Jest coś mistycznego w powstawaniu tego drukowanego świadectwa nie

tyle zbrodni, nie tyle nieszczęścia, ile miłości rodzinnej.

Tak jak autorka oparła się wszelkim spojrzeniom retrospektywnym na swoją przeszłość, tak jak uchroniła się od goryczy, nienawiści i zaangażowania, tak samo swoje najgorętsze uczucia zachowuje tylko dla siebie.

Janina Dawidowicz posiada, jak sama mówi, trzy języki rodzinne: polski, francuski i angielski. W każdym potrafi wysłowić się swobodnie i zdawałoby się, że książkę o swojej młodości powinna była napisać po polsku, w języku swoich rodziców.

Lecz twierdzi, że właśnie pisanie po angielsku pozwoliło jej zachować dystans, równowagę i nie wpaść w żal, rozgoryczenie. Po polsku trudno byłoby jej zapanować nad uczuciami, które rozsadziłyby tok opowiadania.

Jest w tej książce pewien angielski „detachment“, „disengagement“ właściwy nie tylko angielskiemu językowi, ale angielskiej postawie wobec życia. Jednak kiedy Janina Dawidowicz mówi o swej książce świetnym, bogatym językiem polskim zaangażowanie się uczuciowo wraca. A swoją drogą trzeba podziwiać olbrzymie zdolności językowe autorki. A Square of Sky napisała po angielsku — nie tłumaczyła myśli z polskiego, formułowała je w języku angielskim, tak jakby urodziła się Angielką. Wydawca zmienił w jej skrypcie dwa słowa, które uznał za amerykańskie.

Czy znajdzie się tłumacz polski zdolny oddać ten dziwny ton „Skrawka nieba“?

Książkę Janiny Dawidowicz powinien przeczytać każdy Polak, a przetłumaczona na polski na pewno zrobi wielką karierę w literaturze polskiej.

Czesław Dobek

BIBLIOTEKA „KULTURY“
Tom XCIX

Wincenty Witos MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S. W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

ASTEROIDY — NIKE I SKARABEUSZ

Bez mała trzy czwarte zbioru opowiadań Danuty Mostwin, pt. „Asteroïdy“, wydanego przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie, zajmują, jak przystało na autorkę interesującej powieści „Ameryko, Ameryko!“, sprawy polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych. Tym razem jednak autorka pokazuje nam głównie sprawy i wydarzenia, związane z życiem „starej emigracji“. Już z tytułu samego tematu książka miała by prawo do naszego zainteresowania z uwagi na wielkie ubóstwo naszej literatury w tej dziedzinie; ale zbiór opowiadań p. Mostwin ma też inne, ważniejsze powody dla polecenia go czytelnikowi. Powody te są bardzo przekonujące: po prostu „Asteroïdy“ to bardzo dobrze napisana książka. Bohaterowie i bohaterki nowel p. Mostwin są tak krepująco żywi i przekonujący, że chwilami czujemy się, jak niedyskretni świadkowie obcych, intymnych przeżyć. A galeria tych bohaterów jest duża, o dużej rozpiętości typów psychologicznych i zagadnień: stary Kramarz, odmawiający sobie niemal wszystkiego, aby tylko nie wydać oszczędności całego życia, Błażej Twardowski, twardy dla siebie i innych, ale nie umiejący odmówić prośbom z Kraju, migawkowo pokazany M. Komyski, który „ma papiery“, pobity życiowo inżynier Wiśniewski (to już „nowa“ emigracja) i wreszcie może najplastyczniej, najwnikliwiej narysowane bohaterki opowiadań z Kraju: walcząca o siebie i swoich owdowiała Paulina i beznadziejnie, bez przyszłości zakochana Anna. Może to, że autorka jest sama kobietą pozwoliło jej na taką głębię odczucia tych dwóch ostatnich postaci. Styl p. Mostwin jest oszczędny, zwięzły, nie marnujący słów na darmo; dialogi płyną naturalnie, swobodnie, po ludzku. Autorka nie potrzebuje ubiegać się o uwagę czytelnika wymyślnym zwrotem stylistycznym, szkować go niezwykłością wydarzeń; jej opowiadania są proste, ale proste przekonującą prostotą życia. Czytelnik czuje, że tak właśnie być musiało, że tak w danej sytuacji zachowali się ci ludzie. Słowem, książka budząca zainteresowanie i szacunek uczciwością podejścia autorki do tematu i do czytelnika. Okładka i ilustracje Ireny Ludwíg utrzymane są w tonie i nastroju opowiadań.

„Nike i Skarabeusz“ Wiktora Trościanki, również wydane przez Polską Fundację Kulturalną, to książka podróżnicza. Czytelników, którzy nie lubią książek podróżniczych, uważając (słusznie!), że przeważnie należą one do jednej z dwóch kategorii: zbioru anegdot z podróży, nie dającego pełnego obrazu

rzeczy widzianych, albo też podmalowanych beletrystycznie statystyk, muszą od razu na wstępie uspokoić; książka Trościanki nie należy do żadnej z wyżej wymienionych grup. Autor to przemilczył gawędziarz, który przy tym wie bardzo dużo, ale przemycił swoją wiedzę umiejętnie, bez nacisku, bez podkreślania: patrzcie, ile ja wiem! W jego towarzystwie odwiedzamy Grecję, Konstantynopol, zaglądamy do legendarnego Adampolu, rzucamy okiem na wybrzeże Małej Azji, pielgrzymujemy do Ziemi Świętej i wreszcie zamykamy nasz wóaż Egiptem. A po drodze dowiadujemy się wiele z historii, geografii, mitologii, zagadnień religijnych — i przyjmujemy te wiadomości lekko, bez oporu, jak gdyby w rozmowie z sympatycznym znajomym. Oczywiście, nie byłby Trościanko Polakiem, gdyby mu wszystko ciągle nie przypominało Kraju: odjazd statku z portu w Pireusie to wypisz wymaluj odjazd pociągu ze stacji w Buksztach, Morze Egejskie wita cytata z Słowackiego, Galata kojarzy się mu z „palmą męczeńską“ Zagłoby, Jordan — to wykąpana Wilejka, albo Żejmiana, flagi libańskie najwyraźniej wzorowane są na chorągiewkach Trzeciej Karpackiej — przykłady tego patrzenia przez „polskie okulary“ można by ciągnąć w nieskończoność. W takiej atmosferze czytelnik polski czuje się swojsko i, co tu gadać, dobrze. Bardzo miła książka! A ilustracje Tadeusza Orłowicza, nawiązujące do rzeźb, rysunków i architektury zwiedzanych przez autora krajów, stanowią doskonale otwarcia poszczególnych rozdziałów.

S. Wóycicki

WYSTAWA GIGANT

Obecna „letnia“ wystawa Królewskiej Akademii to gigant ilości, ponad tysiąc sześćset dzieł sztuki. Kto wystawia? Każdy może się zgłosić kto maluje lub rzeźbi, wpłacając jednego funta, i dostarczając na wystawę od jednej do trzech prac. Nie tylko więc Anglicy ani tym bardziej „Akademicy“. Są więc i Polacy, ale, jak na mój gust, jest ich zbyt mało, jeżeli weźmiemy choćby najbardziej znane nazwiska z samego Londynu.

Słysz się nieustanne krytyki, że prace wystawiane przez Królewską Akademię forytują malarstwo przebrzmiałe. Jest w tym sporo prawdy ale nie cała. Albowiem malarstwo angielskie nigdy nie szło w sposób równoległy z kontynentalnym. Co prawda dogania tamto, ale statecznie — nie spiesząc się.

Kipiąca słońcem nadśródziennomorska Europa to jedno, a kraj wdzięczny,

za każdy promyk słońca, które przebijają się przez chmury, to nie to samo. Sztuka jest odbiciem rzeczywistości a więc krajobrazu i człowieka poprzez artystę. Artysta angielski widzi dobrze kształt, ale jego kolory są takie, jakie podaje mu tutejsza przyroda; nie palą kontrastami. To jakby niedomaganie w kolorze, anemia pod tym względem, wyrównywaną jest rysunkiem. Anglicy umieją rysować.

Przeglądnięcie wystaw Królewskiej Akademii świetnie orientuje nie tylko co malują Anglicy, ale co się im podoba. Każda bowiem taka wystawa do kieszeni artystów wprowadza kilkadziesiąt tysięcy funtów. Wystawienie w Royal Academy daje pieczęć jakości, przynajmniej jeżeli nie krytykom to szerokiej publiczności.

Nawet nie próbuję wymieniać wystawiających, gdyż mimo sporej pojemności „Orla Białego“ teraz gdy stał się miesięcznikiem, musiałyby oddać mi cały numer na to sprawozdanie. A poza tym sam radziłem jego znakomitemu Redaktorowi, by tępił „ogniem i mieczem“ dłuższe artykuły. Z masy podobnej i zasadniczo nierewelacyjnej dla krytyka, wybija się duży obraz John Bratby'ego: „Golgota“. Bratby w odróżnieniu od wielu innych malarzy, umie rysować. Z kolorem nie jest już tak dobrze, ale rysunek „first class“. Obraz składa się z kilku, zresztą olbrzymich, można by powiedzieć „kościelnych swymj rozmiarami“ obrazów, które zestawione razem dają całość.

Mało jest nazwisk polskich, ale są. I tak Wiesław Pilawski wystawia dwa widoki miejskie. Jest w nich równowaga między rysunkiem a kolorem, i nastrój, który bystremu krytykowi podpowiada polskie pochodzenie artysty. Pilawski jest dobrze znany w Anglii, i jego obrazy podobają się i są kupowane. Inny polski malarz: Roman Black, wystawił również dwa obrazy: „Zachód słońca w Dolomitach“ i „Zachód słońca, Dark Dolomites“.

Alina Mroczkowska wystawiła obraz: „Martwa natura“.

Prawie z małymi wyjątkami obrazy wystawy to sztuka przedmiotowa, choć dopuszczono i abstrakty, trzeba to przyznać, bardzo słabe.

Dużą rolę jeżeli chodzi o obrazy, które kupowano, odgrywał temat. Kupowano kwiaty, zwierzęta (wiewiórka, koty, mysz), akty kobiece (tak obrazy jak i rzeźby). Krajobrazy z Prowansji, Wenecji, i innych miejsc, gdzie malarz znalazł się w okresie wakacyjnym, nie miały powodzenia. Gusta publiczności nie są zbyt wybredne. To co kupowano było dobrze narysowane i poprawnie skomponowane. Abstrakcja nie znalazła wielbicieli.

Stefan Legeżyński

(Dalszy ciąg ze strony 23)

stępstwach. Ale te ośrodki greckie powstawały właśnie stale nad morzem — czy to na Sycylii, czy w Italii, czy w Hiszpanii, czy w Egipcie. Grek czuł się najlepiej w pobliżu morza.

Było ono dla niego symbolem życia i zapewne patrząc na jego zmienną powierzchnię doszedł do wniosku, że wszystko płynie. *Panta Rhei*. Jest u Xenofonta przejmujący moment, kiedy przedchodzą oddziały greckie zbliżają się do brzegu morskiego i kiedy z ust żołnierzy wydziera się krzyk „*Thalassa!*“ Żołnierze każdej innej armii witaliby przypuszczalnie entuzjastycznie zarys łądu, który wylądowałby się po podróży morskiej. Morze znacząco dla Greka swobodę, oderwanie od niewoli ziemi. Zmienność morza i jego przechodzenie z nastroju w nastrój nasunęła Grekom niejedną refleksję na temat zmienności losu. Sceptycyzm grecki czerpał swoje natchnienie zapewne i ze zmiennego „zwierciadła morza“. Joseph Conrad w swoich opowiadaniach podkreślił tę właśnie naukę morza, które uczy nie tylko tego, że wszystko płynie i zmienia się, ale że wszystko powraca w jakimś wielkim nieodgadzionym cyklu.

Być może, że kraje lądowe wytwarzają ortodoksje i dogmaty zarówno w dziedzinie polityki jak i religii, a że kraje morskie ciążą raczej ku sceptycyzmowi i luźnej organizacji religijnej. Nie jest dziełem przypadku, że wielkie poematy Grecji to opowieści o wędrowce i tęsknocie do domu.

21. NARÓD ŻOŁNIERZY I POLITYKÓW

Niektóre walory Greka pozostały nie naruszone, jak bitność żołnierza. Przyzwyczajaliśmy się cenić bardzo wysoko żołnierza tureckiego, serbskiego czy bułgarskiego, ale stosunkowo rzadziej i mniej wspomina się o wielkich zaletach wytrzymałości i hartu żołnierza greckiego. W czasie kampanii włoskiej, w drugiej wojnie światowej Grecy trzymali w szachu armię włoską, a walczyli w warunkach niezmiernie trudnych. Podobnie w czasie wojny domowej żołnierz grecki okazał cnoty. Jest to zatem echo dawnej epoki i chociaż Grecja przez tyle stuleci nie miała własnej armii, to jednak nie zatraciła cnoty żołnierskich.

Nie zatraciła również swojej pobudliwości politycznej i zdolności do fanatycznego przejęcia się daną sprawą. Te dwie zdolności niewątpliwie rujnują spokój polityczny Grecji, a gdy na widowni zjawia się sprawa taka jak Cypr, Grecja robi momentalnie wrażenie wulkanu. Polityka jest we krwi tego na-

rodu, a uwielbia on zręcznych graczy politycznych, takich jak stary Venizelos. Ci politycy są bohaterami, herosami nowoczesnej Grecji, chociaż nie ma ona złudzeń, iż wielu uprawia prywatę i nepotyzm na wielką skalę. Grek jednak przyjmuje stoicko te niedociągnięcia uważając, że stanowią one swoistą *deformation professionelle*.

Niezmiernie trudno przeprowadzać sanację greckiej maszyny administracyjnej, a reformy lat 1953-1954, które dotyczyły głównie oczyszczania biur i urzędów od protegowanych, którzy zaludniali te biura i obciążali budżet państwowy, nie we wszystkim bodaj były skuteczne. Rachunek państwa za samochody tych urzędników jak również za ich telefony, (gdyż gadanie z telefonów urzędowych odchodziło na całego), był olbrzymi. Wtajemniczeni mówili, że stanowił on spory procent budżetu.

Grecja cierpiała i cierpi dalej na to fatalne łączenie życia publicznego z prywatnym i na tak zwaną „protekcję“, która sprawiła, że biurokracja rozrosła się do chorobliwych rozmiarów. Ale zrobiono bardzo wiele jeżeli chodzi o zewnętrzną stronę obrazu, a zatem o dobre drogi, o mądre projekty hydroelektryczne, o higienę wiosek, o budowę schludnych domów. Wszyscy którzy oglądali powojenną Jugosławię w latach ostatnich i zestawiali dorobek jugosłowiański z greckim, twierdzą zgodnie, że Grecja zagospodarowała się o wiele lepiej po zniszczeniach wojny domowej i że jest dzisiaj najmniej bałkańskim krajem z całych Bałkanów, jeżeli chodzi właśnie o urządzenia cywilizacyjne.

Wielkie zagadnienia Grecji w dziedzinie gospodarczej to przede wszystkim odpowiednie nawodnienie pól i ulepszenie uprawy ziemi, to wyzyskanie tak zwanego białego węgla, a zatem siły wodnej do elektryfikacji kraju oraz zalesienie olbrzymich terenów, z których wytrzebiono drzewa. To są trzy kapitalne problemy, których Grecja jeszcze nie rozwiązała, podobnie zresztą jak Hiszpania, która ma do wykonania identyczne zadania. Niemniej jednak plan Marshalla i pomoc amerykańska pchnęły już Grecję na tory odpowiedniego rozwoju gospodarczego: a fakt, że Grecja jest dzisiaj członkiem-kandydatem do Wspólnego Rynku świadczy najlepiej o jej ambicjach podniesienia stopy życiowej i zrównania się z krajami Zachodu.

22. SZKOŁA ESTETYKI DLA TURYSTÓW

Poziom materialny Grecji poprawia się stale, a jednym z czynników tej poprawy jest turystyka międzynarodowa, która — podobnie jak w Hiszpanii — przynosi krajowi coraz to większe

dywidendy. O ile turystyka dawnego typu ograniczała się przede wszystkim do zabytkowej Grecji i działała w promieniu Aten i na Peloponezie, to dzisiaj rozchodzi się ona szeroką strugą od Korfu po wyspy Morza Egejskiego. Odkryto piękno zapomnianych dawniej wysp jak Hydra, jak Mykonos, jak Santorin i oczywiście Rodos, który dawniej pozostawał wybitnie na uboczu. Dzisiaj Rodos został odkryty nie tylko dla piękna swej architektury — samo miasto Rodos należy do najpiękniejszych grodów Morza Śródziemnego i można je porównać z Dubrownikiem — ale również i dla swoich znakomitych kąpiel leczniczych.

Turystyka międzynarodowa w Grecji przyjmuje coraz bardziej charakter masowy i to co dawniej było przywilejem wybranych, którzy traktowali podróż do Grecji jako pielgrzymkę, dzisiaj stało się dostępne dla tysięcy, które nie zawsze dobrze orientują się co mają oglądać. Ale byłoby niewczesnym snobizmem skarżyć się na tego rodzaju zmiany. Jest bowiem rzeczą zastanawiającą ile z tej Grecji atynicznej zostaje w oczach i umysłach największych nawet prostaczków duchowych. Gdy rozmawia się z turystami z licznych krajów spotykanymi w Delfach czy w innych miejscach świętych naszej kultury, wyczuwa się w ich opowiadaniach instynktowną cześć i onieśmienie wobec nagromadzonego piękna i zdziwienie — jak w muzeum w Heraclionie — że przed 5-ciu tysiącami lat człowiek był zdolny do tworzenia takich arcydzieł dobrego smaku.

23. ENOSIS CYPRYJSKA

Spór o Cypr wypadł najbardziej niepotrzebnie i niekorzystnie akurat w momencie kiedy Grecja wychodziła na szersze wody polityki międzynarodowej i na pewniejsze wody gospodarki wewnętrznej. Konflikt cypryjski uwikłał Grecję w sprawę, w której nie sposób jest dzisiaj rozdzielić czarne od białego i winnych od niewinnych. Grecja posprzeczała się z Turcją, co oznacza należy za zdecydowane nieszczęście dla losów całych Bałkanów i południowego skrzydła Europy. Wydawało się, że animozja grecko-turecka została już pogrzebana i że kraje te zrzeszone w sojuszu Atlantyckim potrafią ze sobą owocnie współpracować. Niestety stało się inaczej i w dużej mierze powściągliwości polityki tureckiej przypisać należy fakt, że nie doszło do ostrzejszego starcia dwóch państw. Ironią sytuacji jest to, że arcybiskup Makarios, nie pali się bynajmniej do zjednoczenia wyspy z Grecją, czyli do tzw. Enosis, albowiem wyraźnie zasmakował sobie we władzy i wpływach prezydenta Repu-

bliki Cypryjskiej. Generał Grivas, którego niebawem pomysłowe akcje partyzanckie zmusiły wreszcie Anglików do opuszczenia wyspy i udzielenia jej niepodległości, jest dzisiaj w wyraźnym konflikcie z arcybiskupem, albowiem opowiada się za Enosis.

24. GRECY POZA GRECJĄ

Nie tylko milionerzy i bogacze Grecji dbają o to aby pozostawić w swoim kraju jakieś godne monumenty swej pamięci w postaci stadionów czy instytutów naukowych. Również i szara rzesza grecka, która wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych nie zapomina o kraju macierzystym. Pomoc dolarowa wysyłana przez tych Greków idzie w miliony i daje pozytywne i widome wyniki: oto wszystkie wspaniałe taksówki w Atenach pochodzą z tych darów, przesyłanych przez emigrantów. Te taksówki konkurują z przedwojennym Bukaresztem, który mógł się pochwycić najbardziej luksusowymi taksówkami w Europie. Mówiono mi, że pewien odsetek Greków wraca do starej ojczyzny ze Stanów Zjednoczonych i że sentyment ich do Grecji trwa bardzo długo i odzywa się jeszcze w trzecim pokoleniu.

25. PRÓBKĄ

FILOHELENIZMU ANGIELSKIEGO

Grecja złamała komunizm w walce odartej, ale nie złamała go jeżeli chodzi o formy ukryte i o podziemie. Nikt w Grecji nie potrafi powiedzieć jaki silny jest ruch komunistyczny, ale panuje przekonanie, że kręgosłup tego ruchu został przetrzącony zdecydowanie i że nie potrafi on nigdy już dojść do władzy. Wojna domowa, która przeorała Grecję, dowiodła jednak siły fanatyzmu politycznego. Wszystko wskazuje na to, że Moskwie zależało niezmiernie na opanowaniu Grecji i że gdyby ta sztuka się udała, sytuacja całej Europy wyglądałaby inaczej. Trzeba pochwalić tutaj Anglię za energiczną akcję podjętą w momencie kiedy Ameryka nie była jeszcze rozbudzona na niebezpieczeństwo w tej części Europy. Wojska angielskie przyczyniły się waleśnie do pohamowania partyzantów komunistycznych zanim przyszła olbrzymia pomoc amerykańska. Anglia wykazała raz jeszcze, że jest czuła na wszystko co dzieje się we wschodnim basenie Morza Śródziemnego, a sentymenty pro-greckie na pewno odegrały tutaj swoją rolę. Zestawienie wypadków w Grecji z wypadkami w Budapeszcie z roku 1956 i reakcje angielskie na jedno i drugie wydarzenie stanowią interesującą miernik uczulenia polityki brytyjskiej na cały teren Bliskiego i Środkowego Wschodu, a względnej obojętności na teren Europy Wschodniej.

POLSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W RZYMIE

W maju br. odbyło się w Rzymie Walne Zebranie Polskiego Instytutu Historycznego. Działalność Instytutu w ubiegłym dwuletnim okresie skupiła się głównie na odcinku wydawniczym. Mniej uwagi można było poświęcić akcji odczytowej. W roku ubiegłym odbył się jednak znakomity odczyt prof. Mavera o Sienkiewiczu.

Zebrani uczcili pamięć niedawno zmarłego śp. Antoniego Lanckorońskiego, jednego z współzałożycieli Fundacji Lanckorońskich, wspierającej m.in. finansowo akcję wydobywania na światło dzienne materiałów związanych z naszymi dziejami. Właśnie główne wysiłki P.I.H. idą w kierunku ujawniania i ogłaszania drukiem w serii „*Elementa ad fontium editiones*” wszelkich dokumentów, dotyczących naszej przeszłości, a znajdujących się w różnych archiwach świata.

26. POMOST NAD TYSIĄCAMI LAT — ZBUDOWANY Z PIĘKNA

Zdawałoby się że na wstępie podróży po Grecji, że nie tak łatwo jest przetrząsnąć pomost między Grecją naszej wyobraźni a obecną, skromną Grecją Bałkanów. A jednak dokonuje się tego stosunkowo łatwo: a może dokonuje tego za nas ziemia grecka, która wita nas pogodą swego firmamentu, otacza nas ramieniem swojej historii i niezliczonymi wspomnieniami, które wzlatają wokół nas jak przepłoszone ptactwo. Wciąga nas w swoje tajemnice, chociaż ich w pełni nigdy nie ujawnia, w dawność swojej historii, w tę podróż w czasie, w której plastycznie widzimy proces rozwoju człowieka, jego środków wyrażania się i jego artykulacji. Doświadczenia greckiego nie można porównać z żadną inną podróżą, albowiem jest to również podróż w głąb nas samych, przez wieki, które w nas drzemiały i przez głosy dziejów, które zebrały się w każdym z nas świadomie czy nieświadomie. Tę podróż trzeba odbyć i niesposób jej opisać.

Zamknięciem i codą tej podróży po Grecji stał się dla mnie mały wycinek światła w muzeum w mieście Rodos. W kącie pod oknem w drzeniu słonecznego pyłu stoi niewielka rzeźba zwana Venus Marina. Została ona wydobyta z dna morskiego i sól morską wytrawiła jej dziewczęce ciało pozostawiając blizny na plecach. Ale pomimo tych blizn kłęczy Venus pokorna i tryumfująca w drzeniu słonecznych plam jako symbol niepokonanego piękna, które jest Grecją.

Zbigniew Grabowski

O wynikach tych poczynań, pisaliśmy niejednokrotnie. W ubiegłym dwuleciu dorobek wydawniczy Instytutu w tej dziedzinie powiększył się w sposób szczególnie okazały, wyszło bowiem z druku pięć dalszych zbiorów materiałów archiwalnych polskich, z czego trzy tomy z głównych archiwów hiszpańskich w Simancas, które opracował prezes Instytutu ks. infułat Meysztowicz w wyniku dwukrotnej tam wyprawy; następnie pierwsza część opracowanych przez prof. L. Koczego materiałów z królewskiego archiwum duńskiego i wreszcie kolejny, trzeci tom poloników z archiwum rodu Orsini w archiwach rzymskiego Kapitolu, owoc badań p. Wandy Wyhowskiej De Andreis.

Jeśli zdać sobie sprawę z ogromu pracy, którą trzeba było włożyć przy samym tylko opracowywaniu tego rodzaju materiałów do druku, nie mówiąc już o cierpliwości niezbędnej przy badaniu „odkrywanych” dokumentów, to trzeba bezstronnie przyznać, że wydanie w ciągu dwóch lat drukiem pięciu tomów o łącznej ilości ok. półtora tysiąca stron dokumentacji źródłowej do naszych dziejów i to przy tak szczupłym gronie osób poświęcających się tej dziedzinie, jest wynikiem naprawdę imponującym.

Ale to nie zamyka jeszcze bilansu działalności wydawniczej w ubiegłym okresie sprawozdawczym, bo jednocześnie przygotowano do druku następne tomy. A więc kolejny XIII t. „*Elementa*”, obecnie już w końcowej korekcie, zawierać będzie pierwszą część opracowanych przez C. H. Talbota materiałów polskich z archiwów British Museum, a nadto całkowicie już są gotowe do wydania t. XIV, stanowiący ciąg dalszy poloników z archiwum Orsini i t. XV — czwarta część dokumentacji z archiwum w Simancas. Wreszcie dalsze tomy, tj. XVI — zbiory z archiwum Orsini oraz XVII i XVIII — źródła archiwalne w Simancas są już w przygotowaniu do druku.

Do tego trzeba też dodać „*Antemurale*”, którego podwójny tom VII—VIII ukazał się w tymże okresie, oraz to, że przygotowuje się wydanie następnego podwójnego tomu „*Antemurale*”.

Oczywiście na to, aby ta ogromna praca spełniła swe zadanie, trzeba również zadbać o to, aby opublikowane teksty znalazły się w zasięgu historyków. Chodzi jednym słowem o rozprawienie dzieł wydrukowanych po bibliotekach i uniwersytetach świata, aby uczeni mogli z nich czerpać źródłowe dane. Na temat kolportażu wydawnictw P. I. H. mówił właśnie prof. Henryk Paszkiewicz, informując o opracowywaniu przez siebie programie działania. Usku-

teczenie tych zamierzeń zapowiada się raczej dobrze, zwłaszcza po zaprezentowaniu zainteresowanym bibliotekom naukowym prospektu obejmującego już 12 tomów dokumentacji historycznej, a w przededniu ukazania się następnych zbiorów. Już obecnie „Elementa“ i „Antemurale“ zasilają biblioteki różnych krajów na obu półkulach, a niebawem wspomniane prospekty będą rozesłane do wszystkich ośrodków uniwersyteckich świata.

Pomyślna realizacja planów na tym odcinku z jednej strony pomnoży środki P.I.H. na dalszy rozwój działalności, ale nade wszystko zapewni uczynomu świata, a przez to i badaczom w kraju, dostęp do źródłowych tekstów, które przyczynią się do odtworzenia faktów naszej przeszłości w niezafałszowanym świetle, a zatem do wyrobienia na ich podstawie sądu niezależnego i nieskażonego przez jakąkolwiek narzuconą z góry doktrynę.

Po części sprawozdawczej i krótkich wypowiedziach pełnych uznania dla owocnej pracy Zarządu, zebrani w wniosek Komisji Rewizyjnej, która uprzednio rozważyła stronę administracyjną działalności Instytutu, udzielili Zarządowi absolutorium przez aklamację. Z kolei zebrani powołali na następną kadencję Zarząd w dotychczasowym niezmiennym składzie, a więc prezes — *ks. inf. Meysztowicz*, wiceprezesi — *prof. Paszkiewicz* i *prof. Karolina Lanczowska*, sekretarz — *Wanda Wyhowska De Andreis*, członkowie Zarządu — *pp. Stanisław Piekut* i *Józef Natanson*.

Zarząd odbył zaraz po Walnym Zebraniu swe pierwsze posiedzenie, na którym postanowił skorzystać z uprawnień statutowych i dokończyć do swego grona również *prof. Edwarda Szczepanika* i *dr. Zofię Hoffer*.

Jan Gniazdowski

Festiwal teatralny szkół sobotnich w Londynie

Teatr „Syrena“ oraz Organizacja Oświatowa chcą zapoznać szerszą publiczność z pracami teatralnymi szkół sobotnich, organizując w pierwszych dniach lipca dwudniowy pokaz pięciu szkół, w którym weźmie udział około 120 dzieci i młodzieży. Ambitny program obejmuje pełno-spektaklową bajkę Ewy Kłoczek, obrazek sceniczny Barbary Mękarskiej oraz fragmenty i inscenizacje sztuk Kochanowskiego, Mickiewicza i Słowackiego.

Przedstawienia odbędą się w Rudolf Steiner Theatre.

Triumfy polskich szybowców

Już dawno nie cieszyliśmy się tak serdecznie z triumfów i zwycięstw polskich sportowców jak w ostatnich dniach czerwca br. Mam oczywiście na myśli niezwykle zupełnie zwycięstwa polskich szybowców, którzy na ziemi angielskiej — a raczej należałoby powiedzieć: pod niebem angielskim — brali udział w X Szybowcowych Mistrzostwach świata. Oczywiście wiedzieliśmy, że sport szybowcowy jest w Kraju świetnie rozwinięty i ma piękną tradycję jeszcze z czasów sprzed ostatniej wojny i wiedzieliśmy także, że mamy znakomitych zawodników w tej bardzo trudnej i specjalnej dyscyplinie sportowej. Trudno jednak było przypuszczać, że właśnie na tych mistrzostwach Polacy zademonstrują wyjątkową wprost klasę i zabłysną wyszkoleniem, które przynosi zaszczyt polskiemu trenerom, bo o nich trzeba także pamiętać przy tej okazji.

Więc jak to było w tym South Cerney, gdzie rozegrane zostały mistrzostwa? Rozegrano je w dwóch podstawowych konkurencjach: w klasie otwartej i w klasie standard. W każdej klasie było siedem specjalnych konkurencji (np. lot po trójkacie, przelot docelowy itp.). W klasie otwartej mistrzem świata został 25-letni lotnik Aeroklubu Bydgoskiego Jan Wróblewski — 5.239 pkt., a b. mistrz świata Edward Makula zajął 4-te miejsce (4.971 pkt.). 2. Spänig (Niemcy zach.) (5.164 pkt.) 3. Kuntz (Niemcy zach.) (4.990 pkt.)

W klasie standard: Henry (Franja) 4.945 pkt., 2. Ritzi (Szwajcaria) 4.789 pkt., 3. Franciszek Kępka (Polska) 4.627 pkt., 4. Jerzy Popiel (Polska) 4.518 pkt.

Tyle oficjalna tablica. Jeśli chodzi o klasę otwartą to zanotować należy, że zamiast siedem rozegrano tylko sześć konkurencji, (siódma nie udała się i została unieważniona przez komisję). Na tych sześć konkurencji Wróblewski zajął raz pierwsze, raz drugie, dwa razy trzecie i raz siódme miejsce. A trzeba pamiętać, że Polacy startowali w trudnych, a właściwie w nieznanym dla nich zupełnie warunkach. Przede wszystkim inne są warunki atmosfery-

czne nad Anglią aniżeli nad Polską. Silna była też konkurencja, gdyż startowało ponad 80 najlepszych szybowców świata. Wreszcie Polacy nie dysponowali najlepszym sprzętem, choć odnieśli na nim tak świetne rezultaty. Szybowce polskie typu „Foka-4“ daleko ustępowały podobnemu sprzętowi zagranicznemu, mimo to polscy szybowcnicy znaleźli się w elicie światowej.

Po powrocie do Kraju polscy szybowcnicy przyjęci zostali serdecznie i radośnie. Bo trzeba także zważyć, że np. Wróblewski — główny bohater mistrzostw i wśród Polaków — po raz pierwszy wystąpił w tak poważnej konkurencji. W wywiadzie z redaktorem warszawskiego „Przeglądu Sportowego“ Wróblewski powiedział m. in.:

„Dla mnie najważniejszą satysfakcją jest fakt, że na tym mistrzowskim tronie mówi się nadal po polsku. Co zaś do niemieckiego szybowca „D-36“ jest to, moim zdaniem, najlepsza konstrukcja w historii szybowcowych mistrzostw świata. Myślę też, że zdobycie mistrzostwa w klasie otwartej na naszej „Foce-4“ jest osiągnięciem bez precedensu. Była ona w tej klasie pod względem doskonałości szybowcem poniżej przeciętnej. Było tam przynajmniej 20 konstrukcji znacznie ją przewyższających... Na „Foce“ nie byliśmy w stanie oderwać się od najgroźniejszych przeciwników, nie pozwalała na to zbyt mała doskonałość naszego szybowca. Mam nadzieję, że to ostatnie mistrzostwa świata w których startowaliśmy na szybowcu — nie odpowiadającym wymaganiom klasy otwartej“

(tu wtrącamy nawiasowo, że zdaniem Jerzego Popiela szybowce niemieckie, francuskie i szwajcarskie znacznie przewyższały polską „Fokę“).

(Jeśli chodziło o angielskie warunki atmosferyczne — mówił dalej Wróblewski) to „cała różnica w porównaniu z (polskimi) sprowadza się do tego, że spotyka się tam bardzo gwałtowne zmiany pogody w jednym dniu i że jest tam na ogół bardzo słaba widoczność i niskie podstawy chmur. Latało się nisko — oceniamy, że średnia wysokość wszystkich lotów nie przekraczała 800 metrów. Po raz pierwszy też lataliśmy w bryzie morskiej, przez dłuższy czas, nie zdając sobie sprawy, że jest właśnie bryza. Ciemno było w niej jak w nocy...“

Równie ciekawe były uwagi kierownika ekipy Tadeusza Rejniaka:

„Jesteśmy jedyną ekipą, która w całości znalazła się w ścisłej czołówce mistrzostw. Najgroźniejszymi przeciwnikami były reprezentacje NRF i Fran-

CZYTAJ

POLSKĄ

KSIAŻKĘ

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

KOŁO SPK W LIMIE

W Peru, republice południowo- amerykańskiej mieszka nieliczna garstka Polaków, bo zaledwie ok. 100 osób, z czego większość w Limie, stolicy kraju. Jedyłą organizacją polską w Peru jest SPK., któremu przewodzi od szeregu lat kol. Jan Giełgud.

Wiosną br. koledzy nasi zorganizowali w Recoleta, jednym z najstarszych kościołów Limy uroczyste nabożeństwo za dusze ofiar Katynia. Mszę św. odprawił ks. Kasprzak, który również wygłosił w jęz. hiszpańskim okolicznościowe kazanie. Z okazji 25 rocznicy Katynia ukazały się artykuły w trzech czołowych dziennikach stolicy, a radio nadało audycję poświęconą pamięci ofiar zbrodni sowieckiej.

Polska Lima obchodziła również uroczyste rocznicę Konstytucji 3 maja.

Po Mszy św. w kościele Santa Rita, odbył się obiad dla całej kolonii polskiej przygotowany przez Koło Pań przy SPK. W części artystycznej zebrani wysłuchali starych polskich pieśni religijnych w wykonaniu kolegów Z. Platera i G. Szkudlarskiego.

ZJAZD SPK W WIELKIEJ BRYTANII

W dniach 10 i 11 lipca odbędzie się doroczny Zjazd SPK w Wielkiej Brytanii nie, jak zwykle, w Londynie lecz w Rugby. O wyborze miejsca zdecydowała uchwała poprzedniego zjazdu, który chciał w ten sposób dać wyraz uznania dla Koła SPK Nr 301 w Rugby, które poważnym wysiłkiem własnym, z pomocą miejscowej społeczności polskiej oraz z udziałem finansowym Centrali SPK z Londynu potrafiło wybudować nowy Dom Kombatanta. Nowa placówka stała się oparciem dla pracy społecznej całego ośrodka polskiego.

Na zjazd przybędą delegaci 98 koł SPK z obszaru Anglii, Walii i Szkocji (jeden delegat na 75 członków) oraz zarząd z Londynu.

W programie dwudniowych obrad znajdzie się aktualne zagadnienie ogólne: uczenie przypadającego w roku przyszłym Millennium Polski Chrześcijańskiej. Ponadto wiele „codziennych” spraw organizacyjnych: opieki społecznej, młodzieży; rozbudowy pracy oświatowej w kołach, opieki nad szkołami itd.

Obszerne sprawozdanie ze zjazdu ukaże się w następnym numerze „Orla Białego”.

cji, znakomicie przygotowane pod względem technicznym, wyposażone do ostatnich szczegółów, dysponujące wszelkimi cudami nowoczesnej techniki i konstrukcji. To samo zresztą można powiedzieć o Amerykanach i Anglikach. Ci ostatni robili wszystko, aby osiągnąć w tych mistrzostwach sukcesy. Byli też chyba najbardziej rozczarowani osiągniętymi wynikami... Wszystkie te ekipy wspaniale przygotowały się do mistrzostw pod względem technicznego zaplecza, miały do dyspozycji znakomite dostosowane do tych warunków szybowce, posługiwały się namiarami goniometrycznymi itd. My natomiast liczyliśmy przede wszystkim na umiejętność naszych pilotów i nie zawiedliśmy się. Nasze „Foki”, tak znacznie ustępujące większości szybowców w klasie otwartej były przedmiotem powszechnego podziwu i obserwacji. Oglądano je ze zdumieniem, obstukiwano, podejrzewano niemal, że zamontowany jest w nich jakiś silnik. A cała rzecz polegała tylko na tym, że siedzieli w nich doskonali piloci, doskonale przygotowani do tych mistrzostw, którzy naprawdę umieją latać i współpracować ze sobą w powietrzu.

Wydaje się — uzupełnia trener ekipy Józef Dankowski — że był to największy z dotychczasowych sukcesów naszej reprezentacji. Te mistrzostwa ostatecznie przypieczętowały naszą markę w świecie szybowcowym. W tej chwili mówi się już o polskiej szkole latania na szybowcach. Znakomity wynik naszej reprezentacji jako całości, jakim nie może się poszczycić żadna inna ekipa narodowa, najzupełniej to usprawiedliwia. I to jest właśnie nasz największy sukces.“

Dodajmy, że Polacy zdobyli także drużynowe mistrzostwo świata.

Paweł Hęciak

ACH, TO BEAUJOLAIS

(Dokończenie ze str. 29)

dodania sobie powagi, są zwykle właścicielami jednej lub kilku winnic, zwykle bardzo małych, by móc na swych papierach handlowych i na etykietkach pisać „negocjator-właściciel“.

Też nie tak dawno był nie mały skandal z winami francuskimi, wysokogatunkowymi, przeważnie z Burgundii, eksportowanymi przez Rotterdam. Sły one tam butelkowane z małą etykietką np. „vin rouge nr. 3“ (wino czerwone nr. 3). Tam wspólnik tego francuskiego „eksportera“ brał je do swojej piwnicy i czekał na dyspozy-

cje. Paryski eksporter składał oferty swym zagranicznym klientom po cenach, które były wszystkich uczciwszych konkurentów i gdy dostawał dop. z Nowego Jorku zamówienie na 100 skrzynek Pomarda rocznik 1949, to do Rotterdamu wysyłał pocztą odpowiedni komplet etykietek i dawał polecenie, na jaki numer butelek je nakleić (taki co by przypominał z daleka posmak okolic Pommarda). Jego wspólnik natychmiast to kleił, skrzyńki sam przygotowywał i 100 skrzynek żeglowało spokojnie za Ocean. W Rotterdamie zresztą są całe nowoczesne instalacje do tego rodzaju operacji, bo prawo holenderskie nie ochrania nazw win. Znam wypadek, jak zwykły grecki biały sikacz wypływał stamtąd pod szlachetną reńską nazwą „Liebfraumlilch“ i to w tysiącach skrzynek. Nie jest to wypadek zasłyszany, bo tego rodzaju operacje bezboleśnie — do czasu — przeprowadzał jeden z moich sąsiadów z Hal Winnych. Jak i inni wreszcie wpadł — ale z tego co zarobił, to mu nawet jednej czwartej nie odebrano.

Mógłbym się rozpisać, co wyrabiano z rocznikami „brandy“, gdybym miał miejsce. Brandy we Francji to zwyczajna wódka z wina, nie mająca prawa do żadnej nazwy, ani koniak, ani armagnac ani żadnej innej. Ot zwykły alkohol z destylacji złego wina, które nie nadaje się do konsumpcji. To się rozrabia jeszcze zwyczajniejszym alkocholem np. z buraków, barwi karamelem i wysyła jako szlachetne brandy, które ma np. 5 lat starzenia się w beczce, a znam wypadek kilkuset beczek z szacownym już wiekiem 20 lat. To nie byle co! Ale te 20 lat to była granda w większym stylu, i zrobił się niesamowity skandal i niekończący się proces.

Wobec tego czytelnik mnie z pewnością zapyta, czy ja sam piję wino, a zwłaszcza beaujolais. A jeżeli tak, to gdzie je kupuję? Przyznam się, że moja rada na wiele mu się nie przyda, bo beaujolais kupuję tylko gdy znajdę się samochodem na miejscu i tam u producenta biorę kilka skrzynek do bagażnika.

Ale to wszystko nie oznacza, że nie można go znaleźć i gdzieindziej. Mimo wszystko jest wielu uczciwych handlarzy — brak tylko większej ilości tego uczciwego beaujolais.

Jan Claude

XI ZJAZD SPK W KANADZIE

XI Walny Zjazd Delegatów SPK w Kanadzie odbył się w Sudbury, prow. Ontario, światowej stolicy niklu, gdzie mieszka ok. 100 tys. Kanadyjczyków, w tym 3.000 Polaków.

Zjazd, który obradował w dniach 22-24 maja, wywołał duże zainteresowanie wśród miejscowej społeczności polskiej. Znajduje ona oparcie w lokalnym przemyśle górniczym, pracuje ciężko, żyje dostatnio i cieszy się uznaniem i poważaniem całego otoczenia.

Już na kilka dni przed Zjazdem w miejscowej prasie anglojęzycznej ukazały się dłuższe wzmianki zarówno o Zjeździe jak i o działalności S. P. K. w Kanadzie oraz w innych krajach. W czasie Zjazdu miejscowe radio oraz telewizja podały informacje z jego przebiegu oraz wywiady z uczestnikami Zjazdu.

Na Zjazd przyjechało 42 delegatów z kół rozszaniach po całej, bezbrzeżnej Kanadzie. Wzięli w nim również udział: gen. Karol Ziemiński — prezes Federacji Światowej SPK oraz inż. Stanisław Gierat — prezes SPK w Stanach Zjednoczonych.

Wobec długiego porządku dziennego obrad, ograniczono do minimum uroczystości, jakie zwykle odbywają się przy tej okazji, a moment otwarcia Zjazdu podkreślono tylko wymownym i wzruszającym dla wszystkich wniesieniem na salę sztandarów przez po-

czyty 10 kół. Życzenia i wypowiedzi od szeregu wybitnych osób z całego świata zostały opublikowane w specjalnym numerze kwartalnika „SPK w Kanadzie“, łącznie z zarysem rozwoju krajowego SPK, które wchodzi w dwudziesty rok swego istnienia.

Po krótkim powitaniu przez prezesa ustępującego Zarządu M. Sadowskiego gości honorowych oraz delegatów, przystąpiono do obrad, wybierając przewodniczącym Zjazdu kol. A. Sasa-Korczyńskiego z Koła Montreal.

Sprawozdania ustępujących władz i prezesów kół dobitnie podkreślały dużą żywotność wewnątrzorganizacyjną Stowarzyszenia oraz ogromną ilość pracy i energii wkładanych przez członków SPK w życie całej Polonii Kanadyjskiej. Obrady, zarówno w komisjach jak i na plenum były żywe i rzeczowe. Zainteresowanie sprawami naszej organizacji i jej dalszym pomyslnym rozwojem bardzo duże, żadnych oznak ospałości i zubożenia. A zjawiskiem godnym specjalnego podkreślenia — ponad 300 nowych członków w ostatnim okresie!

Ustępujące władze otrzymały absolutorium z podziękowaniem. W sprawach zasadniczych, które znalazły wyraz w rezolucjach, cechowały Zjazd

zgodność i jednomyślność. Ze spraw natury ogólnej dłuższą dyskusję wywołał stan akcji milenijnej w Kanadzie. Kierowani troską o jej powodzenie, delegaci powzięli szereg uchwał nakładających na SPK nowe zadania w tej dziedzinie.

Zjazd poświęcił również sporo uwagi sprawom pomocy inwalidom. Z uchwał wewnątrzorganizacyjnych w pierwszym rzędzie wymienić należy przyjęcie statutu kół młodzieży SPK rozwijających coraz szerzej i pomyslniej swoją działalność. Interesującym jest postanowienie tego Statutu, wprowadzone do Statutu SPK w Kanadzie, zezwalające członkom kół młodzieży po doświadczeniu do lat 21 na wstępowanie do SPK w charakterze członków zwyczajnych. Wobec tego że do kół młodzieży SPK prawo należenia mają nie tylko dzieci członków, ale cała młodzież polskiego pochodzenia, Zjazd otworzył szeroko drogę wstępu do SPK całym zastępem młodzieży polskiej.

Uchwalono zorganizowanie Funduszu Zjazdowego, który umożliwi udział delegatom wszystkich kół, bez względu na zamożność koła. Uchwała b. ważna w warunkach tysięczmilowego rozrzuca kół.

Zjazd ustalił także podstawy finansowe dla kwartalnika „SPK w Kanadzie“ na dwa lata. Dyskusja na ten temat obfitowała w słowa uznania dla pisma, podkreślono także w niej ważną rolę jaką spełnia ono w życiu organizacyjnym. Panującą przy tym atmosferę ilustruje fakt wpłacenia w czasie dyskusji przez jednego z delegatów 150 dol. na fundusz wydawniczy kwartalnika jako wyraz uznania dla jego osiągnięć.

Te i wiele innych spraw, wypełniły trzy pracowite dni obrad. Oderwaniem od nich był bankiet, który się odbył w Domu miejscowego Koła SPK. z udziałem przedstawicieli życia naukowego, politycznego, wojskowego i administra-

UCZCIJMY PAMIĘĆ OFIAR ZBRODNI KATYŃSKIEJ

W tym roku minęło 25 lat od wymordowania przez N. K. W. D. kilkunastu tysięcy polskich jeńców, przeważnie oficerów, w Katyniu i innych dotychczas niewykrytych miejscach zbrodni.

Świćmy corocznie tę żałobną rocznicę, a tego roku powstała słuszna myśl utrwalenia naszej pamięci o ofiarach katyńskiej zbrodni przez tablice pamiątkowe, urny czy pomniki, gdziekolwiek Polacy czynić to mogą. I skoro w kraju, pod komunistycznymi rządami i zwierzchnictwem Moskwy nie jest to zezwolone, składajmy ten hołd przynajmniej na obczyźnie, w krajach świata wolnego. Niechaj pamięć o naszych rodakach i towarzyszach broni, którzy zginęli za niezłomną wierność Polsce, wyrażona w trwałych pamiątkach w metalu czy kamieniu, pozostanie żywa i niezniszczalna.

Postanowiliśmy zwrócić się z apelem o nadsyłanie ofiar na upamiętnienie Katynia w Londynie i zarazem zachęcić do podobnych inicjatyw polskie środowiska we wszystkich krajach wolnych, gdzie tylko w polskich kościołach, domach, czy na polskich cmentarzach znajdzie się na ten cel miejsce.

Ofiary na pomnik czy tablicę pamiątkową w Londynie prosimy kierować w czekach lub P. O. do „Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych“ 55, Princess Gate (Exhibition Road), London, S. W. 7, z wyrażonym określeniem przeznaczenia.

Tymczasem inicjatorskie organizacje powołują komitet, który zajmie się urzeczywistnieniem projektu po uzyskaniu odpowiedniej sumy. Listy ofiarodawców będą ogłaszane.

Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich
Więźniów Politycznych

Gen. W. Anders Gen. K. Rudnicki

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów
S. Lis K. Ziemiński S. Soboniewski

Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii
P. Hęciak

Stowarzyszenie Lotników Polskich
A. Gabszewicz B. Drobiński

Samopomoc Marynarki Wojennej
W. Nadratowski J. Busiewicz

Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej
Gen. T. Bór-Komorowski F. Miszczak

Związek Harcerstwa Polskiego
Z. Szadkowski

Doskonała książka na nagrody dla
dzieci w szkołach przedmiotów
ojczystych

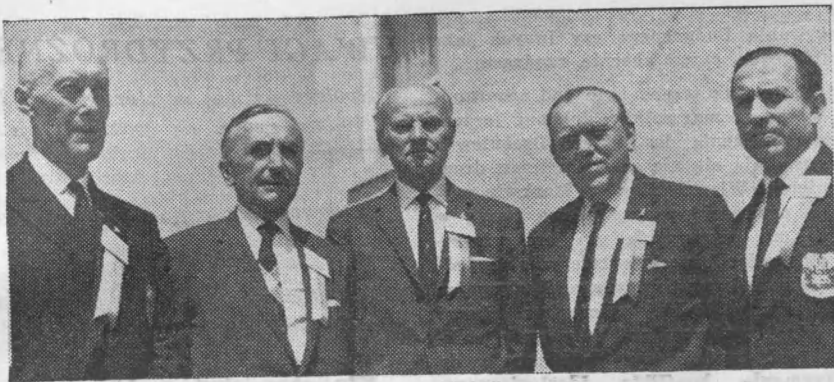
ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.



Od lewej: A. Sas-Korczyński, przewodniczący Zjazdu, S. Gierat, prezes S.P.K. w Stanach Zjedn., gość honorowy, prezes K. Ziemiński, gość honorowy, M. Sadowski, prezes S.P.K. w Kanadzie, inż. W. Dembek, gospodarz, prezes Koła w Sudbury, Ont., gdzie się Zjazd odbywał.

cyjnego, członków Stowarzyszenia z rodzinami. Na bankiecie wypowiedziano wiele przyjemnych dla naszych uszu słów o walorach przez nas wniesionych do wszystkich dziedzin życia Kanady. Z polskich gości przemówienia wygłosili prezes K. Ziemiński, prezes Zarządu Kongresu Polonii Kanadyjskiej inż. Z. Jaworski, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Milenium inż. Z. Jarmicki.

W niedzielę 23 maja w kościele pol-

skim, całkowicie wypełnionym, zostało odprawione nabożeństwo, po czym delegaci i wielu obecnych na nabożeństwie przemaszzerowali przez ulice miasta ze sztandarami pod pomnik Nieznanego Żołnierza, gdzie prezes Karol Ziemiński, w asyście przew. Zjazdu A. Sas-Korczyńskiego i prezesa miejscowego Koła inż. W. Dembka, złożył wieńiec z czerwono-białych kwiatów.

T. Krychowski

SOVIETICA

„ROSJA PRZED NOWĄ REWOLUCJĄ...?”

Część amerykańskiej prasy i większość jej sowietologów posuwa się ostatnio szczególnie daleko w przewidywaniu wielkich przemian na Kremlu i w pesymistycznej ocenie gospodarczego położenia Rosji Sowieckiej. Pozycja rządzącej pary Breżniew—Kosygin ma być, według tych teorii, bardzo słaba i bliżej nie wskazani rywale są rzekomo bliscy ich obalenia.

Tę walkę ma być fatalna sytuacja ekonomiczna Rosji i presja z jednej strony, reklamowanej zawsze na Zachodzie klasy sowieckich „manadżerów“, domagających się jakoby liberalizacji i oparcia o zachodni kapitalizm, a z drugiej — partyjnych doktrynerów, którzy stoją przy ortodoksji komunistycznej. Ci ostatni są zarazem zwolennikami całkowitego wyrównania sporu z komunistami chińskimi oraz wspólnego frontu zdecydowanie antyzachodniego. Najdalej w kierunku dramatycznych na tym tle przewidywań poszedł amerykański tygodnik „U.S. News & World Report“, który wróży rewolucyjne przemiany w Rosji, czyli kryzys nie tylko obecnego kierownictwa partyjnego, ale w

ogóle komunistycznego ustroju. Wróży są opierane raczej na rozumowaniach, niż na konkretnych faktach.

Mogłyby one budzić radosne nadzieje w narodach ujarzmionych przez komunistyczny imperializm Moskwy, gdyby nie kilka poważnych „ale“. Przede wszystkim wiemy, jaka myśl niektórych kół amerykańskich za takimi ich prognozami się kryje. Jest to intencja udzielenia tym „liberalnym“ sowieckim kołom gospodarczej pomocy, która w rezultacie pozwoliłaby Sowietom przetrwać obecny kryzys, czyli zamiast pogniebić ratowałaby komunizm. Po wtóre, streszczone wyżej oceny przeceniają zawsze tendencje rzekomo liberalne w Sowietach, a zapominają o możliwościach nawrotu do ostrzejszego kursu, który jest najbliższą i krwawo wypróbowaną metodą opanowywania przez bolszewizm gospodarczych trudności.

RE-STALINIZACJA I STRATEGIA

Nie należy więc w analizie położenia w Rosji pomijać faktów, wskazujących że Kreml może się skłaniać do tej drugiej, wcale nie liberalnej drogi w najbliższej przyszłości. Mam tu na myśli stwierdzone

objawy tendencji, określanej jako re-stalinizacja.

Oznaki, że nowe kierownictwo partyjne z Breżniewem i Kosyginem na czele przywraca — choć w ciśniejszych tymczasem granicach — kult Stalina, mnożą się. Po sensacyjnym przypomnieniu zasług zmarłego dyktatora przez Breżniewa w rocznicę zakończenia wojny, po wyświetleniu filmu ze Stalinem, otwarciu jego muzeum w Gruzji i innych drobniejszych objawach tego rodzaju, przyszedł fakt jeszcze większej wagi.

Na konferencji prasowej, urządzonej z okazji majowych rocznic łącznie przez sowieckie ministerstwo obrony i spraw zagranicznych, głównym mówcą był marszałek Koniew, który także i obszernie rozwiódł się nad wojennymi zasługami Stalina. Stwierdził, że jego rola w czasie wojny była bezwzględnie dodatnia, czy to jako przywódca partii czy jako przewodniczącego komitetu obrony, co — jak mówił — podkreślić należy, przyjmując nawet krytykę jego osoby, przeprowadzoną na XX i XXII kongresie partyjnym. W dalszym ciągu Koniew zachwalał jeszcze jedną osobistość, gnębną za Chruszczowa, mianowicie marszałka Żukowa, który też — jak wiadomo — zaczął się z powrotem pojawiać na moskiewskich uroczystościach.

Według zachodnich korespondentów, którzy brali udział we wspomnianej konferencji prasowej i słyszeli mowę Koniewa, ta „re-stalinizacja“ pozostaje w związku z zagadnieniami strategii sowieckiej. Było już za Chruszczowa wiadomo, że jego linia zbrojeń przede wszystkim nuklearnych, a lekceważenia i pomniejszania masowych broni tzw. konwencjonalnych, napotykała na sprzeciw całego grona czołowych marszałków sowieckich. Obecnie, wypowiedzi Koniewa, za którymi stoją jakoby Żukow, Zacharow, Sokołowski, Bagramian i Rokossowski, zdają się świadczyć, że strategia sowiecka zmienia kierunek w duchu bardziej konwencjonalnym i stąd m.in. nawracanie do Stalina. Linii Chruszczowa bronią dalej, według tychże informacji z Moskwy, marszałkowie Werszynin, Jermienko, Czujkow i Greczko.

Sprawa ma tym większe znaczenie, że trudna sytuacja gospodarcza zmusza Kreml do oszczędności i chodzi o to, na czym mają być w zakresie budżetu wojskowego robione, na zbrojeniach nuklearnych czy konwencjonalnych.

GRUPA KONIEWA BLIŻSZA PEKINOWI

Jeszcze większej wagi nadają temu sprowi wewnętrznemu stosunki Moskwy z Pekinem. Jedną z najważniejszych przyczyn konfliktu Chruszczowa z Mao Tse-tungiem były bowiem zagadnienia strategii, przy czym „numer pierwszy“ czerwonych Chin miał właśnie za złe obalonemu przywódce sowieckiemu zbytne faworyzowanie zbrojeń nuklearnych kosztem konwencjonalnych i utrzymywania większych mas ludzkich pod bronią. Wynika stąd, że grupa Koniewa jest bliższa Pekinowi i zyskując grunt, toruje drogę dalszej poprawie stosunków z Chińską Republiką Ludową.

NIE POŻYCZAJ... NUMERU „ORŁA“, RACZEJ PRZYŚLIJ ADRES ZNAJOMEGO (a my mu dostarczymy każdy numer)

Takie przypuszczenie zostało już potwierdzone m.in. przez artykuł pekińskiego wicepremiera i szefa sił zbrojnych marszałka Lo Jui-czyng. Niedługo po moskiewskim wywiadzie Koniewa ogłosił on w pekińskim „Czerwonym Sztandarze“ obszerny artykuł na tematy strategiczne, który był oczywistym echem poglądów sowieckiego marszałka i jakby podjęciem z nim dialogu. Lo Jui-czyng rozpoczął od powtórzenia tezy Mao, że broń nuklearna, której posiadacz nie ośmiela się użyć i tylko nią straszy, jest w stosunku do ludzi o silnych nerwach „papierowym tygrysem“, a natomiast rewolucyjne masy, konwencjonalnie uzbrojone, są jakoby dla Zachodu najgroźniejsze i przeciw nim jest on bezbronny. Ponadto, strategia rewolucyjnych mas ma tę zaletę, że jest tańsza i obciąża w mniejszym stopniu budżet wojskowy. Była to właśnie strategia Stalina i marsz. Lo, zaleca w swoim artykule Sowietom całkowite porzucenie nuklearnej linii Chruszczowa i nawrót do poprzedniej. Doświadczenia koreańskie, algierskie, kubańskie i wietnamskie potwierdzają, jego zdaniem, słuszność rewolucyjno-konwencjonalnej metody i tym bardziej należy się do niej przychylić.

CZY BREŻNIEW I KOSYGIN SĄ ZAGROŻENI?

Publiczna wymiana poglądów między sowieckimi a chińskimi wojskowymi pozwala przypuszczać, że sztaby Moskwy i Pekinu pozostają ze sobą w kontakcie i oddziałują w duchu łagodzenia konfliktu ideologicznego obu czerwonych stolic. Czy oznacza to słabość pozycji pary Breżniew—Kosygin, czy powinno skłaniać do przewidywania ich rychłego upadku i zastąpienia przez innych czy innego?

Wnioski takie wydają się co najmniej przedwczesne. Odpowiednio głośnymi i zasłużonymi nazwiskami dysponują obecnie wśród możliwych kandydatów tylko wojskowi, jak Koniew czy Żukow, ale objęcie kierownictwa partyjno-państwowego w Sowietach byłoby sprzeczne z tradycyjnymi zasadami bolszewizmu. Inni zaś członkowie prezydium czy sekretariatu partyjnego nie wydają się, jak dotąd, rywalami, groźnymi dla Breżniewa i Kosygina. Mikojan jest za stary i ponadto związany był najbliższymi z antypekińską linią Chruszczowa, Susłowowi zdrowie nie pozwala, Szeliepin jest za młody i jako czekista także mniej odpowiedni, wreszcie nie ma podstaw do

wskazywania Podgornego czy innych jako zagrażających parze obecnie rządzącej.

Gdyby zresztą trzeba było pod ewentualnym wpływem marszałków dokonać jeszcze dalszego zbliżenia do Pekinu, Breżniew i Kosygin zdają się nie mieć ku temu drogi zamkniętej. Wizyta Tity w Moskwie wywoła z pewnością propagandową burzę w Pekinie, ale propaganda nie jest wszystkim. Uderzając konsekwentnie w nutę jedności obozu komunistycznego i zbywając ataki prasy pekińskiej milczeniem, obecni przywódcy sowieccy zajęli pozycję taktyczną, jak wydaje się, dość mocną do przetrzymania konfliktu ideologicznego. Re-stalinizacja zaś, zaostrenie kursu wewnętrzne pozwalało Kremłowi, jak dotąd, przetrzymać trudności ekonomiczne. Nie należy więc znowu popadać w złudny optymizm, że system komunistyczny sam się pogrzebie.

(s.)

UWAGI PRZYDROŻNE

Społeczeństwo, w którym zbyt liczni ludzie czują się ważni, staje się niepoważne.

Mądrych jest mało, mędrzych zaś dużo.

Im ktoś ma mniej do powiedzenia, tym głośniejsze to obwieszcza.

Kto chce zbyt szybko wypłynąć, może się łatwo utopić.

Głupiec świadomy swojej głupoty nie jest głupi.

Atom

KRZYŻÓWKA

Nr 573/65

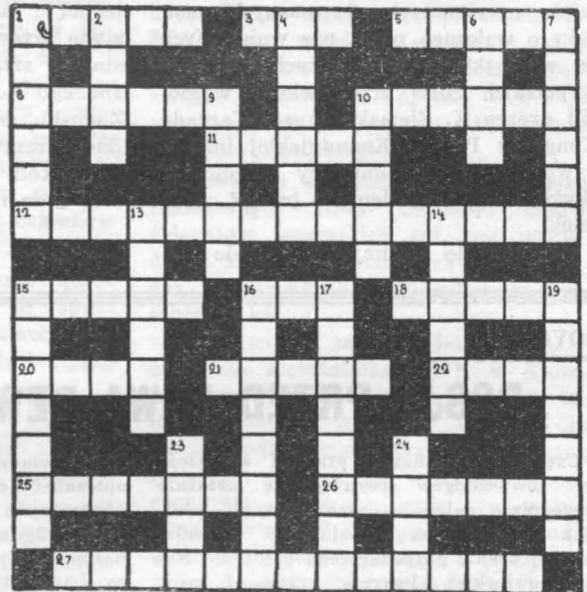
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) trefnięć; 2) i 6) wrota; 3) i 16) z tego miasta przysłowiowy diabeł małopolski; 8) najdłuższe, gdy słońce zachodzi; 10) ziemia Kasprowicz (wspak); 11) obszar; 12) jeśli to powiedzenie prawdziwe, to kłamstwo mniej szkodzi! (6, 1, 4, 4); 15) i 18) wólony lekkoduch?; 20) podmuch; 21) jadalny dostojnik?; 22) ciężki wysiłek (wspak); 25) taki sam (wspak); 26) rozbiór; 27) nic się już nie zmieni! (6, 7).

Pionowe: 1) latorośl; 4) najślawniejsza Sokratesa (wspak); 7) pożąda; 9) syn Florencji, pochowany w Rawnie (wspak); 10) za nie odpowiadasz przed prawem (wspak); 13) pełno jej na targu?; 14) w środku niej matecznik; 15) trunkowy kwiat; 16) ciapa; 17) zwycięstwo Koniecpolskiego nad Gustawem Adolfem, przypisywał je sobie Zagłoba; 19) zostanie się w niezgodzie; 23) bożek kobiet (wspak); 24) wieść.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 527/65

Poziome: 2) przysmak, 6) i 8) Górnic-



ki, 7) wynik, 9) kluby, 10) opera, 11) ko-
buz, 12) kanon, 14) ni stąd ni z owąd,
19) i 20) leksykon, 21) kołek, 22) orna,
23) wada, 24) akapit, 25) pludry.

Pionowe: 1) jegomość, 2) Pandora, 3)
Donzuan, 4) kwicoł, 5) świerzop, 12) krą-
żek, 13) Korzon (wspak), 14) nieboga, 15)
sasanka, 16) nielad, 17) Weygand, 18)
dworacy.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

padkiem... i leżał dość długo zanim go zaczęłam przeglądać. Zaciekawiał mnie... a na „Konflikt Pokoleń“ zwróciłam uwagę bo na podobny temat klóciłam się niedawno z kilku kolegami w biurze, znacznie ode mnie starszymi. Chodziło o „starych“ i „młodych“ Francuzów, lecz zdziwiło mnie podobieństwo problemów... Nie rozumiałam wszystkiego z artykułu p. Kubisza, lecz rozumiałam jedno: że młodzież polska w Anglii bierze udział w życiu swego emigracyjnego społeczeństwa. Nie wiem czy mam się temu dziwić czy także zazdrościć...

Ewa d'Ervart
Le Poulignon (L. I.)

★

MILA ZACHETA

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

...byłoby prawie niepodobieństwem dla mnie obejść się bez „Orla“, zwłaszcza, że czytuję go od chwili jego powstania. Zdaniem moim „Orzeł“ bardzo zyskał na zmianie z tygodnika na miesięcznik. Numery są z każdym miesiącem coraz lepsze. Bardzo interesujące są artykuły Zbigniewa Grabowskiego...

Gen. Józef Wiatr
Londyn

★

Drogi Panie Redaktorze,

Udało się Panom osiągnąć rzecz prawie niemożliwą. Od kilku numerów nie przelicujemy „Orla“ z żoną szukając czegoś co by nas zainteresowało, ale po prostu czytamy cały numer od pierwszej do ostatniej strony.

Jest to pierwszy i jedyny polski „magazyn“ na emigracji. Widać w nim ile starań wchodzi w polepszenie każdego numeru. Życzymy szczerze dalszego powodzenia... także we własnym, czytelniczym, interesie.

Feliks i Irena Przebiegli
Londyn, Putney

KSIEGARNIA I DOM
WYDAWNICZY



GRYF

169-171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11. Tel. BAT 1445

POLECA WIELKI
WYBÓR KSIĄŻEK
POLSKICH

Przedstawicielstwo na Wielką
Brytanię
MIESIĘCZNIKA
KULTURA

Administracja miesięcznika
ORZEŁ BIAŁY

LWÓW
1782
WIEDEŃ



J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik	St. Bernhard	Wiśniak

Przedstawiciel

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808

(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)

PRZYPOMINAMY O ODNOWIENIU PRENUMERATY
NA DRUGIE PÓŁROCZE!

SZYBKIE



PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre,
Paris 17-e.

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio
z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5
Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

MOŻESZ WYSLAĆ

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

Lekarstwa
Żywność
Pieniądze
Owoce

Ortaliony

(bez podpinka i z podpinką)

i tak dalej

Nowy cennik z kalendarzem 1965

Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

JUŻ NADESZŁA

Wódka Soplica 70 pr.

w Polsce uważana za
najlepszą

cena za $\frac{1}{2}$ l. but. 37/-

Zamówienia hurtowe przyjmuje:

EDOUARD ROBINSON LTD.
21, Old Compton Street, London, W.1.

— POPIERAJ FIRMY POLSKIE —

Dla wyjeżdżających na urlop do Włoch
polecamy przewodnik

POLAK W RZYMIE

W. Zahorskiego z ilustr. Samuela Tyszkiewicza. Str. 125 — Cena 10/-

NOWOŚCI WYDAWNICZE:

DAVID FLOYD

RUMUNIA — Intryga czy wyzwanie?

Znany dziennikarz angielski analizuje przyczyny i skutki schizmy
rumuńskiej w bloku komunistycznym. Str. 151 — Cena 15/-

POLEMIKI — Zeszyt III.

A. Bregman, A. Ciołkosz, J. Łobodowski, S. Korboński, J. Krok-Paszkowski
i J. Pomian polemizują z autorami krajowymi na tematy dotyczące
najnowszej historii Polski. Str. 125 — Cena 8/6

Pewna ilość Zeszytu II jeszcze do nabycia.

Poleca: POLONIA BOOK FUND LTD. — 10, Queen Anne's Gdns.,
LONDON, W.4, tel. CHI 4723, oraz księgarnie polskie.

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biurow Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W.7.